



BRIGITTE
MELZER

Elyria

POLOWANIE
NA CZAROWNICE

Świat Książki

BRIGITTE MELZER

Elyria

POLOWANIE NA CZAROWNICE

Z niemieckiego przełożyła Bożena Michałowska - Stoeckle

Tytuł oryginału ELYRIA. IM VISIER DER HEXENJÄGER

Niezliczone stosy rozświetlają noc.

Magia, co zło wszelkie skrywa, jest źródłem nieszczęścia.

Czas oczyszczenia już blisko, ku przestrodze.

Wtedy to ludzie będą gotowi do bogów przyjęcia.

Z kroniki wizjonera Dal Caiss

Prolog

Jestem stary i zmęczony. Wina wszakże, którą wzięłem na siebie, nie pozwala spocząć mej dłoni. Palce, guzowate niczym gałęzie starego dębu, z trudem ściskają dudkę. Patrę, jak się poruszają, jak atrament zostawia ślad na pergaminie, kreśląc słowa, co wypływają z głębin mojej duszy. Obrazy nie straciły nic ze swej żywotności, wciąż wyraźne odgłosy walk i bolesne uczucia, choć długo skrywane w sercu, przerażają tak samo jak niegdyś. Czas nie zdołał ich zatrzeć, nie uleciały w dal. Teraz moje wspomnienia uwiecznione atramentem na pergaminie ukazują straszliwą prawdę o naszej winie. To historia o tym, co uczyniliśmy światu.

To niezaspokojone pragnienie posiadania wiedzy sprowadziło nas na tę ścieżkę. Jakże miło było nią kroczyć u samych jej początków. Koniec okazał się jednak tak bardzo kamienisty, że nie narodził się jeszcze taki śmiałek, który mógłby go sobie wyobrazić.

Elfy twierdzą, że najgorsze rzeczy dzieją się z powodu dobrych intencji. I mają rację. Najgorszą ze wszystkich dobrych intencji jest chęć posiadania wiedzy, bo czyż nie jest to tylko złudna mrzonka zrodzona z pragnienia, by zrozumieć świat? Za tym marzeniem czai się wszelako jego ciemny brat - chęć posiadania władzy. Samo pragnienie jest jak choroba, która dopada ludzi i niszczy ich bez litości. Widziałem na własne oczy, jakie nieszczęścia może sprowadzić na świat ta zaraza.

Udało nam się oddalić zagrożenie, jednak cena, jaką zapłaciliśmy, była zbyt wysoka. Od tego czasu nic nie jest już takie jak dawniej. Świat się zmienił, a wraz z nim - także i ludzie.

Bractwo Oświeconych, które dotychczas wiodło niewidoczny żywot w cieniu starej wiary druidów, nagle stanęło w obliczu zdumiewającego napływu zatrwożonych ludzi szukających bezpieczeństwa. Rosnąca liczba zwolenników Bractwa, podburzana płomiennymi mowami kapłanów, została szybko przekonana, że to potęga druidów i magów sprowadziła na ludzi cierpienie. Czy mogli przypuszczać, że za tym wszystkim stała jedynie garstka próżnych mężczyzn i kobiet? Wierzyli niewzruszenie w potęgę wiedzy, a nie dostrzegli czającej się za nią pokusy.

Ani magowie, ani druidzi nie ponosili żadnej winy za wydarzenia, które doprowadziły świat na skraj upadku. To był ktoś z naszych własnych szeregów. Jeden z nas, uczonych, który uległ podszeptom demona. Zaślepiiony żądzą wiedzy przywołał Czarnego Króla, a ten obiecał mu w zamian podzielenie się częścią swojej mocy. W potwornej emanacji siły demon zniszczył miasto magów i powstał z jego ruin, potężniejszy niż kiedykolwiek. Tak rozpoczęła się Wojna Mocy, która przeszła do historii Cartomien jako śmiertelne starcie między magami

a demonem.

Podczas gdy druidzi i magowie jednoczyli siły i stawiali czoło zagrożeniu, Bractwo zatruwało ludzkie serca plotkami. Rozgłaszano, że to druidzi i magowie za sprawą nieczystych zaklęć przywołali demona, który siejąc zniszczenie i śmierć, zagrażał wszelkim przejawom życia. Ratunek obiecywano tylko tym, którzy będą szukać uzdrowienia w nowej wierze. Zalęknieni ludzie, niepomni niczego, odwracali się od starej wiary, poszukując obrony i pocieszenia w nowo powstających świątyniach.

Wiara druidów, głęboko zakorzeniona wśród ludu od zarania dziejów, wymarła jedynie z naszej winy. Magię, postrzeganą od tej pory jako przyczynę Wojny Mocy, zaczęto lekceważyć i bezlitośnie prześladować. Po Wojnie Mocy nastąpiły ponure lata, które Bractwo nazwało Czasem Oczyszczenia. Rozwścieczeni ludzie palili siedziby Cechów Magów, niszczyli księgi z bezcenną wiedzą i zabijali każdego, kto był podejrzany o znajomość magii. Aby zapobiec dalszej fali samosądów, Bractwo powołało do życia Synów Eaghana. Zwań siebie Wojownikami Zakonu, choć należałoby raczej traktować ich jak Łowców Czarownic, gdyż ich zadaniem jest tropienie i niszczenie wszelkich przejawów magicznej mocy. Wycięli święte gaje druidów i spalili czerwone dęby, które od tysięcy lat zapraszały wędrowców do modlitwy na skrajach dróg.

Noce, które zdawały się nie kończyć, jaśniały od płomieni niezliczonych stosów. Śmierć spotkała zarówno nieszkodliwe zgoła zielarki, uczonych, uzdrowicieli, jak i druidów oraz magów. Jedynie na magię Prastarego Ludu Bractwo nie mogło nic poradzić. Mimo że ojczyzna elfów leży w granicach Cartomien, niewidoczna zasłona utkana z pradawnej magii broni jej mieszkańców przed wizytami nieproszonych gości. Zwłaszcza Łowców Czarownic.

Słaba to doprawdy pociecha wobec ran, które zadaliśmy temu krajowi. Gdy dopalą się stosy, a wiatr rozwieje ich popiół, pozostanie tylko wypalona ziemia, jak czarna blizna na obliczu świata. Ogień powoli dogasa, dym się przerzedza, a mnie wciąż pieką oczy. Zbyt wiele widziały - aż nadto zdarzeń, których mogliśmy uniknąć. A to jeszcze nie koniec.

1

Ciemność.

Był martwy. Zginął, gdy siedmiu Wielkich Magów próbowało unicestwić Czarnego Króla. Wyrwali mu z ciała całą wiedzę gromadzoną z takim poświęceniem, ograbili go ze zdobytej esencji mistrza i pozostawili jedynie martwą powłokę. Dlaczego jednak ocalała w nim pamięć tamtych wydarzeń, jeśli naprawdę nie żył?

Ponieważ sam przywołał Czarnego Króla, wiedział doskonale, jak wielką mocą dysponuje demon. Tuż po dopełnionym rytuale część wiedzy i energii Króla wniknęła w jego ciało. Już choćby z tego powodu z wielkim oddaniem czcił swego mistrza. Czyżby ci nędzni magowie rzeczywiście wierzyli, że mogą unicestwić tak potężną istotę? Owszem, byli wystarczająco silni, by go osłabić, jednak on był nade wszystko w tym miejscu. Cały czas wyczuwał moc demona, bo przenikała każdą komórkę jego martwego ciała.

„Służ mi!”. Te wyszeptane słowa pojawiły się nagle w jego głowie. Wiedział, że to nie był ludzki głos, lecz czysta moc, która jak powiew wiatru omiotła jego ducha i nim zawładnęła. Nagle jego ciało, ogarnięte falami drgawek, zaczęło wypełniać się energią, choć nie była to czysta esencja życia. Usiadł gwałtownie i mimo ciemności rozpoznał jasno i wyraźnie otoczenie. Długo patrzył na miejsce, w którym zmarł, a teraz ponownie się narodził, potem przesunął dłonią po chropowatym murze, pogładził pień czerwonego dębu wznoszącego się na środku podziemnej sali i powędrował wzrokiem w stronę schodów prowadzących do grobowca.

Z ciekawością spojrzął na siebie. Spowijały go stare szaty, poszarpane na strzępy oddechem czasu. To, co pozostało z jego ciała, odpadało płatami od kości. W martwych tkankach wiły się jasne, tłuste czerwce, zajęte kończeniem dzieła czyszczenia. Wyciągnął rękę, z której został tylko szkielet, i strzepnął kilka larw z nogi w miejscu, gdzie rzepka wytrzeszczała gołą kość jak wyblakłe oko. Popatrzył na nią ze zdumieniem, bo ścięgnięta i włókna mięśni zaczęły się odradzać i pokrywać powoli szkielet. Jak fala rozlewająca się na piasku obejmowały powoli górę pleców, potem przeszły na tors, drugą rękę, następnie na nogi, aż otuliły całe ciało niczym szata. Usłyszał cichy skrzek wydobywający się z krtani. To struny głosowe utworzyły się na nowo i wtedy poczuł, że po tych wszystkich latach znów może mówić. Zgniłe ciało odpadło od kości jak uschnięte jesienne liście, a w jego miejsce pojawiło się nowe, pokrywając się szybko różową skórą. Metamorfoza się zakończyła. Już nie był martwy, a jednak serce nie biło mu w piersi i nie oddychał. Był sługą Czarnego Króla, to moc mistrza go ożywiła i płynęła teraz w jego ciele. Odwdzięczy się stukrotnie za tę wspańiałomyślność i zgromadzi wokół siebie rozproszonych wyznawców. Pieczołowicie

przygotuje wszystko, co niezbędne, by jego pan powrócił.

2

Namioty zszyte z kolorowych łąt lśniły w blasku wiosennego słońca i już z daleka zdradzały miejsce postoju Wędrującego Ludu. Przed przedstawieniem, w trakcie trwania pokazów, a także po ich zakończeniu między namiotami przetaczały się tłumy widzów. Ludzie przybywali tutaj z miasta i okolicznych wsi, by popatrzeć na wyczyny sztukmistrzów, dać się oczarować aktorom i rozbawić komediantom.

Teraz plac przed namiotami był cichy i pusty. Do rozpoczęcia przedstawienia pozostało wiele godzin. Komedianci, akrobaci i aktorzy nie wyszli jeszcze ze swoich namiotów, bo deszcz padający poprzedniej nocy zamienił ziemię w błotniste bagno. Nawet najbardziej zagorzali amatorzy widowisk, którzy zazwyczaj krążyli w pobliżu obozowiska, jeszcze się nie pojawili.

Elyria spacerowała między namiotami, wystawiając twarz na podmuchy wiatru. Zamiast wrzawy, śmiechu i pogawędek ludzi słyszała śpiew ptaków przerywany od czasu do czasu parsknięciami koni. Bardzo sobie ceniła te rzadkie chwile wytchnienia, mimo że lubiła kolorowy tłum i tumult towarzyszący jej trupie.

Skończyła już osiemnaście lat i była jej pełnoprawnym członkiem. Zręcznie rzucała nożami, opiekowała się trochę zwierzętami i pomagała aktorom w ćwiczeniu ról.

Odkąd sięgała pamięcią, jej ojciec przewodził trupie komediantów, która w lecie podróżowała od miasta do miasta i zarabiała przedstawieniami na utrzymanie. Zimą ruszali na południe i zatrzymywali się na wybrzeżu. Czekali do wiosny, by w kolejny ciepły czas znów wyruszyć na wędrowkę.

Zima niedawno się skończyła, na ulicach ledwie zdążył stopnieć lód i śnieg. Miasto Travercore było dla nich pierwszym przystankiem w tym roku. Największe miasto na zachodzie Cartomien, a zarazem siedziba króla. Arystokratyczni bywalcy królewskiego dworu rzadko odwiedzali jednak ich przedstawienia. Na swoich dworach utrzymywali własnych komediantów i bardów, którzy dostarczali im rozrywki. Od czasu do czasu pojawiał się jednak któryś z nich i przynosił ze sobą błogosławiony deszcz monet równający się często dochodom z całego miesiąca.

Elyria stanęła przy namiocie ojca. Już wyciągała rękę ku płachcie zasłaniającej wejście, kiedy usłyszała jego głos.

- Elyria wkracza powoli w wiek, w którym muszę pomyśleć o jej zamążpójściu.

Opuściła rękę. Zamążpójście? Nawet przez chwilę nie zastanawiała się nad tym, że jej życie może kiedykolwiek wyglądać inaczej niż do tej pory. Niekończące się drogi, które

prowadziły ich w barwnie przystrojonych, krytych wozach po rozległym Cartomien na nowe występy, i długie wieczory spędzane przy ogniskach w kręgu przyjaciół. Myśl, by zrezygnować z tej wolności dla jakiegoś mężczyzny, nigdy nie pojawiła się w jej głowie. I właściwie nie była dla niej szczególnie przyjemna.

Zaciekawiona zajrzała w szparę między płachtami materiału, które zakrywały wejście do namiotu. Ojciec stał przed węglowym piecykiem i ogrzewał ręce nad żarem. Za nim siedziała Dhori. Potężne ciało komediantki zapadło się w stosie poduszek, które służyły ojcu jako siedzisko. Jej długie, siwe włosy lśniły w świetle latarni jak stal.

Elyria jak przez mgłę przypominała sobie czasy, kiedy Dhori była wróżką w ich trupie. Ojciec zawsze uważał, że jest najbardziej utalentowaną aktorką ze wszystkich. Gdy tylko ktoś mówił o jej wróżebnych umiejętnościach, ojciec puszczał oko do Elyrii, uśmiechając się. W ten sposób chciał pokazać, że uważa tę starą kobietę za oszustkę. Może i nią była, ale to jej praca przynosiła trupie największe dochody. Siedziała w ciemnym wnętrzu namiotu i za monetę czytała ludziom z ręki lub wróżyła z run.

Przychodzili do niej chętnie, bo opowiadała im to, co chcieli usłyszeć. Jako dziecko Elyria często zakradała się w pobliże namiotu Madame Dhori, żeby podsłuchiwać, jakie to prawdy ludziom wieszczyla.

Od czasu Oczyszczenia, który nastąpił po Wojnie Mocy, Madame Dhori przestała występować. Ojciec uznał jej dziedzinę za zbyt niebezpieczną. W czasach, w których każdy, kto kojarzył się choć z odrobiną magii, był ścigany i palony na stosie, nie chciał ryzykować życia starej szarlatanki tylko dlatego, że miała tak doskonały kunszt aktorski. Odtąd była już tylko Dhori, kolejnym członkiem trupy aktorów, którzy codziennie odgrywali swoje sceny dla wszystkich podziwiających ich sztukę.

- Tej dziewczynie pisane są inne rzeczy, Micheilsie - Dhori uniosła się na poduszkach.
- Jej życie nie leży w twoich rękach. Elyria ma własną przyszłość, która nie jest związana z małżeństwem i dziećmi czy nawet z tą trupą.

Czyli nie będzie małżeństwa. Elyria odetchnęła z ulgą, jednak słowa Dhori brzmiały niepokojąco. Co to ma znaczyć, że jej przyszłość nie ma nic wspólnego z tą trupą? Potrząsnęła głową. Dhori była oszustką! Dlaczego miałaby ją traktować poważnie? Dlaczego ojciec w ogóle jej słucha?

- Przed wieloma laty przyszedł do mnie i powiedział, że czeka ją szczególny los. Od tamtej pory ukrywałaś głęboko swoje myśli. A dzisiaj przychodzisz tu nagle i... - ojciec odwrócił się od piecyka i spojrzał na Dhori. - Czy powiesz mi wreszcie, co czeka moją małą?

- Jej przyszłość skrywa się za mgłą czasu. - Dhori utkwiała wzrok w jakimś punkcie na

płachcie namiotu. Stała nieruchoma jak posąg. - Wiem jedynie, że zbliża się już moment, w którym objawi się jej przeznaczenie.

- Co masz na myśli, mówiąc o mgle czasu?

Dhori wzruszyła ramionami, a jej mięsiste palce bawiły się pierścionkiem, kręciły nim to w jedną, to w drugą stronę.

- Spotka kogoś. Mężczyznę, a równocześnie zwierzę w jednym ciele. To spotkanie będzie miało wielki wpływ na jej życie.

- Mężczyznę i zwierzę? Co to za bzdura!

Po kolejnych słowach Dhori twarz mu zeszywniała.

- Obrazy są niewyraźne... Jej życie zapada się w ciemności. Tak jakby...

-...jakby to był jej koniec?

Dhori milczała.

Elyria wstrzymała oddech i zacisnęła palce na fałdach spódnicy. Jej wzrok przyłgął do twarzy ojca.

Dostrzegła twarde linie biegnące aż do oczu, wyłobione na policzkach przez światło lampy. Głęboka troska płynęła z jego spojrzenia. Mało brakowało, a wpadłaby do namiotu, żeby go pocieszyć. Jednak myśl o awanturze, która niechybnie czekałaby Elyrię, gdyby podsłuchiwanie wyszło na jaw, skutecznie ją powstrzymała. Dlaczego słowa Dhori tak bardzo go wystraszyły? A ojciec, ten, który zawsze naigrawał się z wróżbitów, wyglądał teraz tak, jakby Dhori rozwarła przed nim wrota do Dziewiątego Piekła.

Po długiej chwili odzyskał głos. Powiedział cicho:

- Od chwili, gdy ten mężczyzna przyniósł mi dziewczynkę, wiedziałem, że ona jest kimś szczególnym. Mimo to zawsze była moją dziewczynką.

Elyria zmarszczyła czoło. Oczywiście, że była jego dziewczynką. Była jego córką! Po tym, jak jej matka zmarła na gorączkę pory zimowej, Gwynn i ona byli dla ojca całym światem. Zawsze to powtarzał. Dziewczyna usiłowała przypomnieć sobie twarz matki. Kiedy ona zmarła, Elyria skończyła właśnie cztery lata i była zbyt mała, by ją wyraźnie zapamiętać. Łagodne i miękkie rysy kobiety ze złotymi włosami z każdym dniem stawały się coraz bardziej wyblakłe. Elyria odsunęła od siebie to ponure wspomnienie i skupiła się na słowach Dhori. „Jaki mężczyzna mnie przyniósł?”

Nagle poczuła, że jakaś dłoń spoczęła na jej ramieniu. Elyria odwróciła się przestraszona, mimowolnie zakrywając dłonią usta, żeby nie krzyknąć, i spojrzała w niebieskie oczy Gwynna. Jego rude włosy lśniły w blasku słońca. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą między namioty. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy znaleźli się w bezpiecznej

odległości.

- Ojcu się nie spodoba, jak się dowie, że go podsłuchujesz.

Elyria zmarszczyła nos.

- Tylko mi nie opowiadaj, że nigdy tego nie robiłeś.

- Robiłem - przyznał. - Dlatego wiem z pierwszej ręki, jakie kłopoty można na siebie tym ściągnąć. I chcę cię przed nimi uchronić.

Gwynn był nie tylko jej bratem, lecz także najlepszym przyjacielem. I zawsze stał u jej boku, gdy Elyria wpadała w tarapaty. Zaczęła opowiadać mu o dziwnej rozmowie ojca z Dhori. Nagle przerwała w pół słowa, kiedy dostrzegła ciemną plamę w błocie. Zaciekawiona podeszła bliżej. To był kawałek materiału zanurzony w rozmięklej ziemi. Już chciała się odwrócić, gdy zauważyła jego dziwny kształt. Coś tkwiło w zawiniątku. Schyliła się po nie i poczuła, że było cięższe, niż się spodziewała. Zaintrygowana odwinęła materiał i wtedy jej oczom ukazał się medalion wielkości talerzyka. Promienie słoneczne odbijające się od jego powierzchni skąpały go w blasku. Podniosła wyżej dłoń, żeby go lepiej obejrzeć. Powoli rozpoznała w kunsztownym grawerunku na srebrnej powierzchni obraz uwieczniony na medalionie. Był to wizerunek Mądrej Matki, Najwyższej Bogini Bractwa Oświeconych.

Gwynn zajrzał w jej dłoń.

- Co to jest?

Elyria pokazała mu klejnot. W dniu przybycia do Travercore poszli do świątyni, by prosić bogów o pomyślność w interesach. Wtedy Elyria zobaczyła ten medalion. Leżał na podeście pod obrazem Mądrej Matki.

- Czy to jest to, o czym myślę? - zapytał Gwynn.

Skinęła głową.

Gwynn gwizdnął przeciągle.

- Z pewnością jest wiele wart! Gdybyśmy..

- Oszalałeś! - zbeształa brata. - Każdy natychmiast go rozpozna! To mogłoby nas drogo kosztować, nawet głowy!

Słyszała opowieści, że pewne przedmioty poświęcone bogom mogły być w każdej chwili odnalezione przez ludzi z Bractwa. A co będzie, gdy już wiedzą, gdzie jest ten medalion, i powiążą trupę z jego zaginięciem?

- Musimy go odnieść do świątyni.

- Teraz to ty mówisz jak prawdziwa wariatka. - Gwynn potrząsnął głową. - Przecież posądzą nas o kradzież. Wyrzuć go po prostu.

Chciał sięgnąć po medalion, ale Elyria zacisnęła go w pięści.

- Odniosę go na miejsce. Znasz opowieści o klątwach, które spadają na tego, kto nie traktuje własności bogów z należnym respektem? Wyrzucenie medalionu poświęconego Mądrej Matce można bez wątpienia potraktować jako lekceważenie. - Elyria nie wiedziała, czy te opowieści są prawdziwe, z całą pewnością jednak nie zamierzała tego sprawdzać.

- Oddam go kapłanowi. Natychmiast!

Gwynn skrzywił się.

- Ja to zrobię.

- Nic z tego. Na pewno gdzieś byś go ukrył. - Potrząsnęła głową, zawinęła medalion i schowała go w fałdach spódnicy. - Zdążę wrócić na przedstawienie.

Elyria krążyła po zaułkach Travercore jak spacerowiczka w drodze na jarmark. Im bardziej zbliżała się do świątyni, tym mocniej waliło jej serce. Kamienice przytulone do siebie pochylały się nisko nad uliczkami, a cienie kominów jak złowrózbnne ciemne palce zdawały się sięgać po przechodniów. Utkwiła wzrok w białozłotym murze świątyni widocznej już z daleka; do tej pory jeszcze żadna z tych budowli nie wyglądała w jej oczach tak groźnie. Świątynia zawsze była dla niej azylem, w którym odnajdywała ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Z opowieści ojca wiedziała, że bogowie dopiero niedawno znaleźli drogę do ludzkich serc. Była jednak zbyt młoda, żeby pamiętać Wojnę Mocy i zmianę wiary, która nastąpiła w tym czasie. Ojciec troskliwie nad nią czuwał, unikał wszelkich niebezpieczeństw, które wtedy czyhały na ich trupę. Elyria jak przez mgłę przypominała sobie, że kiedyś często zatrzymywali się przy czerwonych dębach. Modlili się, składając w ofierze mocom wieczności owoce i zboże, aby ich podróż była bezpieczna. To było dawno temu. A dzisiaj jedynie spalone szkielety świętych drzew niczym okrutna przestroga przypominały o ponurej erze druidów i magów. Jeśli ktoś się dzisiaj modlił, to tylko do bogów Bractwa Oświeconych.

Opowieść o tym, jak bogowie po raz pierwszy nawiązali kontakt z ludźmi, należała do jej ulubionych. Mówiono, że zamieszkowali Cartomien jeszcze na długo, zanim pojawili się ludzie. Już kiedy Tyr Berengar, pierwszy Lord Mgielny, poprowadził swoich ludzi na kontynent, bogowie czuwali nad ich losem, ale nie objawiali się im pod żadną postacią. Mądra Matka trzymała na wodzy swoich synów - Laecana, boga śmierci, i Dergasa, boga wojny - i czuwała nad swoją córką Eluere, boginią płodności. Wielki Ojciec unosił świętą dłoń nad krainą, chroniąc swoją rodzinę, by żaden człowiek się o nich nie dowiedział.

Dopiero po wielu stuleciach, gdy nad Caldiranem Wędrowcem, który był porządnym i zacnym człowiekiem, zawisła groźba niebezpieczeństwa, objawił się Bóg Śmierci. Laecan oznajmił mu, że przybył, by zabrać go do swojego królestwa. W ostatniej chwili jednak

ulitował się nad tym dzielnym mężczyzną, który miał stracić życie tylko dlatego, że sam wpadł w przepaść, gdy uratował dziecko przed śmiercią. Laecan oszczędził go i przywrócił mu życie. Z ogromnej wdzięczności za okazaną łaskę Caldiran podczas swoich wędrówek opowiadał ludziom o istnieniu bogów.

Od tego czasu wieść o nich zaczęła nieść się po świecie. Przez wiele lat ludzie nie przywiązywali wagi do słów Wędrowca. Podczas długiej wędrówki poznał wszakże innych towarzyszy, którym bogowie również okazali łaskę podobnie jak jemu samemu. Razem zawiązali Bractwo Oświeconych, budowali świątynie i domy modlitw, wyszydzani przez ludzi mocno zakorzenionych w wierze druidów. Dopiero Wojna Mocy sprawiła, że istnienie bogów dotarło do ludzkiej świadomości.

Elyria znalazła się na rynku, przeszła na drugą stronę i wielkimi krokami zmierzała do świątyni. Medalion ukryty w fałdach sukni z każdym krokiem ciążył jej coraz bardziej. Zaciśnięte dłonie miała wilgotne od potu, a palce mimo napięcia drżały. „Dlaczego nie pozwoliłam, żeby Gwynn to zrobił?“, wyrzucała sobie w duchu. Dobrze jednak wiedziała, dlaczego tak się uparła i postanowiła sama odnieść medalion. Przecież mogła się spodziewać, że zamiast zwrócić go bogom, Gwynn ciśnie go gdzieś w przydrożne krzaki. Nie chciała, żeby ściągnął na siebie boski gniew. Nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka.

Bez wahania weszła na schody i zanurzyła się w cień portalu u wejścia do świątyni. Łagodny powiew ochłodził rozpalone policzki. Skłoniła się przed wizerunkami Ojca i Matki wyrytymi w kamieniu, który stał u wejścia, i przestąpiła próg Domu Bogów.

Podążała długą nawą prowadzącą do głównego ołtarza wzdłuż rzędów ławek ustawionych po obu stronach, mijając kolumny stojące przy dłuższej ze ścian. Kilkoro wiernych, którzy przyszli się pomodlić o tak wczesnej porze, nie zwróciło na dziewczynę żadnej uwagi. Przy ołtarzu kapłan zapalił świece. Elyria skierowała się w jego stronę. Zanim jednak do niego dotarła, ogarnął ją strach. Co się stanie, jeśli kapłan nie uwierzy, że znalazła medalion? Zerknęła na boczną ścianę, gdzie w ciemnej niszy znajdował się relikwiarz Mądrej Matki. Chyba lepiej byłoby dyskretnie odłożyć klejnot na należne mu miejsce. Elyria skręciła szybko między kolumny i podeszła do relikwiarza. Warstwy jej sukni zaszeleściły głośno, kiedy przyklękła przed nim na twardej posadzce. Zaczęła cicho odmawiać modlitwę, którą znała od dziecka. Nie poruszając głową, obserwowała uważnie otoczenie. Kolumny rzucały długie cienie na jasną, kamienną podłogę, a ściany niknęły w ciemności. W pobliżu nie było nikogo. Nie przerywając modlitwy, wsunęła rękę między fałdy sukni. Jeszcze raz rozejrzała się ukradkiem i kiedy nie dostrzegła niczego niepokojącego, wyjęła ostrożnie medalion spod materii. Wyciągnęła powoli dłoń, żeby położyć klejnot pod

wizerunkiem Matki.

- Mamy cię! - Z cienia rzucanego przez kolumnę po jej lewej stronie wyłonił się jeden mężczyzna, a dwóch następnych pojawiło się z prawej. Mieli na sobie stroje Rycerzy Zakonu, oślepiająco białe mundury i połyskujące srebrzyście kolczugi. U każdego z nich tkwił za pasem sztylet.

- Jesteś aresztowana, złodziejko! - powiedział ten z lewej.

- Nie jestem złodziejką. - Elyria cofnęła dłoń z medalionem. - Znalazłam ten przedmiot i chciałam go zwrócić.

Mężczyzna, który pierwszy się odezwał, podszedł do niej i wyjął jej medalion z dłoni. Odwinął materiał, wyjął klejnot i odłożył go na właściwe miejsce, to samo, o którym myślała Elyria.

- Widziano cię tego dnia, kiedy zniknął. A dzisiaj jesteś tu znowu. Z medalionem. To wystarczy, żeby udowodnić twoją winę.

- Nie możecie...

- Wyrok właśnie zapadł - powiedział nonszalancko, jakby nie było w tym nic szczególnego. - Wypalimy ci piętno złodziejki. Możesz uznać się za dziecko szczęścia, znaj moją łaskę. Gdybyś go nie przyniosła, odciąłbym ci ręce i wykłuł oczy, żeby ani twoje spojrzenie, ani palce nie mogły dotknąć tego, co poświęcone bogom.

- Ale... - słowa uwięzły jej w krtani, gdy złapał ją i szarpnął do góry. Trwało to chwilę, zanim odzyskała głos. - Wysłuchaj mnie! - Jej głos zanikał i odzyskiwał siłę, jak fala na wzburzonym morzu. - Musicie mi uwierzyć! Nie ukradłam tego medalionu. Ja go znalazłam!

- Zamknij się! - syknął jeden z mężczyzn i uderzył ją w kark.

- Prooooooszę! - jęknęła. Czowała, jak panika płynie lodowatym strumieniem w jej żyłach, pochłaniając najmniejszą iskrę ciepła. Gdy Rycerze Zakonu wlekli ją ze świątyni wprost do więzienia Bractwa, docierało do niej jedynie szuranie własnych obcasów po kamiennej posadzce.

3

Eddan Peristaes, Najwyższy Łowca Czarownic, wyszedł z więziennej celi. Z rękawa wyjął chustkę i wytarł w nią zakrwawione ręce. Nieobecny wzrokiem rozejrzał się po ciemnym, pozbawionym okien korytarzu. Rozmowy takie jak ta, którą miał właśnie za sobą, nie sprawiały mu przyjemności. Nie podobało mu się wymuszanie zeznań siłą. Jednak zadanie, którego się podjął, nie pozostawiało mu zbyt często wyboru. Niewielu z tych, którzy poświęcili się czarom, przyznawało się dobrowolnie do popełnionych czynów.

Mężczyzna, którego z maltretowane ciało czekało w celi na stos, był jednym z

ostatnich druidów. Ten zwolennik Ciemnego Kunsztu zbiegł w Czasie Oczyszczania i bez wątplenia użył swojej czarodziejskiej sztuki, żeby znaleźć sobie kryjówkę. Niedawno jednak został pojmany. Okrutny uśmiech przebiegł po twarzy Peristaesa jak powiew lodowatego wichru. „Nie pomogła ci twoja moc. Bogowie są sprawiedliwi. Nie pozwolą zbiec takim jak ty, kreaturom zepsutym do szpiku kości”. Ostatecznie i ten złamał swoje uparte milczenie. Ze skuteczną pomocą Eddana zaczął wyznawać swoje winy. O świcie spłonął na stosie.

Peristaes był zadowolony z wyniku przesłuchania, ale przecież od początku wiedział, jak się zakończy. Czasami mógł nawet wyczuć magiczną moc. Zapach przypominający kwitnący jaśmin. Im silniejsza była moc, tym zapach stawał się wyrazistszy. Łowca miał niewątpliwy dar wyczuwania, a właściwie wywąchiwania magicznej energii. Choć postrzegał go jako boskie błogosławieństwo, nie mógł całkowicie się na niego zdać.

Zwłaszcza gdy jego więźniowie nie byli szczególnie rozmowni, musiał zdobyć pewność. Nie mógł sobie pozwolić na błąd wypuszczenia jakiegoś maga tylko dlatego, że nie zdecydował się sięgnąć po twardsze metody i kierował się jedynie zmysłem węchu. Magiczna moc musiała zostać wyrwana z korzeniami z gleby świata. Zbyt wiele cierpienia przyniosła ludziom i zbyt wiele śmiertelnych ofiar. Pochłonęła także jego własną rodzinę, która podczas rozpętanej Wojny Mocy zginęła w straszliwej fali magicznej energii uwolnionej przez wroga. Cała wioska została wtedy zniszczona. Peristaes był od zawsze płomiennym zwolennikiem Bractwa Oświeconych. Lecz dopiero śmierć żony i syna uświadomiła mu, że sama wiara nie zdziała niczego, jeżeli nie jest się gotowym dla niej walczyć. Z jego inicjatywy i przy wsparciu Pierwszego Brata, Najwyższego Kapłana Bractwa, powstała grupa Synów Eaghana. W przyszłości nikt nie będzie musiał się bać, że straci rodzinę przez jakiegokolwiek ciemne czary.

Jakieś krzyki przebiły się przez mur jego myśli i przywróciły Eddana do rzeczywistości. Nadal wycierał palce w chustkę. Biała tkanina nasiąkała już krwią, lecz jego dłonie wciąż nie były czyste. Linie na wewnętrznej stronie dłoni pociemniały od zaschniętej krwi. Przez chwilę wpatrywał się w nie z natężeniem, jakby były mapą wskazującą mu drogę ku przyszłości. Znow te krzyki. Tak rozpaczliwe i pełne przerażenia, że przeszedł mu po plecach nieprzyjemny dreszcz. Spojrzał w głąb korytarza, w kierunku otwartych drzwi jednej z cel. Ponure cienie kłębiły się w świetle pochodni, to olbrzymiejąc, to kurcząc się w rytmie migotania płomienia. Zamrugał powiekami. Cieniste postaci zbiły się w jedną plamę i ukazały postać Zarządcy Więzienia. Przed nim klęczała młoda kobieta przytrzymywana przez jego dwóch pomocników. To jej krzyki dotarły do uszu Peristaesa i wbiły się w serce jak kolec. Mężczyźni wykręcili jej ręce do tyłu, tak że nie mogła się poruszyć. Długie, ciemnobrązowe

włosy opadały jej na twarz jak welon. Dziewczyna opierała się całym ciałem, próbując uwolnić się z rąk oprawców. Wszystko na nic. Na skinienie Zarządcy Więzienia jeden z pomocników rozerwał jej suknię na plecach i odsłonił delikatną, opaloną skórę.

Peristaes podszedł bliżej, by przyjrzeć się z bliska jej twarzy. Mocny chwyt mężczyzny nadal zmuszał ją do pochylenia głowy. Gdyby ją podniosła, pomocnicy wywichnęliby jej ręce w barku. Krzyczała i szarpała się z mężczyznami. Gdy Eddan zaczął się zastanawiać, dlaczego tu trafiła, zauważył misę z żarzącymi się węglami, a w niej żelazo do wypalania piętna. To była złodziejka. Poczul przez chwilę odrobinę współczucia.

Jej krzyki powoli cichły, całkowicie wyczerpana oddychała z trudem. Peristaes patrzył na jej plecy. Delikatne kropelki potu na skórze połyskiwały w świetle pochodni jak diamenty.

Zarządca Więzienia sięgnął po żelazo. Rozżarzone do czerwoności niczym oko demona zbliżało się powoli do skóry kobiety. Mężczyźni chwycili ją jeszcze mocniej, a on przystąpił do dzieła. Gorące żelazo z sykiem wżarło się w jej plecy. W potwornym bólu odrzuciła głowę do tyłu. Włosy opadły na bok i na krótką chwilę odsłoniły jej rysy. Peristaes dostrzegł nareszcie jej oczy. Nadmiar cierpienia przyćmił jej spojrzenie, lecz nie ukrył złotej poświaty, która przykuła jego uwagę. Lodowate zimno skłuło jego serce, jakby miało je za chwilę zmiażdżyć. Powietrze zdawało się płonąć i każdy oddech zamieniał się w palącą torturę. Eddan znieruchomiał, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, jak schwytyany w pułapkę płomieni buchających z jej oczu. Po chwili mężczyźni zwolnili uścisk, a ona opadła na ziemię bez sił. Czar przysł.

Najwyższy Łowca Czarownic stał jak rażony piorunem. Te oczy. Czy kiedykolwiek w życiu ogarnęło go już takie przerażenie jak to na widok jej oczu?

Powoli wracał mu rozsądek. Oderwał wzrok od dziewczyny i już opanowany spojrzął na Zarządcę Więzienia.

- Zanieście ją do mojej celi - rozkazał szorstko.

W oczach mistrza rozbłysło zdumienie. Pot połyskiwał na jego gołej czaszce.

- Panie?

- Dobrze mnie zrozumiałeś! Rób, co ci każę!

Peristaes nie czekał, aż drzwi celi się za nią zamkną.

Wiedział, że Zarządca nie odważy się sprzeciwić jego rozkazom. Wielkimi krokami podążał korytarzem, mijając kobietę i strażników. Gryzący zapach spalonego mięsa wisiał ciężko w powietrzu.

Wbiegł schodami do wieży, prosto do swojego gabinetu. Wpadł do środka, podszedł do biurka, szarpnął za uchwyt szuflady, po czym wyciągnął z niej drewnianą kasetkę, którą od

dawna tam przechowywał. Wolną dłonią zsunął wszystko z blatu. Papiery zawirowały w powietrzu i opadły wolno na ziemię, jak unoszone ręką ducha. Kałamarz spadł na podłogę i się roztrzaskał. Peristaes wpatrywał się w kasetkę. Powoli przesunął wzrokiem po ciemnym, błyszczącym modrzewiowym drewnie, po złotych okuciach zdobiących brzegi. Z trudem wyciągnął po nią rękę. Przesunął palcami po gładkiej powierzchni, sięgnął do skobelka, wyciągnął go i powoli otworzył kasetkę. W środku znajdował się zwój zapisanego papieru, żółkły i w połowie zniszczony.

Peristaes znał jego treść, przynajmniej tę część, którą można było jeszcze odczytać. Musiał się jednak ponownie na własne oczy przekonać, że się nie mylił. Kruchy pergamin zaszeleścił pod dotknięciem dłoni, gdy Eddan go ostrożnie rozwijał. Przebiegł wzrokiem po wyblakłym atramencie, po rozmytych linijkach do miejsca, którego szukał. Wargi bezgłośnie układały się w słowa. „Ona, w której złotych oczach płoną ognie Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magię w postaci wszystko niszczącej pożogi...”.

Dalsze słowa były nieczytelne. Dopiero trochę dalej można było odczytać kilka kolejnych linijek tekstu. Fragmenty, które z tak okropną dokładnością wieszczły zniszczenie świata, że nie odważył się ich po raz kolejny przeczytać. Powoli opuścił pergamin.

Złote oczy, które dostrzegł u tej dziewczyny w więzieniu. Wypatrywał ich wszędzie, od kiedy Pierwszy Brat przekazał mu pergamin, a on ze skupieniem go przestudiował. Wydawała się taka niewinna i wystraszona. Czy osoba dysponująca taką mocą pozwoliłaby wypalić sobie piętno? Jeśli nie chce, żeby ktokolwiek odkrył jej moc, prawdopodobnie nie miała innego wyboru.

*

Następne dwa dni Peristaes spędził w swoim gabinecie w wieży. Odprawiał każdego, kto chciał z nim rozmawiać. Poświęcał się studiowaniu starych pism. Próbował doszukać się w nich wiedzy, która rozproszyłaby jego wątpliwości. Nie znalazł jednak nic, czego by już nie wiedział. W końcu zszedł na dół, prosto do więzienia.

Polecił swoim pomocnikom, żeby przenieśli dziewczynę do jednej z jego cel, w których zwykł przesłuchiwać oskarżonych. Ściany tego pomieszczenia były w całości wyłożone cienką warstwą żelaza. Metal powstrzymywał przepływ magicznej energii i zapobiegał wydostawaniu się mocy na zewnątrz. Jeszcze nigdy żaden z magów nie opuścił tego pomieszczenia wbrew woli Peristaesa. Ponadto Eddan nosił na palcu pierścień ze znakiem Bractwa, w którym utrwalono błogosławieństwo pięciu bogów. Ten pierścień oddał mu już wcześniej nieocenione usługi, chroniąc go w Czasie Oczyszczenia przed magicznymi atakami. Magia nie miała się Peristaesa, dopóki nosił na palcu ów boski klejnot. Miał na

podorędziu wiele sposobów, by przeciwdziałać mocy, która tkwiła w tej dziewczynie. Chciał ją jednak przechytryć, chciał na własne oczy zobaczyć, jak czarownica sięga po swoją ciemną sztukę.

Pochodnie zatknięte na ścianach otulały pomieszczenie leniwym blaskiem. Peristaes spojrzął na stojącą pośrodku ławę tortur, a następnie przyjrzał się uważniej stolikowi obok, na którym leżały jego narzędzia ukryte pod skrawkiem tkaniny. Wszystko starannie przygotowane.

Z gniewnym błyskiem w oku popatrzył na młodą kobietę. Nie ruszała się. Zwinięta w kącie obejmowała kolana ramionami. Głowę miała spuszczoną. Jej rdzawoczerwona suknia była pognieciona i brudna.

Wciągnął w nozdrza powietrze, sprawdzając zapach w pomieszczeniu. Nie wyczuł ani śladu jaśminu, jeszcze nie.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - spytał i zbliżył się do niej o krok.

Podniosła głowę. Ukazała twarz, która mimo pokrywającego ją brudu była gładka i ładna. Była młoda. O wiele młodsza od wszystkich magów, z którymi do tej pory miał do czynienia. Łzy pozostawiły jasne smugi na delikatnych policzkach. Lecz to nie twarz dziewczyny przykuwała jego wzrok, tylko oczy. Miały ciepły odcień brązu z bursztynowymi iskierkami, ale nie były złote. Pomylił się.

Na korytarzu wyglądały tak... Potrząsnął głową. Puści ją wolno. Jak tylko zdobędzie pewność, że istotnie się pomylił.

- Nic nie zrobiłam - słowa wypowiedziane cicho były ciężkie od bólu. Dopiero teraz zauważył, że jej oczy błyszczą w gorączce.

- Jak się nazywasz?

W jej spojrzeniu czaiła się nieufność. Pomyślał już, że nie odpowie, gdy szepnęła:

- Elyria.

- Elyria - powtórzył i kiwnął głową. Przyglądał się jej badawczo, rejestrując każdy najdrobniejszy ruch.

- Jestem Eddan Peristaes, Najwyższy Łowca Czarownic Bractwa Oświeconych. - Jej źrenice rozszerzyły się. Był już przyzwyczajony do takiej reakcji. - To jest żelazna izba. Znalazłaś się tutaj, ponieważ myślę, że jesteś czarownicą.

Wyprostowała się gwałtownie. Wstawała, chwiejąc się na nogach. Po raz pierwszy dostrzegł w jej oczach iskierkę życia.

- Co takiego zrobiłam wam, panie, i pańskim braciom zakonnym, że tak mnie torturujecie? - powiedziała łamiącym się głosem.

Ból wypalonego piętna nadal szalał w jej ciele i bardzo ją osłabił.

- Czyż nie zadowolicie się przyjemnością, że niewinna osoba została napiętnowana?

- Nie zamierzam rozsądzać, czy jesteś winna bądź niewinna czynu, o który cię posądzają. Mnie chodzi wyłącznie o to, by dociec, kim naprawdę jesteś.

Splótł ręce na piersiach i obserwował ją. Ledwie trzymała się na nogach. Drżącymi dłońmi usiłowała wymacać ścianę, szukała podpory. Rozbieganym wzrokiem badała otoczenie jak zwierzę w pułapce poszukujące drogi ucieczki.

- Wiesz - ciągnął dalej i zaczął przechadzać się raz w jedną, raz w drugą stronę, nie tracąc z oczu jej postaci - robiłem to już niezliczenie wiele razy. Każde przesłuchanie przebiega podobnie. Próbuję rozmawiać z podejrzanym. Większość jest zacięta i odmawia współpracy. A przecież chcę jedynie oszczędzić im cierpień - westchnął. - Kiedy więzień nie chce współpracować, jestem zmuszony sięgnąć po inne środki, niestety bardzo bolesne. Czasami trochę to trwa, zanim się poddadzą i zaczną błagać o litość. Większość jednak nie może długo znieść cierpienia.

Dziewczyna nie sprawiała wrażenia, jakby choć przez chwilę mogła oprzeć się jego metodom wymuszania zeznań. Dlaczego była taka słaba? Schwycił jej suknię i szybkim ruchem ściągnął z pleców. Materiał oderwał się z głośnym trzaskiem. Krzyknęła. Ropa i osocze wypływające z rany przykleiły tkaninę do zakażonego piętna. Nogi ugięły się jej w kolanach. Peristaes podtrzymał ją, zanim upadła. Drżała w jego rękach, pod palcami wyczuł gorączkowy żar skóry.

Mimo to usiłowała wyslizgnąć mu się z rąk, była jednak zbyt słaba, by go od siebie odepchnąć. Jak tylko się upewnił, że nie zemdleje, puścił ją i podszedł do stołu stojącego obok ławy tortur. Jednym ruchem ściągnął materiał na bok i odsłonił równo ułożone narzędzia. Dziewczyna westchnęła głośno. Palce Peristaesa przesunęły się nad nożem, dotknęły kilku śrub służących do miażdżenia kciuków i młotka, zanim zatrzymały się nad skórzanym rzemieniem.

- Powinnaś wyznać mi prawdę, Elyrio. Nie chcę niepotrzebnie sprawiać ci bólu.

Złapał końce skórzanego rzemienia i szarpnął go gwałtownie, aż rozległ się trzask.

Elyria wzdrygnęła się.

- Nic nie zrobiłam - powiedziała stłumionym głosem.

Wydawała się tak słaba, że Peristaes nie odważył się rozpocząć bardziej „wnikliwego” przesłuchania. Wyzionęłaby ducha, to pewne, zanim zmusiłby ją do powiedzenia prawdy. Zmarszczył czoło. Co jeszcze chciał z niej wydobyć siłą? Widział jej oczy. Na korytarzu były złote, mógłby dać sobie rękę uciąć. Teraz wprawdzie były inne, ale to jeszcze nic nie

oznaczało. Z pewnością potrafiła zmieniać kolor oczu, żeby ukryć, kim naprawdę jest. Palce Peristaesa zacisnęły się na końcach rzemienia. Wszystko w nim krzyczało, żeby nie zwlekać i jak najszybciej przystąpić do dzieła. I co z tego, że ta czarownica umrze? I tak spłonęłaby na stosie. „A jeśli się mylę...?”. Myśl, że mógłby odpowiadać za śmierć niewinnej osoby, przygnębiała go. Nie, nie mógł dopuścić, żeby umarła, zanim złoży zeznania. Potrzebował dowodu, że jest czarownicą, i będzie go miał! Jeśli nie teraz, to kiedy indziej, kiedy ta wiedźma poczuje się trochę lepiej. Dzisiaj zaniecha swoich metod, a zamiast tego zada jej kilka pytań. Kto wie, może wystarczy już sam widok narzędzi tortur, by nakłonić ją do mówienia.

- Zaprzeczanie, kim naprawdę jesteś, nic ci nie pomoże. Prędzej czy później dowiem się prawdy. Oby prędzej...

Odłożył rzemień na bok i chwycił młotek.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co można z tym zrobić? - Uderzył nim z hukiem w ławę tortur. - Wyobraź sobie, że tutaj leży twoja dłoń.

Stała bez ruchu, wpatrując się z natężeniem w młotek. Tylko dłonie przycisnęła do piersi.

- Jestem niewinna.

Czyżby słyszał pierwszą nutę paniki w jej głosie? Już teraz? Nie wytrzyma długo. Jeszcze trochę, a wyzna wszystko, może nawet sięgnie po swoją magiczną moc, żeby się obronić. Wtedy miałby nareszcie swój dowód.

- Jesteś zatwardziała - odłożył młotek na bok i sięgnął po rzemień.

Powoli podszedł bliżej, wciągając powietrze, żeby sprawdzić zapach. Nadal nie wyczuwał jaśminu. Może była słaba, ale kontrolowała swoją moc i sprytnie ją skrywała. I tak ją z niej wydobędzie! Nie mógł uratować swojej żony i syna, ale niech będzie przeklęty, jeśli dopuści, żeby ta zepsuta dziewczka zniszczyła inne rodziny. Ogarnęły go równocześnie wściekłość i smutek. Od lat świetnie znał te uczucia, bo to one dawały mu siłę do działania. Gdy zamknął oczy, mógł usłyszeć, jak żona wołała o pomoc, zanim magiczny ogień strawił jej ciało. Słyszał też płacz niemowlęcia i wiedział, że to jego syn, któremu nie mógł już pomóc. Palce Peristaesa ponownie zacisnęły się na rzemieniu. Czarownica za to zapłaci! Przerażający krzyk, wypełniony cierpieniem i przerażeniem, dotarł do jego umysłu. „Już nic nie mogę dla ciebie zrobić, Ilani, tak samo jak nie mogę uratować Padraiga. Wybacz mi!”. Lecz krzyk nie umilkł. Powoli uświadomił sobie, że to nie był krzyk żony ani syna. Gdy zaczął zastanawiać się, skąd dochodzi, gniew opadł jak mgła i ponownie dostrzegł Elyrię.

Cofała się, wciskając się w kąt. Szkarłatna linia biegła po jej policzku, tam, gdzie

skórzany rzemień przeciął skórę, liczne pręgi na rękach i grzbietach dłoni świadczyły o tym, że próbowała osłonić się przed jego razami. Peristaes przerażony opuścił rękę. Jak mógł się tak zapomnieć? Strata rodziny doskwierała mu każdego dnia na nowo, zawsze jednak pamiętał o spoczywającej nań odpowiedzialności i wyznaczonym mu zadaniu. Ochrona niewinnego życia! Dopóki nie udowodni tej dziewczynie czarno na białym, że jest czarownicą, należy ją traktować jako niewinną. Jego głęboki smutek idący w parze z nienawiścią do wszelkich przejawów magicznego kunsztu, a także myśl, że ta dziewczyna może być najgroźniejszą z czarownic, sprawiły, że na chwilę stracił nad sobą panowanie. Coś takiego nie może się już nigdy więcej powtórzyć!

Niepowstrzymany szloch wzbierał w gardle Elyrii. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, upadła na kolana. Patrzyła na swojego oprawcę, oddychając z trudem. Powieki opadały jej ciężko i prawie nie była w stanie skupić na nim wzroku. Za chwilę straci świadomość. I wciąż nie sięgnęła po swoją magiczną moc.

A jeśli naprawdę nie ma takiej mocy...

- Jesteś dziewczyną o złotych oczach! - powiedział to, jakby chciał utwierdzić się w przekonaniu, że jest niebezpieczna. Krtań ścisnęła mu się, gdy spojrzał na Elyrię. Czy ta delikatna istota może być czarownicą? Dlaczego się nie broni?

Poruszyła wargami. Mówiła zbyt cicho, żeby mógł zrozumieć. Nachylił się nad nią, przysunął ucho bliżej jej ust.

- Nic... nie zrobiłam.

Ledwie słyszalny szept jak lekki powiew wiatru musnął bębenek w jego uchu. Potrafił rozpoznać, co wyraża ton ludzkiego głosu. Ból i strach były prawdziwe. Nie stosowała żadnych sztuczek, żeby ukryć swoje magiczne zdolności. Była u kresu sił. I w dalszym ciągu nie wyczuł nawet śladu zapachu jaśminu w powietrzu.

- Przykro mi - podniósł rękę i pogładził dziewczynę po włosach. - Ale nie mogę cię wypuścić. Muszę być absolutnie pewien.

Nadal istniała możliwość, że ukrywa swoją magiczną moc. Jeśli rzeczywiście była dziewczyną o złotych oczach, należało mieć się na baczności. W takim przypadku musiała być lepsza i silniejsza niż wszystkie czarownice i magowie, z którymi do tej pory miał do czynienia. Dopiero gdy przetrwa wszystkie próby i nie odwoła się do magii, będzie miał niezbitym pewnością, że nie jest czarownicą. Musiał tylko bardziej się napracować, z innymi więźniami sprawa była dużo prostsza. Ale na dziś koniec prób. Jeśli nie chce jej zabić...

4

Dotyk czyjejś dłoni przywrócił Elyrię do rzeczywistości. Poczwała, jak na jej szyi

zaciska się lodowata obręcz. Wraz ze świadomością powrócił ból, który czał się w ciemności jak drapieżne zwierzę. Jęknęła cicho. Ciało płonęło w gorączce, gęsta mgła otulała jej myśli. Nie miała odwagi otworzyć oczu. Za bardzo bała się tego, co może zobaczyć.

Palcami wymacała coś twardego, co mogło być drewnianą pryczą. Leżała na brzuchu. Zimny strumień powietrza przepłynął jej po plecach, aż zadrzała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ktoś zsunął górną część jej sukni i obnażył ramię.

Z odrętwienia wyrwał ją dotyk dłoni w miejscu, gdzie rozpalone żelazo wypaliło okrutne piętno. Ból rozgorzał na nowo, pulsował jak powracająca fala. Tak bardzo chciała zapomnieć o swoim umęczeniu, ale nie mogła. Szarpała się, krzycząc z przerażenia.

- Cicho, zaraz będzie lepiej - jakiś męski, łagodny głos przebił się przez mgłę, która chciała na nowo zawładnąć jej umysłem. Ciepła dłoń spoczywała na jej zdrowym ramieniu, powstrzymując przed gwałtownym ruchem. Elyria opadła z powrotem na pryczę. Usiłowała podnieść powieki, lecz ból jej na to nie pozwolił. Mimo gorączki marzła straszliwie. Drżała i czekała, aż ból ucichnie choć odrobinę, zdając się na głos, który prowadził ją przez ciemność.

- Wytrzymaj jeszcze trochę... - Mężczyzna znów dotknął jej pleców.

Wygięła się w męce, jęknęła rozpaczliwie. Zapamiętała jeszcze chłód maści, którą ktoś posmarował pałającą ranę, i osunęła się w bezpieczny mrok.

Kiedy znów się ocknęła, ból zelżał, czuła teraz głuche pulsowanie, a gorączka lekko spadła. Tym razem odważyła się otworzyć oczy. Zmrużyła je szybko, ponieważ chybotliwy blask pochodni raził jej obolałe źrenice. Leżała na brzuchu na więziennej pryczy. Nie marzła już, a na skórze czuła materiał sukni i ciepły ciężar koca otulającego jej ciało. Powędrowała wzrokiem po wilgotnych kamiennych murach. Na ścianie poruszył się cień, zrobił się większy i powoli obejmował coraz więcej przestrzeni wokół niej. Elyria przestraszyła się, gdy usłyszała cichy szelest szat. Nie była sama!

Ostrożnie się obróciła. Ból powrócił na chwilę z całą siłą. Przygryzła wargę i stłumiła podchodzący do gardła jęk cierpienia. Silne dłonie schwyły ją wpół i pomogły się podnieść. Cień pochłonął ją całkowicie. Powoli z ciemności wyłaniały się szczegóły. Pochylał się nad nią jakiś rostry wojownik z długimi, jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz. Jego gładka twarz wyglądała jak obraz utkany ze światła i cienia, a w zielonych jak mech oczach migotało współczucie.

Współczucie? Elyria zamrugała powiekami, spróbowała uwolnić się z jego rąk. Nie puścił jej, a ona była zbyt słaba, by mu się sprzeciwić.

- Nie bój się - powiedział łagodnym głosem, który słyszała wcześniej. Nagle przypomniała sobie, że ocknęła się z omdlenia, ponieważ poczuła coś na swojej szyi. Szybko

jej dotknęła. Wyczuła szeroką żelazną obręcz, która była nałożona na tyle luźno, żeby mogła oddychać.

- To dla bezpieczeństwa - wyjaśnił, zanim zdążyła o to spytać. - Ma zapobiec twoim próbom sięgnięcia po magiczną moc.

Elyria poszukała zapięcia.

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Tylko ten, kto ją założył, może ją zdjąć. - Sięgnął po bukłak leżący na ziemi, odkorkował go i podał Elyrii. - Pij. To sok Kalva. Dobry na ból i gorączkę. Wtarłem go już w twoją ranę.

Nie protestowała zbyt i sięgnęła po bukłak. Kiedy mężczyzna zbliżył się do niej, szybko się odsunęła.

- Chcę ci pomóc.

- Dlaczego chcesz mi pomóc? - słowa płynęły z jej ust niepewnie, chrypliwie. - Czy Łowca Czarownic chce, żebym dotrwała w lepszym stanie do kolejnego przesłuchania? Może się boi, że dłużej nie wytrzymam jego tortur?

Łowca Czarownic. Te słowa zabrzmiały nierealnie, jakby wyskoczyły z sennego koszmaru. Drżała z zimna, więc naciągnęła koc na plecy. Do oczu napłynęły jej łzy, ale powstrzymała je dzielnie.

Zatrzymano ją przecież jako złodziejkę i zamiast wypuścić zaraz po napiętnowaniu, zamknięto w kolejnej celi. I to w celi, którą Peristaes nazywał Żelazną Izbą. Nie rozumiała, jak można było ją podejrzewać o uprawianie czarów czy posiadanie magicznej mocy. A podejrzewał ją nie byle kto, bo sam Najwyższy Łowca Czarownic. Nazwał ją nawet dziewczyną o złotych oczach.

- Dlaczego tu jestem?

Mężczyzna zakorkował bukłak i położył go obok niej na pryczy. Nie odpowiedział. Podniósł się z miejsca, sięgnął po pochodnię i podszedł do drzwi. Zanim opuścił celę, jeszcze raz się do niej odwrócił. Wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem, co on takiego w tobie widzi. Poza tym, że jesteś naprawdę śliczna...

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, cela pogrążyła się w ciemnościach. Elyria siedziała przez chwilę nieruchomo, przyzwyczajając oczy do mroku. Wreszcie sięgnęła po bukłak i pociągnęła z niego duży łyk. Gęsty sok spłynął powoli do żołądka, pozostawił na języku dziwną jedwabistość, a w ustach gorzki posmak. Gorzki jak strach, od którego drżały jej ręce. Trunek rozlał się przyjemnym ciepłem w jej wnętrzu i uśmierzył ból. Umysł rozjaśniał się stopniowo, a gorączka trochę spadła. Niestety, lekarstwo nie zmieniło ani trochę

jej beznadziejnego położenia. Elyria opadła na pryczę i wpatrywała się w ciemność.

Nie wiedziała, ile czasu upłynęło, aż drzwi otworzyły się raptownie i do celi wpadł oślepiający blask latarni. Mrugając oczami, starała się oswoić z nagłą jasnością.

- Czy ma obrożę? - usłyszała jakiś głos.

Światło latarni zakołysało się lekko, potem podskoczyło w górę i znów opadło.

- Tak, założył jej na tę łabędzią szyjkę - odparł drugi głos, głęboki i tubalny.

Usłyszała kroki i światło zbliżyło się powoli. Za nim dostrzegła zarysy postaci. Rozpoznała sylwetki dwóch strażników. Jeden z nich podszedł do pryczy, złapał Elyrię brutalnie za rękę i poderwał na nogi. Ból powrócił gwałtownie jak uderzenie pięścią. Zachwiała się i byłaby pewnie upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

- Pomóż mi! - krzyknął do towarzysza.

Ten drugi powiesił latarnię na haku obok drzwi i podszedł bliżej. Po chwili poczuła, jak zaciska palce na jej drugiej ręce. W końcu wywlekli ją na oświetlony pochodniami korytarz. Mimo że strażnicy nie rzekli ani słowa, Elyria wiedziała, dokąd ją zabierają. Oczami wyobraźni widziała izbę ze ścianami połyskującymi zimnym metalem. Słyszała głos Najwyższego Łowcy Czarownic wbijający się w jej mózg. „Nie chcę ci niepotrzebnie sprawiać bólu”. Napływająca panika sparaliżowała ją tak bardzo, że nie mogła się poruszyć.

- Naprzód! - Nagły kuksaniec w plecy wytrącił ją z odrętwienia. Zatoczyła się w stronę ściany. Zbyt późno dostrzegła mężczyznę nadchodzącego z naprzeciwka. Próbowала jeszcze uniknąć zderzenia, ale on też zrobił krok na bok, bo usiłował ją wyminąć. Potknęła się, zderzyła z nim i byłaby upadła, gdyby odruchowo nie wyciągnął rąk i jej nie złapał. Chwycił ją za ramiona i przycisnął plecami do ściany. Zimny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa. Powietrze wypełniło się świetlnymi drobinkami i w tej samej chwili na jego dłoni pojawiły się iskierki. Tam, gdzie stykali się ramionami, zaczęły przeskakiwać między nimi jak żywe istoty. Były precudowne, jasnoniebieskie jak niebo o przejrzystym wiosennym poranku. Elyria przestraszyła się, podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę. Nagle poczuła się dziwnie - miała wrażenie, że jej oczy go przyciągają. Zdumiona zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego od razu nie dostrzegła bruzd goryczy wokół jego ust, jakby na wiele lat zapomniał o uśmiechu. Para poważnych niebieskich oczu odwzajemniła jej spojrzenie. Proste brwi, kruczoczarne jak jego włosy, nadawały spojrzeniu wyraz pełnego wyższości spokoju. Wszystkie te wrażenia spłynęły na nią w czasie jednego oddechu. Mimo to dostrzegła każdy detal, jakby studiowała jego wygląd godzinami lub jakby znała go całe życie. Jakiś wewnętrzny głos czy też głębokie uczucie szeptało jej cicho, że od zawsze był częścią jej samej.

Puścił ją i cofnął się o krok. Poczucie jedności nagle zniknęło. Iskierki przeskakujące między nimi zgasły i zaskoczenie, które na moment pojawiło się na jego twarzy, zamieniło się w tę samą co wcześniej, obojętną maskę. Jego rysy rozmyły się i Elyrii zakręciło się w głowie tak, że była bliska omdlenia. Kiedy próbowała zapanować nad młdościami, on oddalił się szybko i zniknął w głębi korytarza.

Strażnicy znów złapali ją za ręce, a ona zachwiała się. Oczekiwała kolejnej fali bólu i mdłości, nic takiego jednak się nie wydarzyło. Zdumiona i oszołomiona spoglądała za nieznanym, którego dotknięcie wywołało takie zmiany w jej ciele. Przecież dotyk nie leczy i niczego nie zmienia. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego już nie odczuwała bólu. Prawdopodobnie zadziałał sok Kalva lub napięcie, które przeniosło ją w ten cudowny stan poza wszelkim cierpieniem. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym wydawało jej się to bardziej prawdopodobne. Ale co mogły oznaczać te niebieskie iskry? Prawdopodobnie były halucynacją. W przeciwnym razie strażnicy zareagowaliby na ich widok.

Zatopiona w myślach nie zauważyła, że tymczasem dotarli do żelaznej komnaty. Peristaes już na nich czekał. Z założonymi rękami opierał się plecami o ławę tortur i obserwował, jak wprowadzają Elyrię. Potem skłonili się przed nim i natychmiast wyszli. Drzwi nie zdążyły się jeszcze za nimi zamknąć, kiedy Peristaes odepchnął się od ławy i zbliżył do niej.

- Wygląda na to, że czujesz się już dużo lepiej.

Elyria nic nie odpowiedziała. Strach zacisnął się lodowatą pięścią na jej sercu.

- Daję ci jeszcze jedną szansę przyznania się do swojej magicznej mocy. - Był już całkiem blisko, tak blisko, że mogła rozpoznać delikatną sieć zmarszczek wokół jego oczu. - Nie rób sobie nadziei, więdźmo, nie możesz mi nic zrobić - podniósł lewą dłoń, na której nosił pierścień ze złotą błyskawicą, znakiem Bractwa Oświeconych. - Moc bogów chroni mnie przed twoimi ciemnymi mocami. - Spojrzał w bok na jakiś punkt na ścianie. - I tak zauważę, kiedy się do nich uciekniesz. Po prostu je wyczuję.

Elyria wciąż nie rozumiała, dlaczego uważa ją za czarownicę. „Przecież nikomu nic nie zrobiłam!”, pomyślała w popłochu. Pochylił się do przodu i złapał ją za szyję, a ona skuliła się z przerażenia. Poczowała na karku ciepło jego oddechu, podczas gdy jego palce były zajęte otwieraniem zamka na obręczy.

- To już nie będzie konieczne. - Jego głos był łagodny, jakby był jej kochankiem, a nie katem. Zamek otworzył się z cichym szcęknięciem, potem ciężar spadł z jej szyi. Peristaes wciągnął powietrze tuż koło jej ucha.

- Jaśmin - jeszcze raz głęboko odetchnął. - Zatem nie pomyliłem się!

Jego niezrozumiałe zachowanie wzmogło jej strach. Popatrzyła na ławę tortur i stolik obok niej, na którym leżały narzędzia. Bała się dociekać, do czego miały służyć. Haki i młot, nóż i śruby do ściskania kciuków, długie żelazne gwoździe i skórzane rzemienie. Wszystko połyskiwało groźnie i zimno w świetle pochodni.

Peristaes podszedł do stolika i wziął młotek. W koniuszkach palców Elyria poczuła mrowienie, zupełnie jakby dłonie zaczęły jej drętwieć. Przez ciało przepłynęła fala gorąca jak nagły atak febry i wpłynęła do ręki w chwili, gdy Peristaes uniósł młotek.

- Nie! - krzyknęła.

Plomienie pochodni buchnęły w górę z głośnym sykiem. Ręka wyskoczyła do przodu i wykonała gest wycierania, którego Elyria nie mogła opanować. W tej samej chwili młotek został wyrwany jakąś niepojętą siłą z dłoni Peristaesa. Oczy Elyrii rozszerzyły się z przerażenia, kiedy młotek uderzył z impetem w ścianę i pozostawił wyraźne wgłębienie w metalu.

- Wiedziałem!

Elyria popatrzyła na własną dłoń, potem na wgłębienie w ścianie i znów na dłoń. Drżały jej palce. Była wyczerpana, jakby przebiegła wiele mil.

- Sama skazałaś się na stos. - Peristaes sięgnął po obrożę, którą niedawno zdjął. Elyria zaczęła się cofać krok za krokiem, aż ściana za plecami uniemożliwiła jej dalsze ruchy. Przez cienki materiał koszuli poczuła dotknięcie metalu i z ulgą przyjęła jego chłód na swoim rozpalonym ciele. Peristaes podszedł bliżej. Natychmiast poczuła mrowienie, które jak fala napłynęło do jej ręki i uniosło ją w górę. Ława tortur zaczęła się poruszać. Z wściekłym łoskotem szurała po podłodze, sunąc wprost na Peristaesa. Spokój, który jeszcze przed chwilą gościł w jego spojrzeniu, przepadł w chwili, gdy ława natarła na niego z furią i rzuciła go na ścianę.

Elyria upadła na kolana. W jednej chwili została pozbawiona wszelkiej siły życiowej. Odszukała wzrokiem Peristaesa. On też leżał na podłodze, próbując rozpaczliwie się oswobodzić. Elyria zaczęła czołgać się w kierunku drzwi wczepiona palcami w metalowe obicie ściany. Wstała z trudem, kolana miała miękkie jak z waty. Nie pojmowała, co się wydarzyło przed chwilą. Jedyne, co kołatało się w jej głowie, to myśl o ucieczce, zanim Peristaes ją dopadnie. Na stos. Ta straszna wizja spowodowała nawrót gorączki. Szarpnęła drzwiami, ale były zamknięte. Za jej plecami Peristaes usiłował się podnieść. Jeszcze chwila, a mu się uda. Jej oddech przyspieszył, napędzany strachem i rosnącym zamętem w głowie. „Co się ze mną dzieje?”. Sięgnęła drżącą ręką do drzwi. Kiedy tylko palce dotknęły drewna, zamek odskoczył. Drzwi prowadzone jakąś niewidzialną siłą otworzyły się na zewnątrz.

Elyria wyszła na korytarz, zataczała się jak pijana. Przyłgnęła do ściany, żeby nie upaść. Za jej plecami rozległ się wrzask Peristaesa. Dwóch strażników zaalarmowanych jego krzykiem bieгло prosto na nią. W koniuszkach palców poczuła przyływ palącego gorąca. Chwilę potem coś poderwało mężczyznę w górę i rzuciło o ścianę z takim impetem, że osunęli się bezwładnie na podłogę.

Elyria nigdy wcześniej nie czuła takiego znużenia. Z trudem chwytając powietrze, posuwała się naprzód na czworaka. Świat pokryła mgła. Usłyszała za sobą jakieś głosy. Peristaesowi udało się oswobodzić i teraz wydawał swoim ludziom polecenia. Strażnicy na razie trzymali się od niej z daleka. Domyślała się, że tylko czekają, aż zemdleje, dopiero wtedy ją pochwycają.

Powoli posuwała się naprzód, coraz dalej i dalej. Jej dłonie szorowały po chropowatej, kamiennej ścianie, która wskazywała kierunek. Wreszcie dotarła do schodów. Obejrzała się, ale ludzie Peristaesa wciąż obserwowali ją z dużej odległości, nie kwapiąc się, żeby podejść bliżej.

Stopień po stopniu wciągała się po poręczy schodów. Każdy krok był cięższy od poprzedniego. Udręczona dotarła w końcu do ostatniego stopnia i otworzyła drzwi u szczytu schodów. Zimne nocne powietrze uderzyło ją w twarz i przywróciło zdrowy rozsądek, który odezwał się gdzieś w zakamarkach mózgu. Nie możesz uciec, szepnął. Nie jesteś w stanie utrzymać się na nogach. Jak zbiegniesz całej czeredzie strażników?

Wyczołgała się przez próg i z trudem stanęła. Czujnym spojrzeniem omiotła całe podwórze. Pojedyncze latarnie rzucały snopy światła w głęboką czerń nocy, budząc do życia niespokojne cienie. Ciemne kontury budynków wbijały się w ciemne niebo. To był Zakon Bractwa Oświeconych i ich świątynia, stajnie, stodoły i szklarnie. Sprowadzili ją tutaj jako złodziejkę. Teraz stała się czarownicą.

Chłodny powiew wiatru dotknął jej policzka i oderwał od niespokojnych myśli. Dopiero teraz zauważyła, że zatrzymała się na progu. Jeszcze nikogo nie dostrzegła, ale odgłosy pościgu stawały się coraz donośniej sze. Powłócząc nogami, Elyria wyszła na dziedziniec.

Para silnych rąk schwyciła ją nagle, objęła od tyłu i pociągnęła za sobą. Fala gorąca natychmiast popłynęła w jej ciele, chociaż nie tak silna jak wcześniej. Elyria miała unieruchomione ręce i nie mogła się bronić. Opadła bez sił.

Oczekiwała, że mężczyzna wezwie posiłki, ale żadne słowo nie wydobyło się z jego ust. Zamiast tego ciągnął ją gdzieś za sobą. Usłyszała niewyraźne skrzypienie drzwi. Chwilę później zamiast nieba zobaczyła nad głową dach stodoły. Zaciśnięte na jej pasie ramię

zwolniło uchwyt. Opadła bezwładnie w stóg siana.

- Czekaj tutaj.

A to dobre. Jakby mogła ruszyć choćby palcem!

Z najwyższym trudem pojmowała sens cicho wyszeptanych słów. Zaraz, zaraz, już kiedyś słyszała ten głos. Odprowadziła wzrokiem odchodzącą postać do drzwi. W słabym świetle padającym z zewnątrz kontury złożyły się w jeden spójny obraz. To był ten sam młody mężczyzna, który przyniósł jej sok Kalva. Ich spojrzenia spotkały się na kilka sekund. Potem odwrócił się, zamknął za sobą drzwi i zaciągnął skobel od zewnątrz. Elyria chciała usiąść, była jednak zbyt słaba. Opadła wyczerpana na siano, gdzie natychmiast zmorzył ją niespokojny sen.

*

- Obudź się, dziewczyno - łagodny głos przebił się przez głębinę snu. Elyria otworzyła oczy i spojrzała prosto w twarz mężczyzny, który ukrył ją w stodole.

- Co...? - wymamrotała i usiadła.

Wargi jej wyschły, a język stał się ciężki. Nie czuła jednak ołowianego zmęczenia, które dręczyło ją jeszcze niedawno. Jej uwagę przyciągnęły ciche trzaski rozpalonego ogniska. Niebo, drzewa, których korony poruszały się łagodnie na wietrze. Elyria zaczęła drzeć. Czy to ze strachu, czy też z ulgi. Nie wiedziała. Mężczyzna obserwował ją przez chwilę w milczeniu. Jakby chciał wy badać, czy może utrzymać się na nogach o własnych siłach.

- Jestem Crean.

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie powiedziała:

- A ja Elyria.

Podniósł się, skinął głową i podszedł do zawiniątka leżącego obok ogniska. Dopiero teraz Elyria dostrzegła, że nosił szatę z godłem Bractwa. Jej spojrzenie przesunęło się po białej tkaninie, do złotej błyskawicy i zatrzymało na otaczającym ją wieńcu promieni.

Wzdrygnęła się mimowolnie. Według tego, co wiedziała, tylko nieliczni mogli nosić wieniec promieni w godle. Jednym z nich był Peristaes, podobnie jak Pierwszy Brat. Kim więc był ten człowiek?

Crean wrócił do niej z zawiniątkiem i rozłożył przed nią jego zawartość. Sztylet, prowiant i kilka monet.

- Travercore i zakon znajdują się na północ stąd. - Po raz ostatni spojrzał jej w oczy, po czym podszedł do jednego z dwóch koni, które stały nieco dalej. Chwycił za uzdę, zanim jednak wskoczył na siodło, odwrócił się do niej jeszcze raz. - Módl się do bogów, żebyśmy

się nigdy więcej nie spotkali. Gdyby to się stało, byłbym zmuszony cię ująć i odprowadzić tam, skąd uciekłaś.

5

Ardan z Daormiru wolał zejść z drogi Najwyższemu Łowcy Czarownic. Do siedziby Bractwa zawiodło go zadanie doprowadzenia więźnia odbywającego „areszt domowy” na królewskim dworze. To był czysty przypadek, że król wyznaczył właśnie Ardana do wypełnienia tej misji. Chociaż Ardan drwił, że mogłoby za tym ukrywać się coś więcej. Od czasu, gdy sześć lat temu opuścił dwór w Travercore, król uparcie próbował nakłonić go do ponownego przyjęcia stanowiska kapitana straży królewskiej. Początkowo Ardanowi nie było łatwo odrzucać kolejne prośby władcy. Cóż, brakowało mu dworskiego życia i towarzystwa kompanów. Miał jednak ważne powody, zwłaszcza natury osobistej, które trzymały go z dala od Travercore. Ostatecznie Ardan poprosił o inne stanowisko. I tak oto został mianowany kapitanem Królewskich Wilków, jednostki specjalnej, której zadaniem było uwolnienie kraju od band maruderów.

Minęło już pięć lat, odkąd przemierzał kraj ze swoją drużyną. Tylko z rzadka przebywali w jednym miejscu dłużej niż kilka dni. Ardan upodobał sobie takie życie, które trzymało go z dala nie tylko od dworu, lecz także od rodzinnej ziemi Daormir i od Dayanary. Jak długo nie był u żony? Rok? Dwa lata? Od czasu do czasu zajeżdżał do Travercore, by osobiście zdać królowi sprawozdanie ze swojej służby. A ten za każdym razem usiłował nakłonić go do pozostania. Mógł po prostu wydać mu rozkaz, ale nie miał w zwyczaju zmuszać swoich ludzi do służby. Próbował więc przekonać go innymi sposobami. Dlatego powierzył dziedzicowi Daormiru taką misję. Ardan jednak i tym razem zamierzał jedynie zameldować królowi o wykonanym zadaniu, by jeszcze tego samego dnia pogalopować do swoich ludzi oczekujących jego powrotu w północnych krainach.

Kiedy wypełnił już swoją powinność, poprosił Zarządcę Więzienia, żeby podpisał niezbędne papiery, lecz ten - ku jego niezadowoleniu - skierował go do Peristaesa.

Najwyższy Łowca Czarownic przyjął go w swoim gabinecie. Gdy Ardan wszedł do środka i zajął miejsce po drugiej stronie biurka, które wznosiło się między nimi jak mur, spojrzenie Peristaesa spoczęło na jego twarzy.

- Od tamtej pory czekam, by nasze drogi znów się przecięły - Peristaes przerwał wreszcie milczenie. Promienie słońca wpadały przez okno, tańcząc złotymi refleksami na jego jasnych włosach.

Wtedy Peristaes był wojownikiem w służbie króla. Właśnie skończyła się Wojna Mocy, a Synowie Eaghana jeszcze nie istnieli. Do ich spotkania doprowadziło zadanie

powierzone mu przez króla. Ardan zawsze bardzo się starał, by nie ujawnić swoich szczególnych zdolności. Nikt nie domyślał się, że sławę niepokonanego wojownika zawdzięcza nie tylko zręczności w posługiwaniu się mieczem, lecz także jego magicznej mocy, z której potrafił umiejętnie korzystać w walce. Oddała mu ona nieocenione usługi w niezliczonych bitwach i potyczkach.

Dość wcześnie pojął, że ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. To wiedza, która na dworze i później, w czasie Wojny Mocy, uratowała mu życie. Tylko jeden jedyny raz dopuścił się nieuwagi, i to w obecności tego oto mężczyzny, Najwyższego Łowcy Czarownic. Ardan zgubił swoją broń w ferworze walki i był zmuszony posłużyć się mocą do odzyskania miecza. Inaczej przeciwnik rozplątałby mu czaszkę. Był pewien, że Peristaes niczego nie spostrzegł. Był przecież zbyt daleko. Jednak po skończonej bitwie zachowywał się dość dziwnie. Był wobec niego podejrzliwy i opowiadał coś o zapachu jaśminu, czego Ardan nie rozumiał. Niedługo potem ich drogi się rozeszły. Peristaes przystąpił do służby w Bractwie i powołał do życia Synów Eaghana.

Od tamtego spotkania minęło już kilka lat, Ardan nie musiał jednak długo się zastanawiać, czy Peristaes przypomina sobie ten dzień. Jego oczy mówiły same za siebie.

- Czy wiecie, jak was od tamtej pory nazywam? - Peristaes wychylił się do przodu, jakby chciał się upewnić, że Ardan na pewno usłyszy jego słowa. Coś niedobrego czało się w jego wzroku.

- Czarownik z Daormiru. Tak was nazywam.

Ardan z trudem ukrywał narastające wewnętrzne napięcie.

- Nadano mi już wiele przydomków. Nie wszystkie były miłe memu sercu, to prawda, przyznam wszakże, że do tej pory nikt nie nazywał mnie czarownikiem.

- Wiem, jak was nazywają. Wilkiem. Kapitanem Królewskich Wilków. - Peristaes skrzywił się pogardliwie. - Mnie nie zwiedziecie. Waszą magiczną moc zwietryłem moim nieomylnym nosem.

Ardan skupił się. Starał się wyczuć moc, jak zawsze, kiedy groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Już sama jej obecność uspokajała go za każdym razem. Dzisiaj jednak było inaczej. Tam, gdzie zawsze wyczuwał moc, która dodawała mu otuchy, nie było nic. Tylko przeraźliwa pustka. Uczucie tak straszne, że najchętniej skuliłby się na krześle jak małe dziecko. Jeszcze raz spróbował uchwycić swoją moc. Na próżno. Oderwał wzrok od Peristaesa i zaczął rozglądać się po jego gabinecie. Przyjrzał się półkom, na których piętrzyły się książki i zwoje papirusów, komodzie i szafie. Peristaes musiał przechowywać tu coś, co powodowało zablokowanie mocy Ardana.

- Jestem wysłannikiem króla. Przecież wiecie, co to oznacza, Eddanie.

Najwyższy Łowca Czarownic patrzył na niego nieporuszony. Sięgnął po metalową obróżę leżącą między papierami na jego biurku i obracał ją w dłoni, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał. Wyglądała niewinnie i niepozornie, jak ozdoba kobiecej szyi, lecz służyła do zupełnie innych celów.

- Możecie cieszyć się ochroną korony. Nie radzę jednak opierać się wyłącznie na życzliwości naszego monarchy. Moim zadaniem jest przedstawić wasz przypadek Pierwszemu Bratu.

Ardan nie mógł oderwać wzroku od obróży spoczywającej w dłoni Peristaesa. Wiedział, do czego służy ten kawałek metalu. To wizerunki bogów wygrawerowane na jej lśniącej powierzchni powodowały zablokowanie magicznej mocy. Najpierw trzeba było jednak założyć obróżę magowi. Nigdy nie słyszał o tym, żeby sama jej bliskość wystarczyła, by zatrzymać przepływ magicznej mocy. Ardan czuł się coraz bardziej nieswojo. Długoletnie doświadczenie nauczyło go jednak dobrze skrywać niepokój. Pochylił się do przodu.

- Nie jestem tu po to, by prowadzić męczące dyskusje. Oddajcie mi papiery, żebym mógł dokończyć moje zadanie.

Peristaes popatrzył na niego przeciągle. Dopiero teraz Ardan zauważył, ile wewnętrznego napięcia było w Łowcy Czarownic. Jakby bardzo się gdzieś spieszył i nie chciał marnować czasu.

Zanim którykolwiek z nich zdążył coś powiedzieć, ktoś zastukał do drzwi, które otworzyły się chwilę później. Do środka wszedł strażnik. Peristaes poderwał się z miejsca.

- Macie dziewczynę?

- Nie, panie. Ale znaleźliśmy pierwszy ślad. W jednej ze stajni. Potrzebujemy waszej zdolności tropienia magicznej mocy, w przeciwnym razie ją stracimy, panie.

Ardan natychmiast odzyskał pewność siebie, gdy spostrzegł skonfundowanie malujące się na twarzy Peristaesa. „Więc to było powodem twojego napięcia. Ktoś ci uciekł, bratku!”

Peristaes rzucił obręcz na biurko. Nie spuszczał wzroku ze strażnika.

- Czekajcie na zewnątrz. I zawołajcie Creana!

Strażnik zasalutował i opuścił gabinet. Peristaes chwycił zrolowany pergamin i rzucił go przed Ardanem na biurko.

- Wasze papiery.

Podniósł się, okrążył biurko i stanął przed nim z twarzą ściągniętą złością.

- Jesteście czarownikiem, to pewne! - Wciągnął nosem powietrze. - Nawet jeśli dziś nie wyczuwam magicznej mocy. Ardan czuł się coraz bardziej nieswojo. Długoletnie

doświadczenie nauczyło go jednak dobrze skrywać niepokój. Pochylił się do przodu.

- Nie jestem tu po to, by prowadzić męczące dyskusje. Oddajcie mi papiery, żebym mógł dokończyć moje zadanie.

Peristaes popatrzył na niego przeciągle. Dopiero teraz Ardan zauważył, ile wewnętrznego napięcia było w Łowcy Czarownic. Jakby bardzo się gdzieś spieszył i nie chciał marnować czasu.

Zanim którykolwiek z nich zdążył coś powiedzieć, ktoś zastukał do drzwi, które otworzyły się chwilę później. Do środka wszedł strażnik. Peristaes poderwał się z miejsca.

- Macie dziewczynę?

- Nie, panie. Ale znaleźliśmy pierwszy ślad. W jednej ze stajni. Potrzebujemy waszej zdolności tropienia magicznej mocy, w przeciwnym razie ją stracimy, panie.

Ardan natychmiast odzyskał pewność siebie, gdy spostrzegł skonfundowanie malujące się na twarzy Peristaesa. „Więc to było powodem twojego napięcia. Ktoś ci uciekł, bratku!”.

Peristaes rzucił obręcz na biurko. Nie spuszczał wzroku ze strażnika.

- Czekaście na zewnątrz. I zawołajcie Creana!

Strażnik zasalutował i opuścił gabinet. Peristaes chwycił zrolowany pergamin i rzucił go przed Ardanem na biurko.

- Wasze papiery.

Podniósł się, okrążył biurko i stanął przed nim z twarzą ściągniętą złością.

- Jesteście czarownikiem, to pewne! - Wciągnął nosem powietrze. - Nawet jeśli dziś nie wyczuwam waszej mocy, która zwykle otacza was jak słodki oddech śmierci.

Potem podszedł do drzwi. Nie odwrócił się do swojego gościa, powiedział tylko:

- Znacie drogę do wyjścia. Lepiej żeby was tu nie było, kiedy wrócę.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Ardan chwycił pergamin trzęsącymi się rękami. Jego myśli krążyły wokół słów Peristaesa. Co sugerował ten fanatyk, mówiąc, że dziś nie może wyczuć magii?

Jeszcze raz spróbował przywołać moc. Skupił uwagę na swoim wnętrzu i skoncentrował się na obudzeniu siły, która towarzyszyła mu od dziesiątego roku życia. Odgłosy docierały do niego jak przez mgłę. Meble wokół niego zbladły i rozmyły się jak senne zjawy. Krew szumiała mu w uszach, coraz głośniej i głośniej. Natężył umysł i odnalazł tę samą pustkę, co przedtem. Gdzie się podziała jego moc, jego energia? Nie odczuwał żadnego ciepła, żadnego iskrzenia ani mrowienia. Nic.

Spróbował jeszcze raz. Bezskutecznie. Sięgnął odruchowo po amulet, który wisiał na piersi pod koszulą. Krążek z brązu ciążył mu w dłoni. Ofiarował mu go jakiś żebrak, kiedy

Ardan był jeszcze chłopcem. „Pewnego dnia ochroni cię przed twoją własną mocą”, powiedział. Od tego czasu zawsze nosił amulet na szyi, chociaż nigdy nie pojął znaczenia słów żebraka. Przesunął palcami po metalu, pogładził go delikatnie jak ciało kochanki. Za każdym razem, gdy go dotykał, czuł magię, która mieszkała w tej ozdobie. Dzisiaj jego palce poczuły jedynie zimno. Wpatrywał się w rysunek słońca wyryty na powierzchni, od którego nazwał swój skarb słonecznym amuletem. Krążek nagle rozmył się przed jego oczami, a zamiast niego pojawiły się rysy młodej kobiety Więźniarka! Wreszcie przypomniał sobie dziewczynę, z którą zderzył się zaraz po odstawieniu swojego więźnia. Czyżby to była ta sama kobieta, której ucieczka tak bardzo rozsierdziła Peristaesa?

Niebieskie iskrzenie. Kiedy dotknął dziewczyny, ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. A gdy spojrzał jej w oczy, miał wrażenie, że patrzy w lustro. „Jakbyśmy byli jednością”. Ardan potrząsnął głową. Dlaczego miałby czuć się związany z jakąś obcą kobietą? Cokolwiek stało się z jego magią, niechybnie miało jakiś związek z tą nieznaną. Musi ją odnaleźć!

6

Jalandar patrzył kolejno na twarze pięciu mężczyzn zgromadzonych wokół stołu. Toran, którego wiedzy i rady Jalandar najpilniej potrzebował, był niestety nieobecny. I nie bez powodu. Jalandar wiedział, że Toran nie dotarł na spotkanie, ponieważ zatrzymały go sprawy wielkiej wagi. Jako najstarszy i najmądrzejszy z elfów musiał zadbać o bezpieczeństwo swojego ludu. Należało odnowić magiczne bariery, żeby uchronić Askarion przed atakami ludzi. W czasach takich jak te, kiedy ludzie próbowali zniszczyć wszystko, co było inne, niż znali, dla elfów była to sprawa życia lub śmierci. Jalandar wykazał zrozumienie dla nieobecności Torana. Ale gdzie podziewają się inni?

Gudur podchwycił spojrzenie Jalandara. Ponury cień spoczął na jego pomarszczonym obliczu.

- Jesteśmy ostatni.

- Tak mało nas.

- Dlaczego nas zwołałeś? - słowa płynęły z ust Caraisa jak leniwy strumień.

Jego spokój jeszcze pogłębił smutek Jalandara - kiedyś bowiem Carais był najbardziej impulsywny z nich wszystkich. To, co się stało, zmieniło także i jego.

- Czyż nie byliśmy zgodni, że ten krąg nie może się już nigdy zebrać? Nie po tym, co narobiliśmy.

Jalandar skinął głową, niezdolny wypowiedzieć choćby jedno zdanie. Słowa Caraisa przywołały wspomnienia, które jak pęcherzyki powietrza w stawie pojawiały się na powierzchni wody, by pękać jeden po drugim, jeden po drugim. Kiedyś było ich trzynastu.

Uczeni, uzdrowiciele, zielarki, druidzi i magowie: mężczyźni i kobiety, których jedynym pragnieniem było zbieranie i studiowanie pradawnej wiedzy, by pewnego dnia pojąć jej istotę. Oficjalnie prowadzili bibliotekę w Khatmoharze, mieście magów. W rzeczywistości jednak obserwatorzy, jak nazywali siebie członkowie Kręgu Oka, badali wpływ magicznej mocy na świat, by dociec, dlaczego ta sztuka uległa przemianom, odkąd elfy przekazały ją druidom, a później także i magom. Pieczołowicie skrywali fakt, że nie byli zwykłymi bibliotekarzami. Zbyt wielka była ich obawa, że ktoś mógłby wykorzystać do mrocznych celów tę ogromną wiedzę zgromadzoną w ciągu długich lat. „Jakże mogliśmy się spodziewać, że właśnie ktoś spośród naszych szeregów sprzeniewierzy się wszystkim naszym zasadom!”

Jalandar przesunął wzrokiem po znajomych twarzach zgromadzonych towarzyszy. Lean, w którego oczach odzwierciedlał się strach przed przyszłością. Seras, jak zwykle otulony wytartą, ciemnoczerwoną togą, spoglądał pustym wzrokiem, jakby minione lata zabiły w nim wszelkie uczucia. Gudur i Carai, jedyni, którzy dotychczas nie odezwali się nawet słowem, siedzieli zgodnie ramię przy ramieniu. A na końcu skulił się Rianoo, którego czarne niegdyś włosy były poprzetykane dziś długimi srebrnymi pasmami.

Jalandar wiedział, że on też się zmienił. Zawsze gdy przyglądał się swojej twarzy w lustrze, wydawało mu się, że widzi odbicie jakiegoś obcego człowieka. Głęboko osadzone oczy, obramowane krzaczastymi brwiami, nadawały jego obliczu sowi wygląd. Nieskazitelna dawniej skóra pokryła się głębokimi zmarszczkami, oznakami troski i wysiłku, które powodowały, że wyglądał starzej niż na swoje pięćdziesiąt wiosen. Z tych pięćdziesięciu ostatnie osiemnaście spędził na przyglądaniu się, jak wszystko, w co zawsze wierzył, zostaje obrócone w proch i pył.

Z ciężkim westchnieniem przebiegł wzrokiem po twarzach obecnych. Tak mało ich pozostało. Lifiyah była pierwszą, którą zabrała śmierć, na długo przed Wojną Mocy. By uhonorować jej pamięć, miejsce, w którym zasiadała w kręgu, było zawsze puste. Od tego czasu pozostało ich już tylko dwunastu wtajemniczonych. Elleodoro i Sequanna polegli w walce przeciwko Czarnemu Królowi. Kalhat zakończył życie w koszmarnych mękach na stosie, a Rhyden... Najwyższy Druid został pozbawiony życia przez Eaghana Assaroe, który także poległ. Czyn, który sprawił, że Eaghan Assaroe został uznany za bohatera przez zwolenników Bractwa. Na jego cześć Łowcy Czarownic nazwali się Synami Eaghana.

Wiedza stała się niebezpieczna. I to tylko dlatego, że jeden z i)ich zdradził ideały, które wyznawał krąg. Amatan swoje czyny przypłacił życiem. Lecz ta myśl nie przynosiła Jalandarowi ukojenia. Zbyt wiele straszliwych rzeczy się wydarzyło. Rzeczy, za które Jalandar był także odpowiedzialny.

Popychany pragnieniem zdobywania coraz większej wiedzy, Amatan wykorzystał nauki zgromadzone przez obserwatorów w trakcie ich cząstkowych badań. Przywołał Czarnego Króla, demona, który odżywiał się magiczną energią i siłą życiową ludzi i wraz z ich życiem wchłaniał także wiedzę swoich ofiar. Amatan wierzył, że potrafi kontrolować demona i że może przyswoić sobie jego moc. Lecz Czarny Król nikomu nie pozwolił nad sobą zapanować. Jego ciemność wniknęła w Amatana i uczyniła z niego bezwolne narzędzie, Najwyższego Kapłana, który od tej chwili prowadził uczniów Króla i władał nimi w imię demona.

Amatan nie był złym człowiekiem. To tylko jego ambicja i żądza wiedzy wskazała mu złą drogę. Drogę, która ich wszystkich pociągnęła ku zgubie. Khatmohar, niegdyś barwne, pełne życia miasto, zostało zmiecione z powierzchni ziemi w niespotykanymdotychczas magicznym ogniu. Zostało z niego jedynie kilka tłących się ruin. Tylko nielicznym udało się zbiec, podczas gdy demon wchłaniał w siebie moc swobodnie płynącej magii, i karmiąc się nią, potężniał. Na swojej drodze przez kraj zostawiał ślad zniszczenia. Zabił wszystkich magów i czarowników, których odnalazł, i wysysał z nich życie, pomnażając swoją moc.

Magowie i druidzi zjednoczyli swoje siły w walce przeciwko demonowi i jego wyznawcom, lecz przegrali. Wszyscy bez wyjątku zostali zniszczeni. Ludzie widzieli jedynie, że tam, gdzie magowie się pojawili, pozostawiali nieskończenie wielu zmarłych i zniszczone wsie. Bractwo wykorzystało te okoliczności. Umacniali ludzi w przekonaniu, że ci, którzy pielęgowali starą wiarę, niszczyli swoją mocą wszystko, co stało na ich drodze. Jednocześnie Bractwo zaczęło działać przeciwko druidom i magom.

Podczas gdy pozostali członkowie kręgu obserwatorów próbowali wspierać druidów i magów, Jalandar skupił się na studiowaniu starych pism. Wiele miesięcy kosztowało go zebranie niezbędnej wiedzy, a wynik tego wysiłku postarzył go o wiele lat. Aby zniszczyć Czarnego Króla, konieczne było złożenie wielkiej ofiary. Ofiary, którą Jalandar z chęcią wzięłby na siebie, lecz nie on był osobą, od której by się tego oczekiwało.

Dotarł do rytuału, za pomocą którego udałoby się poskromić Ciemnego, jak nazywany był Czarny Król. Potrzebne było do tego własnoręczne wytworzenie pięciu atrybutów z owoców czerwonego dębu. Istniały zapiski, które w najdrobniejszym szczególe podawały sposób, w jaki miał się odbyć rytuał. Szósty atrybut, który był niezbędny do zakończenia ceremonii, pozostał jednak zagadką mimo intensywnych poszukiwań. Jeszcze dzisiaj Jalandar zadawał sobie pytanie, o co chodziło z tym Świetlistym Naczyniem. Miał nadzieję, że uzupełni brakujący składnik, jeśli każe przeprowadzić rytuał nie jakiemuś magowi, lecz Wielkiej Siódemce - Mistrzom Magii, którzy reprezentowali sobą, każdy z osobna, potężną

moc. Zjednoczenie ich sił, taką Jalandar miał nadzieję, mogło odwrócić uwagę od brakującego składnika. Dużo czasu stracił także na poszukiwania odpowiedniego miejsca. Musiało to być miejsce, przez które przepływały linie mocy druidów, potęgujące siłę Siódemki. Równocześnie musiało być chronione przed atakiem Bractwa. Myśl, że Wojownicy Zakonu mogą przerwać rytuał i zniszczyć jedyną nadzieję na zakończenie Wojny Mocy, powodowała u Jalandara do dzisiaj koszmary nocne. Znalazł odpowiednie miejsce w grobowcu Mgielnego Lorda, pradawnego rodu władców Cartomien. Pośrodku podziemnej komnaty, w której wyrastał ze skały czerwony dąb, symbol starej wiary, przecinało się wiele linii mocy. Wielka Siódemka w pierwszym akcie rytuału stworzyła pięć atrybutów z owoców dębu. Maskę, ka - mień serdeczny, różdżkę, amulet i księgę. Księga zawierała niezbędne zaklęcia. Pozostałe przedmioty miały zostać użyte w dalszym przebiegu rytuału. Gdy atrybuty były przygotowane, Wielka Siódemka zjednoczyła swoją moc. Potężna magia rozszalała się po podziemnej komnacie i przyciągnęła Czarnego Króla.

Moc ceremonii wyrwała siłą energię demona z ciała Amatana. Zabił go gwałtowny szok. Obserwowanie, jak umiera dawny przyjaciel, nie było niestety najstraszniejszym wydarzeniem tamtej nocy. Podczas swoich poszukiwań Jalandar odkrył coś, co utrzymywał skrzętnie w tajemnicy. Cena, jaką trzeba było zapłacić za wygnanie demona, była wysoka. Żaden z członków Wielkiej Siódemki nie mógł przeżyć rytuału. Świadomie wysłał ich na śmierć. Do dzisiaj ta tajemnica ciąży mu na sercu. Mimo to nie odważył się na uprzedzenie mężczyzn o tym, co ich czeka. Zbyt wielka była jego obawa, że nie będą gotowi na stawienie czoła demonowi, gdy poznają prawdę.

Pięciu z nich zakończyło życie jeszcze tej samej nocy. Żaden z pozostałych nie przeżył następnego roku. Jednak rytuał się powiódł. Demon został zniszczony. Przynajmniej Jalandar myślał tak jeszcze kilka tygodni temu.

Opuścił swój dom, samotną chatkę w górach Kerriganu, na jakiś czas, by zebrać zioła potrzebne mu do wytwarzania maści i leczniczych napojów. Podczas wędrówki w ich poszukiwaniu dotarł do grobowca Mgielnego Lorda. Dziwne uczucie, którego do dzisiaj nie jest w stanie opisać, obezwładniło jego świadomość i nogi same poniosły go na miejsce rytuału. Tam czas płynął własnym rytmem. Nawet po tylu latach szkielet Amatana nie rozpadł się całkowicie. Szczątki pięciu Mistrzów Magii, którzy zginęli w podziemnej komnacie, leżały w tym samym miejscu, nadal dzierżąc w kościstych dłoniach magiczne atrybuty. A pośrodku magicznego kręgu wznosił się czerwony dąb, czarny jak ponury cień ze zwęglonymi gałęziami. Wspomnienie uderzyło w Jalandara jak grom. Krzyki, pieśni, dźwięki nigdy nie zniknęły całkowicie z jego duszy i przez chwilę przeżywał po raz kolejny

wydarzenia tamtej nocy.

Gdy powrócił do rzeczywistości, stwierdził, że siedzi na ziemi oparty plecami o pień spalonego dębu. I wtedy poczuł to zepsucie rozsnuwające się wokół. Esencja demona obejmowała grobowiec jak splątane korzenie. Jalandar wyjął kulę Rajaen i wyłapał odrobinę tego, co przenikało go aż do kości. Po powrocie do domu podjął kilka eksperymentów z kulą. Wyniki były tak bardzo przerażające, że musiał zwołać spotkanie kręgu.

- Jalandarze - głos Rianoosa wyrwał go z zamyślenia. - Czy powiesz nam wreszcie, dlaczego wbrew wszelkim uzgodnieniom zwołałeś nas tutaj?

- Widziałeś przecież, jakie zniszczenie spowodowaliśmy! - Spojrzenie Gudura było mroczne. - Uczyniliśmy o wiele więcej niż zniszczenie pradawnej wiary. Nieskończenie więcej. Staliśmy się bardzo niebezpieczni z wiedzą, jaka jest w naszym posiadaniu. Tylko poprzez rozdzielenie możemy sprawić, żeby okruchy naszej wiedzy nie zostały ponownie zebrane i nie doprowadziły do kolejnej katastrofy.

Jalandar przytaknął. Nawet sam ruch kosztował go wiele wysiłku. Jak wszystko od chwili odkrycia, którego dokonał w grobowcu.

- Wiem - jego głos zdawał się płynąć z daleka. - Ale to jeszcze się nie skończyło. - „I nie ma już Mistrzów Magii, którzy mogliby nam teraz pomóc. Moce wieczności, wspierajcie nas!”, pomyślał. - I tak długo, jak to ma miejsce, potrzebujemy naszego kręgu. Jesteśmy jedynymi, którzy znają prawdziwe przyczyny rozpętania Wojny Mocy. - Sięgnął między fałdy swojej togi i wydobyl kulę Rajaen. Z cichym stukotem położył ją przed sobą na stole. We wnętrzu bursztynowej kuli pulsowała niebieskoczarna mgła. - To jest esencja Czarnego Króla. Uchwyciłem ją w grobowcu. On tam jest!

Zamiast oczekiwanego przerażenia Jalandar dostrzegł jedynie sceptycyzm na twarzach przyjaciół. Lean chwycił kulę, zaczął obracać ją w palcach i dokładnie się jej przypatrywać. Pulsująca mgła w jej wnętrzu wirowała, naciskała na ścianki i ponownie powracała do środka. Lean odłożył kulę na miejsce i potrzęsął głową.

- To zaledwie pozostałości! Odpady, które nie zostały unicestwione w trakcie rytuału. Śmiertelne resztki demona, jeśli to cię zadowoli.

- Jak możesz tak mówić! Po tym wszystkim, co widziałeś na własne oczy! Musimy zatroszczyć się o to, żeby... - Jedno spojrzenie na miny pozostałych zamknęło mu usta. Żaden z nich niczego się nie podejmie. Wszyscy byli zaślepieni poczuciem bezpieczeństwa. Zajęci ratowaniem własnego życia, skrywali przed światem swoje niewiarygodne umiejętności. „Nie”, pomyślał Jalandar. „Żaden z nich nie kiwnie nawet palcem. Za bardzo boją się śmierci na stosie. Żeby ratować swoje życie, zamknęli oczy na prawdę. Gdyby tylko Toran był tutaj.

On by mi uwierzył. Zacząłby działać”.

Jalandar wziął kulę i podniósł, tak aby każdy mógł ją zobaczyć.

- Wiem, że to nie jest sam Czarny Król. Jednak to znak, że on nadal istnieje!

- Bezsens! - Carai podniósł się gwałtownie. - Widzieliśmy na własne oczy, jak Wielka Siódemka go zniszczyła! To, co trzymasz teraz w dłoni, to tylko jego echo. Pogłos.

„A co, jeśli brakujący składnik był ważniejszy, niż myślałem? A jeśli go jedynie osłabiliśmy? Co będzie, gdy wróci?”. Wzrok Jalandara padł na kulę. Mgła rozbliła się ciemnoniebiesko, jakby demon się z nim drażnił. Nagłe ciepło, które rozeszło się po ściankach kuli, połaskotało go w opuszki palców. „On jeszcze tutaj jest. Czuję to. Ci głupcy są zbyt tchórzliwi, żeby zmierzyć się z prawdą”. Wiedzieli, że ma rację. Rozpoznał to po ich zaciętych minach. „Echo! Pogłos! Jak możecie być tak ślepi! Mogę go wyczuć. Dlaczego zamykacie się na prawdę?”.

Lean i Rianoo podnieśli się.

- Nie będę dłużej narażał swojego życia, marnując tutaj czas, żeby wysłuchiwać tych historii. Jeśli jest jakiś kłopot, niech zajmą się nim księża. - Lean podszedł do drzwi. Rianoo podążył za nim bez słowa, podobnie jak inni.

Po kilku chwilach nikogo już nie było. Nie było żadnego pożegnania, żadnych pozdrowień. Nic, co wskazywałoby na to, że ci mężczyźni byli kiedyś przyjaciółmi Jalandara. To, co się stało, przerwało ich krąg i zniszczyło na zawsze głębokie porozumienie między nimi.

Jalandar pozostał sam. Jego wzrok padł na kości runiczne, które leżały obok kominka ułożone w równy rząd. Nadszedł czas poszukania odpowiedzi.

7

Okruchy chleba kręciły się na powierzchni wodnistej potrawy, niespokojne jak myśli Elyrii. Radosna melodia trubadura, który zabawiał gości śpiewem, wdarła się do jej ucha wraz z głośnym śmiechem, podśpiewywaniem, niewyraźnym szumem niezliczonych rozmów i pogawędek. Zapach potu i stęchłego jasnego piwa wisiał ciężko w pomieszczeniu i mieszał się z gęstymi kłębamii dymu z fajek przepływającymi przed jej nosem. Mimo że było gorąco i duszno, w kominku trzeszczał ogień.

Elyria przybyła tu niedawno. Zdążyła jedynie zamówić miskę zupy i kufel piwa i usiąść z nimi przy stole w kącie. Nigdy wcześniej nie czuła się tak samotna wśród ludzkiej wrzawy. Starła się nie patrzeć na radosnych ludzi, więc opuściła wzrok na trociny, które pokrywały podłogę. Były stare i długo już niewymieniane.

Minęły dwa dni od momentu, kiedy ocknęła się obok ogniska. Ołowiane zmęczenie

opuściło jej ciało, ale pozostał strach i oszołomienie.

Długo łamała sobie głowę, myśląc o tym, co się stało, ale nie znalazła żadnego wytłumaczenia. Za każdym razem zastanawiała się, jakie siły wyzwoliła podczas swojej ucieczki. „Magia”, za każdym razem odzywał się w jej głowie ten sam uparty głos. Nie ważyła się o tym długo myśleć. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się coś podobnego ani nie powtórzyło się od pamiętnej nocy w więzieniu.

Po tym, jak mężczyzna, który przedstawił się jej jako Crean, odjechał, wypoczywała jeszcze jeden dzień, a potem wyruszyła w drogę. Strach był jej nieodłącznym towarzyszem. Trzymała się z dala od dróg w nadziei, że ominie grupę poszukiwawczą Peristaesa. Prowiant szybko się skończył, mimo to długo walczyła ze sobą, zanim odważyła się podejść do karczmy. Uważnie obserwowała budynek i zdecydowała się wyjść ze swojego ukrycia w lesie dopiero wtedy, gdy była pewna, że nie ma w nim wojowników Zakonu. Miała zamiar szybko zjeść posiłek i wyruszyć w dalszą drogę. Może rzeczywiście powrót do Travencore był niebezpieczny, jednak musiała podjąć to ryzyko. Musiała wrócić do ojca i do trupy - wiedziała, że dopiero wtedy poczuje się bezpieczna.

Co będzie jednak, jeżeli się okaże, że wyruszyli w dalszą wędrowkę? Jej ojciec był odpowiedzialny nie tylko za nią, lecz także za całą trupę. Jeśli skończył się okres, który upoważniał ich do pobytu w Travercore, musieli wyruszyć dalej.

Trudno było Elyrii ocenić, jak długo trwał jej pobyt w więzieniu. W głębokiej ciemnicy nie istniało nic, co wskazywałoby na zmianę dnia w noc. Mogła zapytać kogoś, jaki to dzień, lecz nie miała odwagi. Za wszelką cenę pragnęła pozostać niezauważona. Jeśli trupa wyruszyła w drogę, Elyria musiała po prostu za nią podążyć.

W zamyśleniu przesuwiała drewnianą łyżką po brzegu miski, nie odwracając wzroku od okruchów chleba, które coraz szybciej tańczyły w kółko na powierzchni zupy. Nagle jakiś cień wyrósł przed Elyrią. Podniosła wzrok, żeby powiedzieć karczmarzowi, że niczego jej nie trzeba, i zamarła. Zobaczyła mężczyznę, na którego wpadła w więzieniu Peristaesa.

- Masz coś, co należy do mnie.

Mimo że jego głos brzmiał ciepło i przyjaźnie, wewnątrz Elyrii zamieniło się w kawał lodu. Był jednym z nich, ludzi Peristaesa.

Upuściła łyżkę do miski i poderwała się. Kolanami uderzyła w drewnianą ławkę i się zachwiała. Rozejrzała się w poszukiwaniu innych wojowników Synów Eaghana. Śmiejący się i plotkujący ludzie nie mieli pojęcia, w jakim niebezpieczeństwie się znajdowała. Jednak nigdzie nie dostrzegła mundurów innych wojowników Zakonu.

Ponownie spojrzała na mężczyznę, który stał przed nią, oddzielony jedynie stołem.

Miał na sobie zwykłe podróżne okrycie. Czarne skórzane spodnie, beżową koszulę z szerokim kołnierzem, sznurowany skórzany kabat i pas na miecz. Nie miał na sobie żadnych widocznych oznak wskazujących na przynależność do ludzi Peristaesa. Spoglądał na nią z rozluźnioną twarzą. Jakby miał pewność, że nic nie może mu się stać.

- Chodź ze mną - powiedział i wyciągnął do niej dłoń.

Elyria nie miała zamiaru go słuchać. Pochyliła się i przesunęła pod jego wyciągniętym ramieniem. Chciała go wyminąć, ale szybko zareagował: zastawił jej drogę i stół przestał ich rozdzielać.

Strach zasznurował jej gardło. Mogła jedynie potrząsać głową. Nie dopuści do tego, żeby ją ponownie doprowadził do więzienia! Jeśli Peristaes znowu dopadnie Elyrię, czeka ją jedynie stos. Nikt jej nie uwie-rzy, jeśli będzie zapewniać, że nie ma pojęcia, co się stało.

Wojownik wysunął dłoń i zacisnął palce na jej nadgarstku. Przez cały czas patrzyła mu w oczy. Ich głęboko niebieski odcień hipnotyzował ją i paraliżował równocześnie. „Nic mi nie robi. Nigdy by...”. Zdumiona swoimi myślami pojawiającymi się w jego bliskości oprzytomniała w jednej chwili. Paraliż ciała ustąpił. „Zakłęcie! To musi być zakłęcie!”.

Zatem to jego umiejętność czarowania była powodem, dla którego nie potrzebował posiłków. Paraliżował ją zakłęciem i sprawiał, że była mu posłuszna. Po jej ciele powoli rozchodziło się mrowienie, kierując się do prawej ręki. Wraz z mrowieniem pojawiła się fala gorąca.

- Boże, nie!

Przypomniała sobie z przerażeniem, co się stało ostatnim razem, a także jak wyczerpana i bezradna czuła się po wybuchu tej energii. Usiłowała zwalczyć to, co ją opanowywało. Spróbowała to kontrolować. Jeśli chce uciec, nie może dopuścić, żeby ponowny wybuch pozbawił ją wszystkich sił.

Mrowienie nasiliło się i przerodziło w falę palącego gorąca. Drobne włoski na jej rękach podniosły się i z trzaskiem przenosiły energię na zewnątrz. Płomienie w kominku strzeliły w górę. Wzrok Elyrii przenosił się z kominka na wojownika, w tę i z powrotem. W miejscu, gdzie mężczyzna ją dotykał, skóra paliła ogniem. Zacisnął mocniej palce i chciał ją pociągnąć za sobą.

- Nie!

Powiedziała to ledwie słyszalnym szeptem, który rozpętał burzę. Szyby w oknach popękały, drwa w kominku eksplodowały i pokryły wnętrze karczmy gra-dem iskier i drzazg. Wybuchła panika. Ludzie krzyczeli, przewracali ławy, stoły waliły z hukiem o ziemię. Płonące świece, spadając, podpalały suche trociny pokrywające klepisko. Przerażona Elyria

widziała, jak ludzie biegnący w panice do drzwi, wpadali na siebie, popychali się nawzajem, padali i byli tratowani przez resztę.

Wojownik przyciągnął ją do siebie, jakby nie była jego ofiarą, tylko kimś, kogo chciał ochronić. Jej ręka pulsowała i wydawało się, że z nadmiaru energii pęknie. Płomienie rozpełzły się po ziemi, lizały stoły i ławy, falując w rytmie tej pulsującej energii.

Mężczyzna wzmocnił uścisk. Poruszył ustami. Prawdopodobnie krzyki uciekających w popłochu ludzi lub trzask ognia zagłuszył jego słowa. Być może szum energii w jej ciele uniemożliwił zrozumienie ich sensu. Elyrii i tak było obojętne, co miał jej do powiedzenia. Cel był tylko jeden. Chciała uciec jak najszybciej i jak najdalej.

Elyria i wojownik byli jedynymi ludźmi przebywającymi w tylnej części karczmy. Z przodu tłoczyła się ciżba, napierała na drzwi i okna, próbując wydostać się na zewnątrz.

Gdy wojownik spróbował pociągnąć dziewczynę za sobą, straciła resztki kontroli. Spiętrzona energia wpłynęła w jej dłoń. Elyria krzyknęła z przerażenia, gdy ognista błyskawica wystrzeliła z czubków palców. Fala ognia załapała mężczyznę, owinęła się wokół niego jak żywa pochodnia i niszczyła wszystko, co znajdowało się na jej drodze. Drewno eksplodowało, metal się topił, szkło pękało. Pałace się belki spadały gradem z sufitu, fruwały iskry. Drzazga wielkości miecza wbiła się w klepisko obok Elyrii.

Nie czuła już uścisku na swojej ręce. Nie odważyła się spojrzeć, nie chciała widzieć, jak mężczyzna pada na ziemię powalony energią, którą niechcący uwolniła, by zamienić go w czarny kawał mięsa.

Wraz z płonąca błyskawicą z Elyrii uszła wszelka moc. Nogi ugięły się pod nią, opadła na kolana i zaczęła przesuwając się do tylnego wyjścia. Wtedy na jej drodze ponownie pojawił się wojownik - nietknięty przez ogień. Stał jak skała pośrodku czarciego, ognistego kotła: wrzeszczących ludzi i walącej się karczmy. Jedyne pasmo czarnych włosów wysunęło się z końskiego ogona i opadło mu na czoło.

Jak to możliwe? Jego widok ponowił napływ energii, choć słabiej niż przedtem. Elyria walczyła z mocą, która ponownie zamierzała ją ogarnąć. Jeśli dopuści, żeby energia pozbawiła ją resztek sił życiowych, sama zginie w płomieniach.

Dłonie i kolana drżały jej z wysiłku. Wojownik pochylił się ku niej i coś srebrnego rozbłysło w jego dłoniach. Zanim spostrzegła, co się dzieje, na jej szyi spoczęła metalowa obroża, podobna do tej, którą założył jej Peristaes w więzieniu. Zamek zatrzasnął się ze szczękiem. Energia obejmująca ciało zgasła natychmiast.

*

Chłodne nocne powietrze uderzyło Ardana w twarz. Po dławiącym gorącu wewnątrz

karczmy ponownie odetchnął z ulgą. Płomienie na metr wysokie strzelały z dachu w niebo i oświetlały otoczenie karczmy migotliwym pomarańczowym blaskiem. Większość gości wydostała się drzwiami wejściowymi i przez okna. Na tyłach karczmy nie było nikogo. Mimo to Ardan się nie zatrzymywał. Z młodą kobietą na rękach biegł dalej, skrył się w cieniu kępy drzew, przebiegł jeszcze kilka metrów, zanim stanął i postawił ją na ziemi. Zatoczyła się i odsunęła od niego. Pozwolił jej na to, bo była zbyt osłabiona, żeby mu uciec.

Dotknęła palcami metalowej obroży ciasno obejmującej szyję. Obroży tłumiącej magiczną moc. Poruszała wargami, formułując słowa, zbyt ciche, by mógł je zrozumieć.

Ardan ze zdziwieniem obserwował tę delikatną istotę, która wyzwoliła tak niszczącą siłę. W chwili, gdy z jej palców wystrzeliły płomienie, myślał, że zakończy życie. Serce waliło mu nadal dziko w piersiach, gdy o tym myślał. Jednak magiczna siła tylko go otoczyła, nie czyniąc mu krzywdy. Spojrzał na słoneczny amulet wiszący na rzemieniu na jego piersi. Gdy płomienie ogarnęły jego ciało, zaczął pulsować. Uderzenie serca, które oddaliło od niego działanie magii i go ochroniło. Po raz pierwszy od chwili, gdy dotknął go w gabinecie Peristaesa, poczuł bijące od niego ciepło. Żebrak miał rację. Amulet istotnie ochronił go przed jego własną mocą. Mocą, którą teraz posiadała ta dziewczyna, choć w jego własnych rękach energia nigdy nie była tak niszcząca.

Podczas gdy próbował zebrać myśli, Elyria wysunęła zza paska sztylet i odsunęła się od Ardana z podniesionym ostrzem.

Podniósł brew.

- Przeżyłem twoje płomienie. Czy istotnie sądzisz, że możesz mi wyrządzić tym krzywdę?

Gdy zrobił krok w jej kierunku, podniosła wyżej ostrze. Starła się wyglądać groźnie. Dłoń jej drżała.

- Zostań tam, gdzie jesteś!

Gdy patrzył w jej oczy, natychmiast pojawiała się uczucie bliskości. „Jakby od zawsze była częścią mojego życia”. Ardan natychmiast odsunął od siebie tę myśl. Po raz pierwszy natknął się na dziewczynę w więzieniu Peristaesa i nawet nie znał jej imienia. Jedynie jego moc była w niej znajoma. A mimo to czuł potrzebę, by ją chronić. Potrząsnął głową z niechęcią. „Nie ją, tylko moją moc”.

Gdy tylko opuścił budynek Zakonu, podążał jej śladem. Magia była jak płomyk, który nawet w najczarniejszą noc świecił jasno i promieniście. Czy to była tylko zasługa magicznej mocy, czy też innych właściwości dziewczyny, nie wiedział. Zauważył jedynie, że nie było mu trudno odszukać jej ślady. Jeśli on to potrafił, Łowcy Czarownic tym bardziej nie będą

mieli kłopotu.

Dopiero metalowa obręcz, którą nałożył na szyję dziewczyny, wygasła aurę unoszącą się wokół niej jak pochodnia.

Ardan podniósł ręce, żeby pokazać, że nic jej nie zrobi.

- Oddaj mi to, co do mnie należy, i każdy pójdzie swoją drogą.

Przez chwilę sprawiała wrażenie zmieszanej. Potem potrząsnęła głową.

- Nie próbuj mnie zwieść, nie dam się przechytryć. To nie zadziała.

Cofnęła się jeszcze o krok.

- Nie zaprowadzisz mnie do więzienia! Nie skończę na stosie!

Nareszcie pojął.

- Nie jestem Łowcą Czarownic - podkreślał wyraźnie każde słowo. - Nic ci nie zrobię.

Chcę tylko odzyskać moją magiczną moc.

- Twoją moc? - Nagle opuściła ostrze.

Ardan wykorzystał to i chwycił jej sztylet. Próbowwała się bronić, ale była zbyt słaba.

Błyskawicznym ruchem wyłuskał ostrze z jej dłoni.

- A teraz porozmawiajmy - powiedział i wsunął sztylet za pas.

Wpatrywała się w niego, mrugając powiekami. Jakby zdarzył się cud, że zachował ją przy życiu.

- Chcę... - przerwał, bo usłyszał głuchy rytm końskich podków. Odwrócił głowę i wpatrywał się w ciemność. Jeźdźcy zbliżali się między drzewami. Ardan chwycił dziewczynę i pociągnął ją w cień dębu. Usłyszał cichy brzęk uprzęży i stłumione głosy. Chwilę później między drzewami pojawiły się pojedyncze jasne plamy. Po chwili dostrzegł już wyraźnie ośmiu zakonnych wojowników. Zsiedli z koni, ustawili się w szeregu i zaczęli okrążyć jego i dziewczynę.

Ardan przesunął ją na bok, wyciągnął miecz i wyszedł z cienia. Jak zwykle sięgnął po swoją mecz i trafił na pustkę. Zdławił przekleństwo. Magia tak bardzo była częścią jego samego... Nie przyszło mu na myśl, że pewnego dnia nie będzie się mógł nią posłużyć. Uczucie kruchości dotknęło go niespodziewanie. Gdy wojownicy Zakonu wyszli spośród drzew, zmusił się, by odsunąć od siebie wszelkie myśli o magicznej mocy. Gdy wbił wzrok w swoich przeciwników, był ponownie skupiony. Wyglądali jak zjawy z innego świata: jasne, świetliste postacie owiewane pelerynami.

- Zatknijcie swój miecz i znikajcie!

Głośno wypowiedziane słowa przywódcy zniszczyły iluzję nierealności i ujawniły wysoką, szczupłą postać.

- Nic do Was nie mamy, Królewski Wilku.

Ardan nie ruszył się z miejsca. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza i czekał.

- W takim razie niech będzie - przywódca dał znak. Natychmiast wysunęło się czterech jego ludzi z podniesionymi mieczami.

Ardan nie mógł uniknąć walki, którą jeszcze przed kilkoma dniami chciał od siebie odsunąć za wszelką cenę. Nie można było bezkarnie droczyć się z Synami Eaghana. Ścigaliby go. Być może król mógłby go ochronić, a może niekoniecznie. Nieważne, co by się stało. W chwili, gdy podniósł miecz przeciwko ludziom z Zakonu, nie było już odwrotu. Życie, które znał, kończyło się w tym miejscu, ustępując miejsca czemuś innemu. Myśl, by zostawić za sobą przeszłość i terażniejszość, przywróciła mu odwagę, którą zabrał brak magicznej mocy. Ardan machnął mieczem i odparł pierwszy cios. Równocześnie obrócił się, by obronić się przed drugą klingą, która nacierała z boku. Miecze starły się ze szczękiem, gdy Ardan odpowiedział na atak.

W ostatniej sekundzie zauważył kolejnego wojownika zbliżającego się za plecami i odwrócił się na pięcie. Jego stopy zaszurały na ziemistym podłożu. Liście zaszeleściły i wzbily się w górę. Bez szybkości, którą zazwyczaj zapewniała magia, trudno mu było odpiierać atak. Z półobrotu odepchnął ostrze i uderzył. Jego miecz przebił kolczugę ukrytą pod narzutką z herbem zakonnego wojownika i ten osunął się na ziemię. Ardan odskoczył w bok. Teraz wyszedł z kręgu, który utworzyli wokół niego napastnicy. Z pniem dębu za plecami oczekiwał kolejnego natarcia.

Jeden z mężczyzn odciągnął rannego towarzysza na bok. Szybki gest przywódcy wystarczył, by do ataku ruszyli kolejni wojownicy - aż trzech. Spojrzał w kierunku dziewczyny. Jeden z Łowców zbliżał się do niej z podniesioną bronią. Ardan wyjął sztylet, który wcześniej jej zabrał, i rzucił jej ze słowami:

- Broń się!

Zręcznym ruchem chwyciła broń w powietrzu. Ardan oderwał od niej wzrok i odwrócił się do wojowników zbliżających się od tyłu. Walka długo nie mogła się rozstrzygnąć: raz jedna, raz druga strona zdobywała przewagę. Ardan był zręczniejszym żołnierzem, mimo to oczywista przewaga przeciwników groziła mu porażką. Potężne uderzenia padały na niego raz po raz i zmuszały do uników. Atak i uskok następowały z błyskawiczną szybkością jak skomplikowany taniec, w którym jeden fałszywy krok tancerza mógł kosztować go życie. Krew szumiała w żyłach Ardana, serce waliło w takt melodii wojownika. Z każdym uderzeniem wyraźniej odczuwał zmęczenie. To był moment, w którym zazwyczaj uciekał się do swojej magicznej mocy, czerpał z niej siłę i wzmacniał wytrzymałość i

zręczność. Dziś jednak nie mógł na niej polegać.

Wojownicy Zakonu nadal na niego napierali. Bronił się przed gradem ciosów gromadzących się nad nim, zręcznie manewrując klingą. Kątem oka zobaczył, jak dziewczyna cofała się przed napastnikiem z groźnie podniesionym ostrzem. Ardan powstrzymał przekleństwo cisnące mu się na usta. „Nie wolno wam jej zabić! Tak długo, jak długo nosi w sobie moją magię!”. Obawa, że wraz z jej śmiercią jego magiczna moc zamieniłaby się w pył, stracona nieodwracalnie, motywowała go do walki.

Zamachnął się i odparł atak dwóch wojowników. Trzeciego powalił. Jego miejsce zajął natychmiast kolejny napastnik. Ardan zbliżył się do dziewczyny na odległość dwóch metrów, gdy drogę zagroził mu ponownie grad stalowych ostrzy. Z dużym trudem bronił się przed rażącymi ciosami. Jego ruchy stały się ociężałe z wysiłku, a nadal miał naprzeciwko siebie trzech wojowników.

Sam nie da sobie z nimi rady. Potrzebował planu. Czegoś, co pomogłoby mu pozbyć się zakonnych wojowników. Wtedy przypomniał sobie metalową obrozę, którą założył dziewczynie na szyję. Wraz ze wspomnieniem przyszła mu do głowy pewna myśl.

Napełniony nową energią, zrobił unik przed kolejnym ciosem i ruszył z impetem między nacierającymi mieczami, zręcznie unikając trafień. Zamachnął się, zmiotł na bok wojownika, który zagrażał dziewczynie, i wreszcie był przy niej. Na jej twarzy dostrzegł wyraz ulgi, który natychmiast zniknął, gdy ją chwycił i trzymał przed sobą jak obronną tarczę. Ręką z mieczem objął jej talię, a wolną dłoń położył na metalowej obręczy. Wojownicy Zakonu zbliżyli się do nich.

Ardan potrząsnął głową.

- Na waszym miejscu nie robiłbym tego. - Palcami gładził obrozę od niechcenia. - Nie chcecie przecież, żebym zdjął jej tę obrozę, prawda? - Jego usta wykrzywił złowrogi uśmiech. - Widzieliście przecież, co stało się z karczmą? To była ona. I może to w każdej chwili powtórzyć. - Popukał opuszką palca w obrozę. - Wystarczy, że ją zdejmę. Wtedy na własnej skórze przekonacie się, jak czuje się mięso pieczone na rożnie.

Drżała w jego uścisku. Ardan miał wątpliwości, czy byłaby w stanie wydobyć z siebie moc choć w połowie tak silną, jak w karczmie. Przesunął wzrokiem po napastnikach. Gniewny uśmiech błąkał się po jego twarzy, gdy wojownicy zwlekali.

- Wojownicy, jesteście pod opieką bogów! - zakrzyknął przywódca z tyłu. - Ta czarownica nic wam nie zrobi! Złapcie ją!

Uśmiech zamarł na ustach Ardana, gdy spostrzegł, że wszyscy podnoszą miecze i powoli zmieniają pozycje, by ich okrążyć.

Ardan szukał słabego miejsca w ich formacji, ale go nie znalazł. „Jeśli dziewczyna umrze, moja magia przepadnie”. Prawie się roześmiał, gdy uświadomił sobie swoje myśli. Aby ją dostać w swoje łapy, muszą się najpierw z nim zmierzyć.

Głuche uderzenia podków przestraszyły go. Jakiś jeździec wystrzelił spomiędzy drzew, owinięty w olśniewająco białą pelerynę Synów Eaghana. Przednie kopyta jego konia wbiły się w poszycie, gdy spał go gwałtownie, stając między Ardanem a zakonnymi braćmi. Mech i ziemia wzbily się w powietrze. Koń wierzgnął, lecz jeździec zapanował nad nim jednym ściągnięciem cugli.

- Crean - głos dziewczyny był tak cichy, że Ardan z trudem ją dosłyszał.

Mężczyzna, którego nazwała Creanem, zwrócił się do swoich ludzi.

- Cofnąć się! - krzyknął. - Wasze amulety was nie ochronią! Nie mają wystarczającej mocy!

- Mamy przecież rozkaz! - wtrącił się przywódca.

- Jesteście głusi, Horanie? - napadł na niego Crean. - Powiedziałem, że macie zawracać.

Ardan przyjrzał się uważnie odzieniu Creana. Dopiero teraz dostrzegł herb na jego piersi, znak Synów, zamknięty w wieńcu z promieni. Zmarszczył czoło. Ten mężczyzna nie był zwyczajnym wojownikiem Zakonu.

Horan skurczył się pod spojrzeniem Creana.

- Wedle rozkazu, panie.

Ardan ze zdumieniem patrzył, jak Synowie Eaghana wracają do swoich koni i ich dosiadają. Crean był ostatnim, który opuścił polanę. Zanim zawrócił konia i podążył za resztą, popatrzył na dziewczynę przeciągłym wzrokiem.

Gdy tylko zostali sami, Ardan wyjął z jej dłoni sztylet i ją puścił. Wsunął miecz i sztylet za pas i przyjrzał się jej. Klęczała na ziemi, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Skąd znasz tego mężczyznę?

Podniosła głowę z pociemniałymi ze zmęczenia oczami.

- Pomógł mi uciec.

Ardan zmarszczył czoło.

- Jesteś pewna, że to on? Widziałaś jego herb? On...

- W ostatnim czasie wydarzyło się wiele spraw, których nie rozumiem, ale nie jestem przecież głupia! - krzyknęła na niego. - Wiem, co widziałam.

Ardan wyciągnął do niej dłoń.

- Musimy uciekać, zanim powrócą z posiłkami.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Chodź już, dziewczyno!

- Nigdzie z tobą nie pójde.

- Oddaj mi moją magiczną moc, a potem możesz iść, dokąd oczy poniosą.

- Weź ją sobie. Ja jej nie chcę!

Ardan chętnie by to zrobił, ale nie wiedział, jak.

- Ukradłaś ją! A teraz oddaj mi ją z powrotem!

- Niczego nie ukradłam! - Palcami chwyciła metalową obrożę i szarpnęła nią. -

Zdejmij mi to i pozwól odejść.

- Uważasz mnie za pomyleńca? Widziałem przecież, jak zamieniłaś karczmę w kupę gruzu i popiołu. Stałem w samym środku twojego małego ognistego piekła. Zapomniałaś już o tym?

Ardan splótł ręce na piersiach i popatrzył na dziewczynę w zamyśleniu. W jej oczach nie było kłamstwa, w jej rysach żadnej nieszczerości. Przypomniał sobie przerażenie na jej twarzy, gdy wybuchł pożar.

- Oddaj ją.

- Nie wiem, jak - jej głos stracił siłę. - Weź ją i zostaw mnie w spokoju.

„Weź ją”. Tak samo jak on, nie wiedziała, co się wydarzyło. Ardan usiłował przypomnieć sobie dzień ich pierwszego spotkania. Co się wtedy wydarzyło? Zderzyli się ze sobą. Pojawiły się niebieskie iskry. Małe ładunki energii przeskakiwały między nimi w tę i z powrotem. Uczucie bliskości powróciło i wypełniło go ciepłem.

- Dotknięcie. To musi być dotyk! Daj mi swoją rękę!

Wyciągnęła do niego dłoń. Jego palce zacisnęły się na jej palcach. Podciągnął ją do góry. Chwiejnie podniosła się na nogi. Nie puścił jej dłoni, tylko splótł z jej palcami swoje. Poczł ciepło jej skóry i drżenie rąk. Nic się nie zdarzyło, nie pojawiło się ani przyjemne łaskotanie, ani niebieskie iskry. Chwycił jej drugą dłoń i przyciągnął ją bliżej siebie. Nadal niczego nie poczuł. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, aż ich ciała się dotknęły. Spojrzenie Ardana kąpało się w złotej poświacie jej oczu. Natychmiast pojawiła się bliskość. W tym uczuciu mieszała się potrzeba opiekuńczości i spokój, jakiego nie dane mu było wcześniej zaznać. Nawet jego żona nie wywołała w nim nigdy podobnych uczuć. To, że spowodowała je ta obca dziewczyna, zaskoczyło go i przestraszyło równocześnie.

- Nic się nie wydarzyło - wysunęła dłonie z jego uścisku i cofnęła się. Chwila porozumienia skończyła się raptownie. - Co teraz?

- Naprawdę nie wiesz, czy tylko udajesz?

- Myślisz, że to wszystko by się wydarzyło, gdybym wiedziała? Uważasz, że ja tę karczmę specjalnie...? - Potrząsnęła głową. - Nie chciałam tego! Pragnę jedynie wrócić do moich ludzi - ostatnie słowa zabrzmiały błagalnie.

- Nie możesz wrócić - Ardan nie miał pojęcia, kim byli jej ludzie. Stało się jednak dla niego jasne, że nie może pozwolić jej odejść, przynajmniej tak długo, jak długo miała jego moc. Niezależnie od tego, że chciał ją odzyskać, stanowiła zagrożenie dla każdego, kto stanąłby na jej drodze.

- Nie panujesz nad swoją mocą. Chcesz, żeby przytrafiło ci się coś podobnego jak z karczmą? Chcesz zabić swoją rodzinę? Swoich przyjaciół?

Jej oczy stały się ogromne. Przez chwilę wyglądało na to, że straci panowanie nad sobą. Jednak szybko się uspokoiła.

- Niestety, nie ma w pobliżu zbyt wielu druidów czy magów, których moglibyśmy prosić o radę.

Gdy na niego spojrzała, w jej oczach pojawiło się nieme pytanie, jak mu się udało ukryć swoją moc przed Synami Eaghana.

- Co. proponujesz?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze: poszukamy sobie kryjówki i nadal będziemy próbować wymienić moc. Może się nam poszczęści. A może potrzebujemy trochę czasu do zastanowienia, jak to zrobić.

- A to drugie?

- Powinnaś mi wreszcie zdradzić swoje imię. Nie mogę przecież w nieskończoność nazywać cię dziewczyną.

8

- Czy to ma znaczyć, że puściliście ją wolno? - Peristaes nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Siedział za swoim biurkiem i z wielkim trudem utrzymywał się na krześle, po tym jak Crean i kapitan Horan donieśli mu o ucieczce dziewczyny.

- Czy postradaliście już wszelkie zmysły?

- Nie mieliśmy wyboru. Był przy niej wojownik!

- Ardan von Daormir - dodał Crean.

- Walczył o nią - kapitan Horan stał z opuszczonymi ramionami i miał minę zbitego psa.

- To było zbyt niebezpieczne.

- Zbyt niebezpieczne! - Gniew zabrzmiał w głosie Peristaesa.

Fala gorąca uderzyła mu do głowy. Czarownik z Daormiru i ta kobieta! Uderzył dłonią w blat biurka i poderwał się na równe nogi.

- Właśnie dlatego mieliście ją sprowadzić! Ją i jego!

Kapitan wcisnął głowę w ramiona.

- Ale amulety, panie. Nie mogły nas ochronić! Ona...

Peristaes zacisnął powieki. Wyciągnął rękę nad biurkiem, złapał amulet Horana i zerwał mu go z szyi. Kapitan skulił się, gdy oczka złotego łańcucha ustąpiły pod silną dłoń dowódcy. Peristaes opadł na krzesło i popatrzył w zamyśleniu na amulet. Wzrokiem przesunął po wizerunkach pięciu bogów i po łączących ich splątanych symbolach. Poczł wyraźnie, że amulet był dobry i spełniał swoje zadanie. Jak Horan może spychać swoje tchórzostwo na poświęcony amulet! Podniósł wzrok. Jego oczy wbiły się świdrująco w twarz Horana. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Crean.

- Ochrona amuletu nie była pełna. Brakowało piątego błogosławieństwa. - Od chwili, gdy wszedł razem z kapitanem do gabinetu w wieży, przysłuchiwał się w milczeniu sprawozdaniu Horana. Wreszcie zabrał głos. - To ja dałem rozkaz do wycofania się.

Wzrok Peristaesa przylgnął teraz do twarzy Creana. Nie mógł uwierzyć w jego słowa. Ten człowiek był jednym z jego najsprawniejszych wojowników. Udowodnił to nie tylko siłą swojego miecza, lecz przede wszystkim przenikliwością rozumu. Z tego powodu Peristaes ustanowił przeciw Creana z Travercore swoim zastępcą. I właśnie on uniemożliwił schwytanie dziewczyny! Peristaes zamrugał kilkakrotnie powiekami. Nadal patrzył na Creana, który spokojnie odwzajemniał jego spojrzenie.

Z dużym trudem powstrzymał złość. Musiał mieć powód. Amulet ciążył mu w palcach. Piąte błogosławieństwo! Błogosławieństwa były spełnione, przecież o tym wiedział. Był obecny, gdy kapłani dokonywali rytuału, który zwykłym symbolom wiary nadawał ochronne właściwości. Niecierpliwym gestem dłoni oddalił kapitana Horana. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Peristaes podniósł się i podszedł do Creana.

- Co naprawdę się wydarzyło? Nie opowiadaj mi, że to wina amuletu. - Podniósł klejnot w górę i wpra-pod silną dłoń dowódcy. Peristaes opadł na krzesło i popatrzył w zamyśleniu na amulet. Wzrokiem przesunął po wizerunkach pięciu bogów i po łączących ich splątanych symbolach. Poczł wyraźnie, że amulet był dobry i spełniał swoje zadanie. Jak Horan może spychać swoje tchórzostwo na poświęcony amulet! Podniósł wzrok. Jego oczy wbiły się świdrująco w twarz Horana. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Crean.

- Ochrona amuletu nie była pełna. Brakowało piątego błogosławieństwa. - Od chwili,

gdy wszedł razem z kapitanem do gabinetu w wieży, przysłuchiwał się w milczeniu sprawozdaniu Horana. Wreszcie zabrał głos. - To ja dałem rozkaz do wycofania się.

Wzrok Peristaesa przyłgął teraz do twarzy Creana. Nie mógł uwierzyć w jego słowa. Ten człowiek był jednym z jego najsprawniejszych wojowników. Udowodnił to nie tylko siłą swojego miecza, lecz przede wszystkim przenikliwością rozumu. Z tego powodu Peristaes ustanowił przecież Creana z Travercore swoim zastępcą. I właśnie on uniemożliwił schwytanie dziewczyny! Peristaes zamrugał kilkakrotnie powiekami. Nadal patrzył na Creana, który spokojnie odwzajemniał jego spojrzenie.

Z dużym trudem powstrzymał złość. Musiał mieć powód. Amulet ciążył mu w palcach. Piąte błogosławieństwo! Błogosławieństwa były spełnione, przecież o tym wiedział. Był obecny, gdy kapłani dokonywali rytuału, który zwykłym symbolom wiary nadawał ochronne właściwości. Niecierpliwym gestem dłoni oddalił kapitana Horana. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Peristaes podniósł się i podszedł do Creana.

- Co naprawdę się wydarzyło? Nie opowiadaj mi, że to wina amuletu. - Podniósł klejnot w górę i wprawił go w ruch na łańcuchu. - Wszystko z nim w porządku.

- Wiem - odparł Crean, nie spojrzawszy nawet na amulet. - Nie chciałem, żeby Horan i jego ludzie stracili wiarę w ochronną moc amuletu. Dlatego twierdziłem... - Stuknął palcem w wisiołek, czym wprawił go w ruch, odwrócił się i wyjrzał przez okno. - Prawda jest taka, że widziałem, do czego zdolna jest ta dziewczyna. - Odwrócił się. Jego oczy połyskiwały chmurnie. - Widziałem, co stało się z karczmą, Eddanie! Nie chciałem tego mówić przy Horanie, ale obawiam się, że nawet najsilniejsze amulety tutaj nie pomogą.

„Nie pomogą, jeśli jest osobą, o której myślę”.

- Ufaj mocy bogów. A teraz idź i spisz relację z tego zdarzenia. Jak tylko się z tym uporasz, utworzysz oddział i wyruszysz ponownie. Podejmij wszelkie możliwe kroki i działania zabezpieczające. Chcę mieć tę dziewczynę i czarownika!

Crean odwrócił się i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Peristaes opadł na krzesło. „Chyba jestem szalony. Powinienem rozkazać ludziom, żeby ją natychmiast zabili”. Wiedział jednak, że nie będzie to takie łatwe. Tylko oczyszczające płomienie stosu mogły unicestwić to pogańskie istnienie.

- Pozwól mi ponieść.

Ciężar zniknął, gdy Ardan wyjął z dłoni Elyrii tobolek z zakupami. Potrząsnęła z ulgą rękoma i szła obok niego ulicą. Znowu złapała się na tym, że obserwuje go kątem oka. „Spotka kogoś”, usłyszała w swoim wnętrzu głos Dhori. „Mężczyznę i zwierzę w jednym”. Wiedziała, że Ardan nazywany jest Królewskim Wilkiem. Tym niemniej nie było w nim

żadnego podobieństwa do zwierzęcia, a już na pewno nie do wilka. Bez wątplenia spotkanie z nim miało wielki wpływ na jej życie. Tak jak przepowiedziała Dhori. Bez niego nie uciekłyby Synom.

Po odjeździe zakonnych wojowników Ardan wsadził ją na swojego konia. Galopowali całą noc i cały dzień, zanim rozbili obóz na małej leśnej polanie. Byli tu od dwóch dni. Ardan nie mówił wiele o sobie, jedynie o swoich zadaniach kapitana Królewskich Wilków i o tym, w jaki sposób sprawić, by odwrócić to, co się stało.

Stale ponawiali próby wymiany magicznej mocy. Podawali sobie dłonie i skupiali się na swoich ciałach. Raz otwierali oczy, innym razem zamykali. Gdy ich wysiłki nie przyniosły żadnych rezultatów, starali się odtworzyć pierwsze spotkanie. Usiłowali sobie przypomnieć każdy ruch, każde spojrzenie i powtórzyć dokładnie ich kolejność. Także i to nie było skuteczne. Gdy Elyria stwierdziła, że może to wina obroży, zdjął ją. Wtedy spróbowali wszystkiego od początku. Wynik był jednak taki sam.

Ardan uparcie naciskał na kolejne próby, aż sam musiał przyznać, że to nie miało sensu. Wreszcie Elyria dobrowolnie założyła sobie obrożę. Nie chciała jeszcze raz przeżyć niekontrolowanego wybuchu magicznej mocy.

- Czy mamy wszystko, czego nam trzeba?

Słowa Ardana wyrwały ją z zamyślenia. Zamrugła, spojrzała na niego, powoli wracała do rzeczywistości. Opuścili obóz, by uzupełnić zapasy w miejscowości, której nazwy Elyria nie знаła.

- To zależy, jak długo mamy zamiar ukrywać się w lesie.

Ardan zwolnił kroku.

- Przecież byliśmy zgodni co do tego, że dalsze próby nie mają sensu. - Gdy kiwnęła głową, kontynuował. - Sami nie damy rady. Potrzebujemy pomocy.

- A jak to sobie wyobrażasz? Chcesz iść do Peristaesa? Do króla? - Skrzywiła się. - Nie sądzisz, że nie powinniśmy rozpowiadać o naszym dziwnym kłopotcie?

- Oczywiście, że nie! - Ogarnął wzrokiem ulicę i trwało chwilę, zanim na nią spojrzał.

- Powinniśmy spróbować w Khatmoharze.

Elyria wbiła w niego wzrok.

- Wiesz, o czym mówisz? Miasto magów! - Potrząsnęła głową. - Po Wojnie Mocy to raczej miasto zmarłych. Nie został tam kamień na kamieniu. I tam mamy się udać?

Ardan położył palec na ustach.

- Nie wierzę, że wszystko zostało zniszczone - odparł bardzo cicho, żeby przechodzący ludzie nie mogli go usłyszeć. - Tam musi być coś, co nam pomoże. Coś lub

ktoś.

Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, jak ciężko musi mu być po utracie mocy. Stanowczość wyczuwalna w jego słowach dawała wyobrażenie o głębokości jego uczuć.

- Chleb. - Gdy zobaczyła zaskoczenie na jego twarzy, uśmiechnęła się. - Jeśli chcemy wyruszyć, powinniśmy kupić jeszcze chleb.

Twarz mu się rozjaśniła.

- Poczekaj na mnie przy koniu. Zaraz wracam.

Miłe uczucie, że podjęła dobrą decyzję, szybko minęło. Podróż do Khatmoharu jeszcze dalej odsunęła ją od jej trupy. Samotność ścisnęła jej serce przejmującym chłodem. Przez chwilę bawiła się myślą, żeby pobiec do konia, wskoczyć na siodło i odjechać. Marzyła, żeby zostawić wszystko za sobą. To miejsce, Ardana, magię - wszystko. Popatrzyła na ludzi, którzy przechodzili obok niej. Chłopi z wózkami pełnymi towarów, kobiety obciążone koszami, rozbrykane, biegające i śmiejące się dzieci zapełniali wąskie uliczki miasteczka.

Jej wzrok wędrował po krzywych fasadach starych kamieniczek. „Mogłabym to zniszczyć jednym ruchem palca”. Bezwiednie potrząsnęła głową. Nie mogła odjechać. Czy resztę życia miała spędzić na ucieczce? Z metalową obrożą na szyi? Nie, musiała pozbyć się magicznej mocy. Niezależnie od tego, że Ardan nie pozwoliłby jej odjechać, był jeszcze Peristaes. Synowie Eaghana nigdy się nie poddadzą. To z jej powodu Ardana też ścigają Łowcy Czarownic. Co prawda twierdził, że nie przejmuje się tym szczególnie, lecz gdy patrzyła mu w oczy, odbijało się w nich to samo zmartwienie, które u niej samej uważał za przesadne.

Nic nie będzie już takie samo, jak było. Nawet jeśli uda im się wymienić magiczną mocą, nie zmieni to faktu, że Łowcy Czarownic będą poszukiwać jej tak samo zaciekle jak Ardana. Skąd Peristaes ma wiedzieć, czy Elyria posiada moc, czy też nie? Zawsze będzie ją ścigać.

Jeśli wróci do ojca i trupy, ściągnie niebezpieczeństwo na ludzi, których kocha. Ma własną przyszłość. Przyszłość, która nie jest związana z tą trupą komediantów. Teraz słowa Madame Dhori wbiły się głęboko w serce, bo Elyria rozpoznała prawdę kryjącą się za nimi.

Tak bardzo pograżyła się w ponurych rozmyślaniach, że zbyt późno dostrzegła dwóch mężczyzn przed sobą. W ostatniej chwili usunęła się na bok, aby uniknąć zderzenia. Potknęła się i byłaby upadła, gdyby jeden z nich jej nie podtrzymał.

Wymamrotała szybkie podziękowanie. Przeprosiny utknęły jej w gardle, gdy spojrzała na twarz pociętą bliznami. To nie one jednak spowodowały, że Elyria oniemiała, lecz ślad

potwornego okaleczenia w miejscu, gdzie powinny znajdować się oczy. Zgrubiałe blizny przecinały się na pustych oczodołach, które niejako wpatrywały się w Elyrię.

Bardziej przerażające niż sam widok było pytanie, jak mógł tak pewnym gestem ją podtrzymać. Spojrzała na jego towarzysza. Jego twarz była gładka, z zaróżowioną młodzieńczą skórą. Prawdopodobnie kiedyś był przystojny, zanim też stracił oczy. Jego oczodoły przecinały te same zgrubiałe blizny. Obaj mieli na sobie ciemnobrązowe habity, przetarte i wystrzępione na brzegach, z kapturami odrzuconymi do tyłu. Choć ni-■ gdy nie słyszała, by śłudzy bogów ubierali się w tak zniszczone ubrania, mężczyźni przypominali mnichów. Niebezpiecznych mnichów.

- Możecie mnie już...

Palce ślepeca z bliznami wbiły się w ciało Elyrii, aż zakręciło jej się w głowie. Nagle nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa. Poczowała, że jego uścisk pozbawia ją całej siły życiowej.

- Nie! Puście mnie!

Chciała krzyczeć, ale nawet wypowiedzenie tych kilku słów było dla niej bardzo trudne. Gdy ten drugi także ją złapał, pomyślała, że zemdleje. Opuszki jej palców zaczęły łaskotać i prawie czekała, żeby poczuć gorąco magicznej mocy w ręku. Energia napierała, by wybuchnąć, lecz powstrzymywała ją jakaś silna bariera. Metalowa obroza.

- Czeka na ciebie.

Słowa niewidomego mnicha wniknęły do jej ucha i wbiły się w mózg jak sztylet. Elyria walczyła z omdleniem i próbowała się uwolnić. Powieki zamykały się same, chciała wołać o pomoc, ale zamiast tego z jej gardła dobył się jedynie schrypnięty skrzek, zbyt cichy, by ktokolwiek mógł go usłyszeć. Upadła na kolana. Przy upadku zniknął uporczywy chwyt na jej ramieniu. Natychmiast wróciły jej siły. Skuliła się pod wyciągniętymi rękoma, które próbowały ją schwytać, i precisnęła się między nimi. Na plecach poczuła przesuwające się palce, które złapały jej pelerynę i szarpnęły za materiał. Elyria wyrwała się w ostatniej chwili i już była wolna. Potykała się, ale stanęła na równe nogi i pobięła przed siebie. Uliczki migały za nią, gdy przedzierała się przez tłoczącą się cizbę ludzką. Obejrzała się za siebie. Niewidomi mnisi gonili ją z zapierającą dech w piersiach szybkością.

Spoglądała nieustannie za siebie i skręciła za róg. O mały włos zderzyłaby się z kimś, kto szedł z naprzeciwka. Kiedy rozpoznała Ardana, fala ulgi przepłynęła w jej ciele. Spozregła zdziwienie malujące się na jego twarzy, zanim jednak zdążył zadać pytanie, złapała go za rękę.

- Biegnij!

Na kolejne słowa zabrakło jej oddechu, ale samo spojrzenie wystarczyło, żeby Ardan posłuchał.

Ledwie zdążyli pobiec w głąb zaułka, prześladowcy wypadli zza rogu. Dzielilo ich nie więcej niż dwadzieścia stóp. Z tak bliskiej odległości puste oczodoły nadawały głowom mnichów wygląd trupich czaszek. Elyria prawie spodziewała się zobaczyć w nich wijące się larwy.

- Co u kata...! - Ardan spojrzał w twarze prześladowców. Zwolnił i sięgnął po miecz.

- Nie zatrzymuj się! - wy dyszała, z trudem łapiąc oddech. Jej palce zacisnęły się na jego dłoni. Minęła niekończąca się chwila, zanim wreszcie przyspieszył kroku.

Pomknęli razem uliczkami. Im dłużej trwała ich ucieczka, tym bardziej zwiększał się dystans między nimi a prześladowcami. Wydawało się, że ślepcy powoli tracą siły.

Gdy mnisi stali się dwoma oddalonymi punktami na drugim końcu uliczki, stanęli w miejscu. Ich habity łopotały w cieniu domów. Elyrię paliło w płucach, nie odważyła się jednak zatrzymać. Nawet wówczas gdy ślepcy zniknęli już z pola widzenia, Ardan wciąż ją popędzał.

- Szybciej!

Biegła już bardzo długo i mięśnie nóg bolały ją niemiłosiernie - myślała, że nie zdoła zrobić ani kroku.

Posuwała się jednak z trudem naprzód, potykając się i posapując.

- Pozbyliśmy się ich - wyrzucił z siebie Ardan.

Elyria spojrzała za siebie w głąb uliczki. Pusto. Ani śladu przechodniów, ani śladu ślepych mnichów. Ścigana przez ślepców. Gdyby nie strach, który przenikał ją aż do kości, roześmiałyby się w głos. Teraz stała jednak z palcami splecionymi na dłoni Ardana, wsłuchując się w gwałtowne łomotanie swojego serca.

Ardan przyglądał się stosikowi chrustu, który trzymał w rękach. Musi wystarczyć na całą noc. Nie chciał na dłużej zostawiać Elyrii samej. Odkąd opuścili miasto i powrócili do obozu, była spięta i nerwowa. Stale przyłapywał ją na tym, że spogląda za siebie. Wystarczył najmniejszy szmer, żeby ją przestraszyć.

Wciąż nie do końca rozumiał, co się wydarzyło. Oczywiście, pytał ją o to. Mówiła, że dotyk ślepców pozbawił ją wszystkich sił. Powiedzieli, że on na nią czeka. Na pytanie, kto taki, Elyria nie знаła odpowiedzi. Bez względu na to, kim byli ci mężczyźni, nie należeli do ludzi Peristaesa, to było pewne. Być może to starzy wrogowie, którzy od dawna są na jej tropie. Ślepi mnisi! Ardan chętnie wmówiłby jej, że zwariowała, lecz widział ich na własne oczy i czuł spojrzenie pustych oczodołów na swoim ciele. Jakby go widzieli. Bezwiednie

potrzęsnał głową. Jeśli ona jest obłąkana, to najwyraźniej on również.

Od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszał o Elyrii w gabinecie Peristaesa, traktował ją jak osobę przyciągającą kłopoty. Złodziejka, która ukradła mu magiczną moc. Podczas tropienia dziewczyny, powodowany własną wściekłością utkał sobie jej obraz jako zwykłej oszustki. Potem odnalazł ją tamtej nocy, kiedy płomienie pochłonęły karczmę. I niedługo później dowiedział się, że należy do Wędrownego Ludu. Jego doświadczenia z ludźmi tego pokroju nie były zbyt budujące. W innych okolicznościach nie marnowałby na nią ani chwili, bo gardził takimi jak ona. Los jednak chciał, że właśnie ona posiadała jego magiczną moc.

Ardan szybko się zorientował, że Elyria nie była złodziejką, za którą ją uważał. Była prostą dziewczyną, której świat podczas kilku dni wywrócił się do góry nogami. Bała się, chociaż usiłowała to ukryć. I tak samo usilnie walczyła, żeby pozbyć się magicznej mocy, jak on chciał ją odzyskać.

Spojrzał w niebo. Niedługo zapadnie noc. Zgarnął chrust i ruszył w powrotną drogę otulony mocnym zapachem żywicy i sosnowych igieł.

Elyria siedziała przy ognisku zwrócona do niego plecami i ogrzewała dłonie nad płomieniami. Sucha gałązka trzasnęła pod podeszwą jego ciężkich butów. Natychmiast skoczyła na równe nogi i odwróciła się. Zobaczył, jak jej ręka sama poderwała się do góry. Opuszki palców zaświeciły niebieskim ogniem. Metalowa obroża odskoczyła z jej szyi i spadła na ziemię, a w oczach dziewczyny pojawił się strach. Nie mogła jednak powstrzymać płomienia. Ładunek energii zamigotał na jej palcach i wystrzelił w jego kierunku. Błyskawica uderzyła Ardana w piersi. Nieprawdopodobnie gorąco przeszło jego ciało, lecz nie była to energia błyskawicy. To był amulet słońca, który rozgrzał się pod wpływem magicznej mocy i ją wchłonił. Ardan wpatrywał się nieruchomo w Elyrię, oczekując kolejnego wybuchu, ale niebieska poświata wokół jej dłoni zniknęła. Strumień magii ustał tak szybko, jak się pojawił.

Podszedł do ogniska i podniósł obrozę. Na jej widok skurczył mu się żołądek. Zapięcie roztopiło się pod wpływem siły uderzenia energii. Teraz już nic nie mogło opanować tej magicznej mocy.

- Nie chciałam tego - wypowiedziane szeptem słowa wyrwały go z zamyślenia. Oderwał wzrok od zdeformowanego kawałka metalu i spojrzał na nią. - Naprawdę myślałam... Usłyszałam jakiś odgłos i przestraszyłam się, gdy ty nagle... Nie rozpoznałam ciebie od razu i wtedy... - Podniosła drżące dłonie. Próbowała się wytłumaczyć. - Nie wiem, jak to się mogło zdarzyć! Obroża...

- Obroża powinna wytrzymać.

Spojrzała na metal w jego rękach. Wyciągnęła po niego dłoń.

- Dlaczego nie mogę tego kontrolować? - Jej palce mocno zacisnęły się wokół obręczy. - Psiakrew! - wrzasnęła nagle, chwyciła obrożę i rzuciła ją w las. - Tak nie może być! Po prostu tego nie rozumiem!

Ardan patrzył na nią zdumiony. Liczył się z tym, że będzie przerażona czy wystraszona. Jej wściekłość nadeszła jednak nieoczekiwanie. „Jest silniejsza, niż myślałem”. Chwycił ją za ramiona. Fala znajomego ciepła przepłynęła przez jego ciało.

- Uspokój się.>

- Mam się uspokoić? - Wyrwała się. - Moje życie można porównać do kupy gruzu, a ja mam się uspokoić? Mogłam cię zabić! - wrzasnęła. - Może uda mi się to następnym razem. A może mam się uspokoić, gdy będę stała nad twoim martwym ciałem? Mam...

- Elyria! - Ponownie chwycił ją za ramiona i zmusił, by stanęła bez ruchu. Próbowwała się uwolnić, lecz tym razem jej nie puścił. - Nic mi się nie stanie - mówiąc to, podkreślał każde słowo.

- Zabiję cię. Jeszcze zobaczysz! A potem... - Potrząsnęła głową. Nagle wydała się zmęczona. - Nic z tego nie rozumiem - powtórzyła jeszcze raz.

- Ze mną jest podobnie. Zanim wyruszymy, musisz nauczyć się kontrolować magiczną moc. Nie każdy posiada amulet, który go chroni.

Spojrzał na talizman zawieszony na swojej piersi. Jego brzegi były zwęglone i pofałdowane od gorąca.

10

Od świtu, kiedy wyruszyli, Elyria siedziała w siodle przed Ardanem. Obserwowała pola, łąki, rzędy drzew i łagodne, porośnięte wzgórza. Były pierwszą zapowiedzią, że zbliżali się do górzystej krainy Kerrigan. Rzędy drzew, wśród których prowadziła ich droga, zgęstniały i zanurzyły ścieżkę w chłodnym cieniu. I to on sprawił, że odezwały się w Elyrii słowa ślepców. „Czeka na ciebie”. Na samo ich wspomnienie lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach. Zadrżała i przysunęła się bliżej do Ardana.

- Nie martw się. - Jego oddech połaskotał ją ciepło w szyję. - Tam nikt nas tak szybko nie znajdzie.

„Tam” oznaczało opuszczone gospodarstwo w górach. Miejsce znane Ardanowi z czasów, gdy był wojownikiem, i które uważał za bezpieczne. Opowiedział jej o nim dzisiaj rano, zanim wyruszyli w drogę. To dogodna kryjówka. „Oddalona i samotna”, powiedział. Chcieli zatrzymać się tam tylko przez kilka dni. Na tyle krótko, by uniknąć wytopienia przez ludzi Peristaesa, lecz na tyle długo, by Ardan zdążył nauczyć dziewczynę obchodzenia się z magiczną mocą.

Elyria powstrzymała westchnienie. Ardan miał rację, przecież stanowiła niebezpieczeństwo. Nie dla niego, bo posiadał przecież amulet, lecz dla każdego, kto może ją przypadkowo przestraszyć. Wydarzenia w karczmie były dla niej wystarczająco wstrząsającym przeżyciem. Nigdy więcej nie chciałaby doświadczyć czegoś podobnego.

Ardan nagle wstrzymał konia. Elyria zauważyła rozgałęzienie dróg. Ścieżka przecinająca ich drogę była skryta w cieniu. Ardan wyprostował się w siodle, a Elyria obejrzała się do tyłu.

- Co...

Ruchem ręki kazał jej zamilknąć. Wskazywał ścieżkę po lewej stronie. Mrużąc oczy, Elyria wpatrywała się w rozproszone światło. Usłyszała jeźdźca, zanim go zobaczyła.

- Ludzie Peristaesa? - zapytała cicho.

Ardan potrząsnął głową.

- Tylko jeden - odpowiedział jej równie cicho. - Prawdopodobnie jakiś podróżny. Pozwól, że ja będę rozmawiał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zobaczyła jeźdźca z daleka, a w zasadzie jedynie zarys jego postaci trudno rozpoznawalny w głębokim cieniu. A jeśli to jednak jeden z ludzi Peristaesa? Czy to mrowienie w jej ręku? Czy magia ożywa? Elyria kręciła się w siodle, pocierając koniuszki palców w nadziei, że stłumi moc, która przepływała już przez jej ciało. Powoli spośród drzew zaczęła wyłaniać się postać. Mrowienie w jednej chwili ustało. Z głośnym okrzykiem zeskoczyła z konia.

- Elyrio! - Ardan usiłował ją powstrzymać. Schwycił ją za rękę, lecz dziewczyna wysunęła się i wybiegła naprzeciw jeźdźcowi.

- Gwynn!

Gdy Gwynn ją dostrzegł, zeskoczył z siodła, jeszcze zanim jego koń stanął. Chwilę później Elyria wpadła w ramiona brata. Przyciągnął ją do siebie i przycisnął, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić z objęć.

- Myślałem, że jesteś martwa - szepnął schrypniętym głosem, gdy po długiej chwili rozluźnił uścisk, by się jej przyjrzeć. Łzy zalśniły w jego oczach.

Słowa uwięzły jej w gardle.

- Ja...

- Kim jest ten chłopak? - Ardan stanął za jej plecami.

Elyria nie była w stanie oderwać oczu od Gwynna. Był częścią jej życia, o której myślała, że straciła ją bezpowrotnie.

Wreszcie odzyskała mowę.

- Co tutaj robisz?

- Co ja...? Boże, Elyria! Gdy nie wróciłaś... - głos mu się załamał. - Chciałem... - Puścił ją i zacisnął dłonie w pięści. - Gdy ojciec i reszta zaczęli cię szukać, milczałem. I gdy zwinęli namioty, wyruszyłem z nimi. Ojciec nie chciał cię zostawić, lecz Dhori powiedziała, że spełnia się twoje przeznaczenie. Masz od teraz iść swoją drogą. - Gwynn odszukał jej wzrok. - Nie chciał cię zostawić - powtórzył. - Musisz zrozumieć jego decyzję. Jest odpowiedzialny za dobro całej trupy. Miał... - Potrząsnął głową. - Nie chodzi o to, co on zrobił. Co ja zrobiłem, a właściwie czego nie zrobiłem... Upijałem się, całymi dniami. A gdy odzyskałem jasną głowę, Travercore było daleko za nami. Nie mogłem spojrzeć ojcu i reszcie w oczy. Bogowie! Sobie nawet nie mogłem spojrzeć... Wróciłem do Travercore, ale gdy tam dotarłem... Bractwo powiesiło właśnie kilku złodziei, a zwłoki były nie do poznania, okaleczone. Myślałem... Elyrio! - Potarł dłonią oczy. Palce mu drżały. zanim jego koń stanął. Chwilę później Elyria wpadła w ramiona brata. Przyciągnął ją do siebie i przycisnął, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić z objęć.

- Myślałem, że jesteś martwa - szepnął schrypniętym głosem, gdy po długiej chwili rozluźnił uścisk, by się jej przyjrzeć. Łzy załśniły w jego oczach.

Słowa u więzły jej w gardle.

- Ja...

- Kim jest ten chłopak? - Ardan stanął za jej plecami.

Elyria nie była w stanie oderwać oczu od Gwynna. Był częścią jej życia, o której myślała, że straciła ją bezpowrotnie.

Wreszcie odzyskała mowę.

- Co tutaj robisz?

- Co ja...? Boże, Elyria! Gdy nie wróciłaś... - głos mu się załamał. - Chciałem... - Puścił ją i zacisnął dłonie w pięści. - Gdy ojciec i reszta zaczęli cię szukać, milczałem. I gdy zwinęli namioty, wyruszyłem z nimi. Ojciec nie chciał cię zostawić, lecz Dhori powiedziała, że spełnia się twoje przeznaczenie. Masz od teraz iść swoją drogą. - Gwynn odszukał jej wzrok. - Nie chciał cię zostawić - powtórzył. - Musisz zrozumieć jego decyzję. Jest odpowiedzialny za dobro całej trupy. Miał... - Potrząsnął głową. - Nie chodzi o to, co on zrobił. Co ja zrobiłem, a właściwie czego nie zrobiłem... Upijałem się, całymi dniami. A gdy odzyskałem jasną głowę, Travercore było daleko za nami. Nie mogłem spojrzeć ojcu i reszcie w oczy. Bogowie! Sobie nawet nie mogłem spojrzeć... Wróciłem do Travercore, ale gdy tam dotarłem... Bractwo powiesiło właśnie kilku złodziei, a zwłoki były nie do poznania, okaleczone. Myślałem... Elyrio! - Potarł dłonią oczy. Palce mu drżały.

- Gwynn, nic mi nie jest. Ardan mi pomógł.

Popatrzyła na Ardana. Z dłonią na rękojeści miecza wpatrywał się w Gwynna, jakby nadal nie był pewien, czy ten stanowi zagrożenie. Elyria dotknęła delikatnie jego ręki.

- W porządku - powiedziała cicho. - To mój brat.

Gdy Ardan się uspokoił, spojrzała na Gwynna.

- Jak mnie odnalazłeś?

- Plotki krążą po świecie. W karczmach i na targowiskach opowiadają o kobiecie, czarownicy, która uciekła z więzienia. I że Synowie Eaghana ją ścigają. Jeśli ktokolwiek mógłby uciec z lochu, to tylko ty! - Po jego twarzy przemknął smutny uśmiech. - Nie wiedziałem, co mam robić. Dlatego wyśledziłem grupę Synów i podążałem ich tropem.

Elyria zamarła.

- Są tutaj? - Odruchowo przysunęła się do Ardana.

- Straciłem ich trop przedwczoraj. - Gwynn skrzywił się, a potem na twarzy pojawił się urzekający uśmiech, tak dla niego charakterystyczny.

- Twoje odnalezienie zawdzięczam jedynie temu, że zablądziłem. Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jesteście.

- Ja objaśnię ci drogę - wmieszał się Ardan. - Zawróć konia i odjedź z powrotem ścieżką, którą nadjechałeś. Po krótkim czasie zorientujesz się, gdzie jesteś. - Popatrzył na Elyrię. - A my musimy jak najszybciej się stąd wynieść.

- Ona pojedzie ze mną! - Gwynn złapał siostrę za rękę. - Z powrotem do trupy.

Myśl, że mogłaby zobaczyć ojca i swoich przyjaciół, rozradowała jej serce, które chwilę potem zamarło ponownie.

- Nie mogę wrócić, Gwynn - słowa z trudem wy-dobywały się z jej ust, bo były potwierdzeniem, że życie, jakie знаła, zostawiła na zawsze za sobą.

- Co to ma znaczyć, że nie możesz? - Gwynn popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem, potem skierował wzrok na Ardana.

- Czy to on jest powodem? Czy cię zmusza...

- Nie! - przerwała mu szybko. - Zawdzięczam mu życie.

Ponieważ nie wiedziała, od czego zacząć i jakie dobrać słowa, nie próbowała nawet wyjaśniać, co się wydarzyło.

- Jeśli wrócę, sprowadzę na wszystkich niebezpieczeństwo. Nie mogę wziąć tego na siebie.

Następne słowa przyszły jej z trudem.

- Wracaj, Gwynn. Powiedz ojcu, że nic mi nie jest i że niemusi się o mnie martwić.

Powiedz mu, że Dhori miała rację.

Gwynn potrząsnął głową.

- Już raz cię zawiodłem. Nigdy więcej tego nie zrobię! Będę wam towarzyszył.

Zanim Elyria zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Ardan odsunął ją na bok i stanął na wprost Gwynna.

- Nie pojedziesz z nami!

- A jak chcesz mi w tym przeszkodzić? - Wskazał na miecz Ardana. - Może chcesz mnie rozplątać?

Przez sekundę Elyria pomyślała, że Ardan właśnie to miał na myśli. W jego oczach płonął ogień, jakiego nigdy przedtem u niego nie widziała. Spojrzał na nią przelotnie i chwilę później wyraźnie się odprężył. Znowu skierował swoją uwagę na Gwynna.

- Jak tylko będziesz sprawiał kłopoty...

11

Gospodarstwo składało się ze starego, rozpadającego się budynku, postawionego z okolicznych kamieni, i z zabudowań gospodarczych z przepięknym widokiem na krystalicznie czyste górskie jezioro. Odkąd mieszkańcy je opuścili, poddawało się coraz bardziej niszczącemu wpływowi czasu. Wiatr i niepogoda bezlitośnie nadgryzały kamienie, żłobiąc między nimi coraz większe szczeliny i pozbawiając je coraz bardziej stabilności. Mech wyrastał ze szpar i pokrywał ściany zielonym dywanem, jakby natura odbierała sobie to, co niegdyś do niej należało.

Elyrii podobał się widok łagodnie uformowanych zielonych wzgórz rozciągających się na przeciwległym brzegu jeziora. Tak samo jak cisza lasu, którego poskręcane konary niby ręce wyciągały się w stronę domu.

Od chwili przybycia o poranku krzatali się nieustannie i nie miała ani chwili, by w pełni nacieszyć się widokiem. Ona była zajęta zbieraniem chrustu na opał i usuwaniem najgorszego brudu z wnętrza domu, a mężczyźni skupili się na pobieżnym łataniu części zapadniętego dachu i oczyszczaniu komina z mnóstwa ptasich gniazd. Poza rozpadającym się stołem i kilkoma popękkanymi glinianymi dzbanami wcześniejsi mieszkańcy nie pozostawili niczego. Mimo to, gdy wieczorem ogień zatrzeszczał w kominku, w domu zrobiło się ciepłej i przytulniej. Nawet wiatr, który przeciskał się przez szpary w murach, wzniecając raz po raz płomienie w kominku, nie mógł tego zmienić.

Elyria usiadła na ziemi, oparła się plecami o ścianę i zamknęła oczy. Odkąd spotkała Gwynna przed dwoma dniami, odpowiadała wymijająco na jego pytania. „Nie mogę go zbyt długo zwodzić wykrętami”. Poczuła na sobie jego wzrok. Otworzyła oczy i spostrzegła, że to

wzrok Ardana.

- Musimy się dowiedzieć, co wywołuje u ciebie przyływ magicznej mocy - powiedział.

Gwynn usiadł.

- Magiczna moc? Jaka moc?

Elyria powstrzymała westchnienie.

- Ardanie, jestem zmęczona. Pomówimy o tym jutro, proszę.

Ardan kiwnął głową.

- Pomyśl o tym. Czy to tylko strach, czy czujesz ją też w innych sytuacjach?

- O czym, u kata, mówicie?

Ardan wstał.

- Spojrzę na konie.

Chwilę później skrzypiące ze starości drzwi zatrzasnęły się za nim.

Elyria została sama, wystawiona na dociekliwe pytania pojawiające się w spojrzeniu Gwynna. Patrzył tylko na nią, nie wypowiadając ani słowa. Trwało to tak długo, aż poczuła się zmuszona, by pierwsza się odezwać.

- Jestem czarownicą. - „Może od razu powiem otwarcie. Będę miała to już za sobą”, dodała w myślach.

Przez chwilę Gwynn wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- A ja - skwitował z uśmiechem, gdy się trochę uspokoił - jestem Najwyższym Druidem.

Poważna mina Elyrii sprawiła, że uśmiech zamarł na jego twarzy.

- Powiedz, że to żart! Chcesz mnie jedynie nabrać! - Popatrzył na nią niepewnie. - A może? Elyria!

Jej imię nigdy nie brzmiało bardziej jak krzyk o pomoc niż w tej chwili.

- Nie wiem, czy słowo „czarownica” jest odpowiednie. Peristaes tak mnie nazywa. Faktem jest, że wpadłam w poważne tarapaty.

Opowiedziała mu krótko, co przydarzyło się jej od momentu aresztowania. W trakcie opowiadania krew odpływała Gwynnowi z twarzy, a gdy Elyria skończyła, był błydy jak świeżo pobielona ściana.

Przez dłuższą chwilę nie wypowiedział ani słowa. Wpatrywał się w nią z zamarłą twarzą wyrażającą równocześnie współczucie i przerażenie.

- To moja wina - słowa wypłynęły bardzo cicho spomiędzy warg. - Na wszelkie

bóstwa, Elyria! Gdybym nie pozwolił ci iść samej do Travercore...

- Przestań!

Gwynn otworzył usta. Jego wargi poruszały się, lecz nie padło żadne słowo. Samotna łza spłynęła po jego policzku, potem przyciągnął siostrę do siebie i objął. Gest ważniejszy niż tysiąc słów.

Podczas ostatnich dwóch dni często sobie wyobrażała, jak to będzie, gdy opowie mu, co się wydarzyło. Myślała, że wszystkie nagromadzone uczucia, jej strach i rozpacz, wypłyną potokiem łez. Nie rozplakała się jednak. Wystarczała jej świadomość, że Gwynn i Ardan są po jej stronie. Jej brat, który nigdy by jej nie zawiódł, i ten, co prawda obcy mężczyzna, lecz wspaniały wojownik, który, jeśli nie ją samą, to swoją magię będzie chronił do ostatka. I istniało jeszcze to uczucie bliskości i ciepła pojawiające się zawsze, gdy Ardan był blisko niej. Wyczuwała go swoim ciałem niemalże jak dotyk.

*

- Co odczuwasz, gdy pojawia się magiczna moc? - Ardan wpatrywał się w Elyrię od chwili, gdy wprowadził ją na polanę. Wybrał to miejsce w nadziei, że będą mogli w spokoju poćwiczyć w dostatecznym oddaleniu od gospodarstwa, żeby nie narażać Gwynna. Ciężko było go przekonać, żeby został na miejscu. Gwynn, w przeciwieństwie do Ardana, nie posiadał jednak amuletu, który by go chronił.

Ardan musiał przyznać, że Gwynn nie był takim złym kompanem, jak to na początku zakładał. Gdy się do nich przyłączył, Ardan wyobrażał sobie wszystko, co najgorsze. Wędrowni lud. Już sama nazwa wzbudzała w nim obraz hordy złodziei i rabusiów, którym zależało jedynie na pozbawianiu bezbronnych ludzi ich monet i biżuterii. Doświadczył tego na własnej skórze. Był na tyle młody i naiwny, żeby uwierzyć, że mieszkaniem wypełnionym monetami może kupić to, czego tak długo był pozbawiony. Monety nie wywołują ciepła i serdeczności u ludzi, lecz budzą zazdrość i chciwość. To była jego pierwsza lekcja, gdy nazbyt lekkomyślnie chwalił się swoim pierwszym żołdem. Lekcja, która nie tylko uświadomiła mu, jak niebezpieczne są pochopne przechwałki, lecz równocześnie była ostrzeżeniem przed zimnym sercem kobiety. Długo nie traktował go poważnie, a prawdę pokazała mu dopiero Dayanara. Z pewnością jego pierwsze doświadczenie z trupą komediantów ukształtowało w jego umyśle obraz Wędrownego Ludu. Dziewczyna była dla niego miła. Miał za sobą wiele lat samotności, gdy ją spotkał. Całe lata, gdy nie odważył się flirtować z kobietą czy z kimkolwiek się przyjaźnić. Zbyt wielka była jego obawa, że ktoś mógłby odkryć jak bardzo różnił się od innych. Magiczna moc dała mu bardzo wiele, lecz musiał za nią płacić wysoką cenę.

Dar pojawił się u niego w dziesiątym roku życia. Na długo przed Wojną Mocy i Czasem Oczyszczenia uczynił z niego samotnika. Ardan z dumą chwalił się wtedy swoim przyjaciołom nowym darem. Lecz zamiast oczekiwanego podziwu, odnajdywał w ich oczach strach i odrzucenie. Obrzucili go kamieniami i wygnali. Nazwali go potworem. I przeżył jeszcze wiele innych gorszych rzeczy. To był początek długiego okresu samotności. Bolesnego czasu, który jednak uratował mu życie. Teraz był tego pewien, gdyż zachowanie jego przyjaciół nauczyło go skrywać swoją magiczną moc. Wiele lat zabawy w chowanego pozwoliło mu przetrwać bez szwanku Czas Oczyszczenia. W tym czasie tylko stary żebrak, jako jedyny człowiek, rozpoznał jego magiczną moc. Ten sam żebrak, który ofiarował mu słoneczny amulet. „Masz dar, który nie jest przeznaczony dla ciebie. Chroń go dobrze. Nawet gdy go już nie będziesz miał”. Czy mógł przewidzieć pojawienie się w jego życiu Elyrii i to, że amulet będzie go chronił przed własną mocą? Ardan odsunął od siebie tę niewygodną myśl.

Powrócił do wspomnienia trupy komediantów, przy których stracił swój ciężko zarobiony żołd. Upłynął właśnie jego pierwszy tydzień ćwiczenia się w żołnierskim fachu, gdy do Travercore nadjechali komedianci. Był młodym chłopcem i miał zielono w głowie. Oczy dziewczyny rozbłysły, gdy oznajmił z dumą, że zostanie jednym z królewskich żołnierzy. Dzisiaj wiedział, że to mieszek pełen monet przytroczony do pasa spowodował ten błysk. Wtedy nawet tego nie przeczuwał. Po wielu latach osamotnienia dała mu poczucie bliskości i wspólnoty z drugą osobą. Czuł się rozumiany, a nawet kochany. Głupie uczucia, zważywszy, że następnego ranka obudził się w rowie w huczącą głową i nabitym gigantycznym guzem. Miecz i mieszek zniknęły. Tak jak komedianci. Oczywiście mógł wszcząć alarm i domagać się pościgu złodziei. Zrezygnował z tego, bo nie chciał być wyśmiany, że dał się nabrać na ładną buzię i kilka wyszeptanych obietnic. Dostał swoją lekcję.

Podczas kolejnych lat awansował ze zwykłego żołnierza do stopnia kapitana Gwardii Królewskiej. A potem został przywódcą Królewskich Wilków. Miał żonę, posiadłości i tytuł, lecz nic z tego, co posiadał, nie uczyniło go szczęśliwym. Dopiero teraz, podczas ucieczki przed ludźmi Peristaesa, poczuł się wolny, po raz pierwszy od wielu, wielu lat. I na dokładkę w towarzystwie dziewczyny z Wędrownego Ludu. Uśmiechnął się bezwiednie. Elyria nie miała nic wspólnego z komediantami, którzy kiedyś ukształtowali jego wyobrazenie o ludziach tego pokroju. Podobnie jak i Gwynn.

- To było tak, jakby ktoś rozbił mur.

Ardan zamrugał powiekami. Tak bardzo pograżył się w swoich myślach, że trwało

dłuższą chwilę, zanim pojął: Elyria odpowiedziała jedynie na jego pytanie.

- Zaczyna się od mrowienia - ciągnęła. - Potem pojawia się nieprawdopodobny żar, przenikający całe moje ciało. A potem... potem wszystko dzieje się już samo. To tak, jakby moje ciało do mnie przestało należeć. Coś we mnie przejmuję panowanie nad moimi ruchami. A potem... - ze zmarszczonym czołem szukała odpowiednich słów - jakby ktoś wyżywał gąbkę. Tak się czuję. Cała energia znika jak woda z gąbki. Wyczerpanie...

Ardan spoglądał na nią zamyślony. Wreszcie kiwnął głową.

- Musisz nauczyć się kontrolować moc.

- Jak mam to zrobić? Tak się po prostu dzieje. - W jej oczach rozbłysło wspomnienie palącej się karczmy. - Zauważam to, gdy jest już za późno.

Potrząsnął głową.

- To się nie dzieje samo, Elyrio! Przypomnij sobie! Kiedy to się do tej pory przydarzało? Co wtedy odczuwałaś? W jakiej byłaś sytuacji?

Zamknęła oczy. Pod powiekami jej źrenice wędrowały od jednej strony do drugiej, jakby ponownie przeżywała każdy dotychczasowy wybuch magicznej mocy. Długo trwało, zanim je otworzyła. I jeszcze dłużej, zanim się odezwała.

- Peristaes. Karczma. Ślepi mnisi. I ty, gdy wystraszyłeś mnie przy ognisku. Wszystko to były sytuacje, gdy strach przejął władanie nad moim ciałem.

- Czy istniały inne sytuacje? Kiedy odczuwałaś wściekłość albo nienawiść?

Potrząsnęła głową.

- Nie, zawsze tylko strach.

„Tak jak się tego spodziewałem”.

- Widzisz, zrobiliśmy mały krok naprzód.

- Nie wiem, w jaki sposób może nas to doprowadzić do rozwiązania zagadki. Przecież już od początku było wiadomo, że to się dzieje, gdy się czegoś przestraszę.

- Wiemy jednak na pewno, że to nie są inne uczucia, które rozpalają magiczną moc. Przynajmniej tak było do tej pory.

- Och... - Uniosła brew. Chwilę potem zaczęła chodzić podniecona tam i z powrotem.

- Jak mam uniknąć strachu? Nie mogę tak po prostu odciąć się od moich uczuć!

- I nie o to chodzi.

Chwycił ją za rękę i zmusił, by się zatrzymała. Spojrzał jej w oczy, żeby zatrzymać jej rozbiegane spojrzenie.

- Zamiast zamykać się na uczucia, musisz nauczyć się powstrzymywać moc. Nawet w stanie najwyższego wzburzenia. Nie dać się jej zawładnąć. Słyszysz? Musisz nauczyć się

panować nad mocą.

- Jak tobie się to udało?

Ujął jej rękę i poprowadził w cień drzewa, gdzie usiedli obok siebie.

- U mnie było inaczej - powiedział po chwili. - Moja moc nigdy nie była...

- Niszcząca - dopowiedziała, podczas gdy on szukał jeszcze właściwego słowa. -

Powiedz to wreszcie.

Ardan nie dał się zbić z tropu.

- Nigdy nie była tak silna jak u ciebie. Zawsze nad nią panowałem. Nigdy też nie byłem w stanie wywoływać piorunów i buchających płomieni. - „Z wyjątkiem tego jednego dnia, w którym pojawiła się moc”. Wtedy o mały włos zamieniłby stodołę rodziców w morze płomieni. - Korzystam z mojej magii, by rozwijać szybkość i wytrwałość. Bardzo pomaga mi w walce.

- Czy masz tę moc od zawsze?

Potrząsnął głową.

- Pewnego dnia nagle się pojawiła. W Święto Zmarłych, w moje dziesiąte urodziny. Od tego czasu dar jest, czy raczej był częścią mojego życia. Częścią mnie. Przez osiemnaście lat, aż...

- Aż spotkałeś mnie - powiedziała z przekąsem. - Ciężko ci z powodu utraty mocy, prawda?

Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Skłamałbym, gdybym twierdził, że jest inaczej. Jednak to nie twoja wina. Tak samo jak i ja nie wybrałaś tego losu. Położyła swoją dłoń na jego ręce.

- Wierz mi, gdybym wiedziała jak, natychmiast bym...

- Wiem. - Ścisnął jej dłoń. - Poradzimy sobie. Teraz jest najważniejsze, żebyś się nauczyła...

-...nad nią zapanować - dokończyła zdanie razem z nim.

Ardan zamyślił się na chwilę. Od wielu dni usiłował przekazać jej te same słowa i myśli. Nauka. Opanowanie. Stale powtarzają się te same puste słowa bez jakiegokolwiek wizji, jak obrócić zamierzenie w czyn. Lecz teraz po raz pierwszy chyba wiedział, co miał zrobić.

- Przywołaj magiczną moc.

Elyria podskoczyła.

- Oszalałeś? Jestem szczęśliwa, że od jakiegoś czasu w ogóle się nie pojawia!

- To błąd. - Nagle ogarnęło go podniecenie połączone z przeświadczeniem, że wie, co ma robić. - Musisz nauczyć się nad nią panować. Musi ci się udać przywołać ją, kiedy jej

potrzebujesz. To ty masz posługiwać się mocą, a nie odwrotnie. Nie wolno jej wybuchać, gdy przepływają przez ciebie uczucia. Ty masz być jej panią! - Zobaczył w jej oczach niepewność, ale odkrył jeszcze coś innego: nadzieję, że to może się udać. - Przywołaj ją, Elyrio. Pozwól jej powoli napły - nąć, a gdy ją poczujesz, odsuń ją od siebie. Skup się wyłącznie na kierowaniu mocą.

Zamknęła oczy. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Początkowo rozluźniony wyraz jej twarzy zmieniał się, pojawiał się na niej wysilek, później zniechęcenie. W dalszym ciągu jednak nie otwierała oczu. Ardan siedział naprzeciwko niej w milczeniu, obserwując te zmiany. Widział, jak kąciki jej ust leciutko drgały, a nozdrza gwałtownie się rozchyłały. Zmarszczyła czoło i zacisnęła oczy, tylko po to, by chwilę później się rozluźnić.

Zobaczył jej strach na chwilę, zanim jej ręka wystrzeliła do góry, ale zbyt późno, by zareagować. Elyria otworzyła oczy. Koniuszki jej palców były skierowane na Ardana, gdy wyskoczył z nich piorun. Rzucił się w bok, lecz był zbyt powolny. Piorun wbił mu się w pierś, powalił go na ziemię i rzucił nim ukośnie przez polanę. Ardan uderzył głucho plecami o pień drzewa” aż zęby mu zaszczękały. Płomienne gwiazdy eksplodowały mu przed oczyma. Gdy mgła powoli się przeredziła, Elyria klęczała obok niego i pomogła mu ponownie usiąść. Z przerażenia zrobiła się blada jak pergamin i trzęsła się jak osika. Nie wiedział, czy to z osłabienia, czy ze strachu.

Poruszała ustami, lecz jej pierwsze słowa zginęły w szumie bólu szalejącego w jego ciele. Powoli udało mu się wreszcie usłyszeć brzmienie jej głosu i zrozumieć znaczenie słów.

-...obawiałam się, że twój amulet zawiedzie, podobnie jak metalowa obroża!

Słowa wypływały z jej ust niepowstrzymanym potokiem niekończących się przeprosin i obwiniania siebie, aż postanowił ją uciszyć.

- Cicho! - Położył jej palec na ustach. - Cicho!

Z zaciśniętymi zębami podniósł się i ją także podciągnął na nogi.

- Nic mi się nie stało. To była tylko fala energii, nie piorun. Wszystko jest w porządku.

Elyrii nie dało się jednak tak łatwo uspokoić.

- Jesteś pewien, że wszystko... - Jej głos drżał tak samo jak dłonie.

- Wszystko jest dobrze - powtórzył. - Nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Jego słowa tylko częściowo odpowiadały prawdzie. Mimo że od uderzenia bolały go wszystkie kości, nie wspomniał o tym ani słowa. Gdyby się dowiedziała, że amulet nie działa, przestałaby natychmiast. Nie mógł do tego dopuścić. Musiała próbować dalej.

Elyria przypatrywała mu się badawczo. Ardan widział wyczerpanie w jej oczach,

widoczny znak, jak magia zużywała jej siły.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu.

- Próbujmy dalej.

Była sceptyczna.

- Powinniśmy wymyślić coś innego. Jeśli trafię cię jeszcze raz...

- Magiczna moc cię wyczerpuje. To oznacza, że kolejny wybuch będzie mniej gwałtowny. Niezależnie od tego spróbowałbym znaleźć ci inny cel.

Nie czekał na odpowiedź; stanął za Elyrią i chwycił ją za ramiona.

- Oprzyj się na mnie i zamknij oczy.

Odczekała chwilę, zanim spełniła jego polecenie.

Poczuł, jak gorąco jej ciała miesza się z ciepłem słonecznego amuletu, gdy oparła się o jego pierś. Teraz, gdy była przy nim tak blisko, musiał się nagle szczególnie skupić na tym, czego chciał ją nauczyć. Jej bliskość wywoływała w nim uczucie, którego nie mógł opisać. Zamiast poddać się odruchowi i ją objąć, pochylił się nad nią, aż jego usta zbliżyły się do jej ucha.

- Chcę, żebyś wyobraziła sobie magię jako ognistą kulę pełną mocy i niszczącej siły. Możesz to sobie wyobrazić?

Minęła chwila, zanim Elyria skinęła głową. Ardan kontynuował, wypowiadał każde słowo powoli i wyraźnie.

- Teraz spójrz za kulę ognia. Tam jest skrzynia. Wielka skrzynia. Otwórz ją powoli. Bardzo ostrożnie, tak żebyś nie straciła ognistej kuli z oczu. Czy jest otwarta? Weź teraz magię i włóż ją do środka. Gdy już tam będzie, zamknij skrzynię. Jeśli chcesz być całkowicie pewna, że skrzynia się nie otworzy, obwiń ją jeszcze żelaznym łańcuchem. - Zrobił przerwę, po czym zapytał: - Zrobiłaś to już? Czy skrzynia jest zamknięta?

Gdy potwierdziła kiwnięciem głowy, puścił ją.

- Możesz otworzyć oczy.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- To jest to, czego od ciebie chcę, zawsze wtedy, gdy poczujesz napływającą magię. Wyobraź sobie skrzynię i obserwuj samą siebie, jak zamykasz w niej swoją moc. Będziemy to ćwiczyć przez kolejne dni.

Skrzywiła się.

- Mogę sobie wyobrazić kulę i skrzynię, ale to jeszcze nie oznacza, że ta metoda zadziała.

- Zadziała. Zobaczysz.

Przeszedł przez polanę do miejsca, w którym położył węzełek przyniesiony rano.

- Zróbmy sobie przerwę.

Położył się na ziemi i wysupłał chleb, ser i trochę wina. Elyria usiadła obok niego i przyjęła kromkę chleba, którą jej podał. Przez chwilę siedzieli w milczeniu i jedli, zatopieni we własnych myślach. To była przyjemna cisza, w której nie było nic krępującego.

- Wiesz, że na początku myślałem o tobie jak o zwykłej złodziejce? - Przerwał wreszcie milczenie. - Chcę cię za to przeprosić.

Spojrzała na niego spod oka.

- Przeprosić?

Kiwnął głową.

- Gardzę złodziejami. A ty nie zasłużyłaś na moją pogardę. Przeciwnie. Te wszystkie rzeczy, które musiałaś znieść... Jeśli coś ci się należy, to z pewnością moje głębokie poważanie i szacunek.

Chciał na tym poprzestać, jednak szczere zdumienie, które odmalowało się na jej twarzy, skłoniło go, by powiedzieć jeszcze jedno zdanie.

- I mimo tych wszystkich niebezpieczeństw, widzę w naszej sytuacji także coś pocieszającego.

Elyria zmrużyła oczy.

- Ty chyba o jeden raz za dużo uderzyłeś głową w drzewo!

Jej słowa rozśmieszyły go. Sam był zdziwiony, ale rzeczywiście było tak, jak mówił. To jej zawdzięcza, że wreszcie odnalazł drogę, żeby wyrwać się z własnego życia i zacząć od nowa. Kiedy to wszystko już się skończy, będzie mógł opuścić Cartomien i poszukać sobie innego domu. Gdzieś, gdzie nikt go nie zna. Może pojechać do swojego wuja w północnej krainie i tam osiąść. Mógłby... „Mogę zrobić wszystko, co chcę, bo pęta, które tak długo mnie więziły, wreszcie spadły”.

- Mojej głowie nic nie jest. W rzeczywistości mam poczucie, że już dawno nie myślałem tak jasno.

Zanim zdążyła zareagować, Ardan kontynuował:

- Wiele w życiu osiągnąłem. Mam książęcy tytuł, zamek, żonę, ale to mnie nie uszczęśliwiło. To, co roni i jedli, zatopieni we własnych myślach. To była przyjemna cisza, w której nie było nic krępującego.

- Wiesz, że na początku myślałem o tobie jak o zwykłej złodziejce? - Przerwał wreszcie milczenie. - Chcę cię za to przeprosić.

Spojrzała na niego spod oka.

- Przepraszam?

Kiwnął głową.

- Gardzę złodziejami. A ty nie zasłużyłaś na moją pogardę. Przeciwnie. Te wszystkie rzeczy, które musiałaś znieść... Jeśli coś ci się należy, to z pewnością moje głębokie poważanie i szacunek.

Chciał na tym poprzestać, jednak szczere zdumienie, które odmalowało się na jej twarzy, skłoniło go, by powiedzieć jeszcze jedno zdanie.

- I mimo tych wszystkich niebezpieczeństw, widzę w naszej sytuacji także coś pocieszającego.

Elyria zmrużyła oczy.

- Ty chyba o jeden raz za dużo uderzyłeś głową w drzewo!

Jej słowa rozśmieszyły go. Sam był zdziwiony, ale rzeczywiście było tak, jak mówił. To jej zawdzięcza, że wreszcie odnalazł drogę, żeby wyrwać się z własnego życia i zacząć od nowa. Kiedy to wszystko już się skończy, będzie mógł opuścić Cartomien i poszukać sobie innego domu. Gdzieś, gdzie nikt go nie zna. Może pojechać do swojego wuja w północnej krainie i tam osiąść. Mógłby... „Mogę zrobić wszystko, co chcę, bo pęta, które tak długo mnie wiązały, wreszcie spadły”.

- Mojej głowie nic nie jest. W rzeczywistości mam poczucie, że już dawno nie myślałem tak jasno.

Zanim zdążyła zareagować, Ardan kontynuował:

- Wiele w życiu osiągnąłem. Mam książęcy tytuł, zamek, żonę, ale to mnie nie uszczęśliwiło. To, co robimy tutaj, jest okazją do rozpoczęcia wszystkiego od nowa.

W jego wyobraźni pojawił się obraz.

- Wiesz, czego sobie życzę? Posiadłości ziemskiej z dala od Travercore i Królewskich Wilków. - „I z dala od zamku Daormir i Dayanary”. - Domu nad jeziorem podobnego do tego tutaj. Sadu z jabłonią i kilku zwierząt. Wystarczająco, by przeżyć, ale nie tak dużo, żeby stać się zasobnym czy bogatym. Proste życie.

Na jej twarzy zdumienie mieszało się z oszołomieniem. I być może także z odrobiną rozczarowania.

- Wielkie nieba, Elyria! Nie patrz na mnie tak, jakbym postradał rozum!

- Wybacz. Bardzo mnie zaskoczyło, że kapitan Wilków, który cieszy się sławą wspaniałego wojownika, chce odwrócić się od swojego życia i zamieszkać jak chłop. Nie wiedziałam też, że jesteś żonaty.

Przełknęła ostatni okruszek chleba i położyła się na ziemi wsparta na łokciach.

- Niczego bardziej nie pragnę niż powrotu do moich ludzi. Do mojego ojca i moich przyjaciół... - zacięła się lekko. - Nie mogę do nich wrócić, prawda? Nawet jeśli uda nam się wymienić magiczną mocą, to Peristaes zawsze będzie mnie tropił.

Nagle posmutniała. Pożałował, że skierował jej myśli w przyszłość.

Ponieważ nie wiedział, w jaki sposób mógłby ją pocieszyć, odłożył na bok resztki posiłku i podniósł się z ziemi.

- Ćwiczmy dalej.

Elyria podążyła za nim na środek polany, a on znów poprosił ją o przywołanie magii. Wiedziała, że Ardan się nie ugnie, więc spełniła jego życzenie. Zobaczył na jej twarzy skupienie, za którym skrywało się wyczerpanie. Tym razem nie trwało to tak długo jak przy pierwszej próbie. Już po kilku oddechach jej ręka wyskoczyła w górę, a z gardła wyrwał się piskliwy krzyk.

- Oddychaj głęboko.

Ardan stanął za nią i chwycił ją za ramiona.

- Zamknij oczy i wyobraź sobie skrzynię.

Drżała i oddychała gwałtownie. Ręka poruszała się, jakby tkwiąca w niej siła szukała jakiegoś sensownego celu.

- Oddychaj, Elyrio! Widzisz skrzynię? Złap magię, jest kulą ognia przed tobą. Włóż ją do skrzyni.

Jej oddech się uspokoił.

- Świetnie ci idzie. Czy kula jest już w skrzyni? Tak? To teraz ją zamknij. Daj sobie trochę czasu. Zrób to powoli. Jeśli myślisz, że może się stamtąd wyrwać, załóż łańcuch.

Nagle jej ręka opadła. Otworzyła oczy.

- Już jej nie ma! Mrowienie ustąpiło!

Ardan skinął głową zadowolony.

- W takim razie przywołaj ją jeszcze raz.

- Co?

- Przywołaj ją. Musisz to ćwiczyć. No już!

Wieczorem Ardan nie mógł sobie przypomnieć, ile razy zmusił Elyrię, by przywołała moc. I ile razy wybuchła, zanim udało się jej zamknąć skrzynię. Wraz z rosnącym wyczerpaniem było jej coraz trudniej panować nad myślami i tym samym nad mocą. Za każdym razem Ardan stawał się celem jej magicznych wybuchów. Na początku była to tylko fala energii, która chciała go dotrzeć, jednak szybko poczuł żar oraz energię piorunów i płomieni, które obejmowały go swoimi językami i groziły wypaleniem skóry. Z ulgą

spozstrzegł jednak, że Elyria była zbyt wyczerpana, żeby spowodować prawdziwe szkody. Niemniej boleśnie odczuwał te ćwiczenia.

Stale zadawał sobie pytanie, czy nie byłoby lepiej zaprzestać i dać im obojgu odpocząć. I za każdym razem kazał jej powtarzać próby. Wiedział, że nie wyjdzie mu to na dobre, gdy następnego dnia ponownie stanie się celem dla magii, bo Elyria będzie dysponowała pełną siłą. Dlatego zaciskał zęby i nakłaniał ją do pracy. Dopiero gdy osunęła się na kolana i nie była już w stanie wstać o własnych siłach, uznał ćwiczenia za zakończone.

Nadal nie pokazywał po sobie bólu, który przeszywał całe jego ciało. Wziął Elyrię na rękę i zaniósł ją do domu. Było już ciemno, kiedy tam dotarli. Gwynn poderwał się sprzed ogniska płonącego przed domem, a gdy zobaczył Ardana, który wynurzył się nagle spomiędzy drzew, podbiegł do niego szybko.

- Co się stało? - zawołał przestraszony. - Jest ranna?

Elyria wciąż nie otwierała oczu. Z głową opartą na ramieniu Ardana pozwoliła, żeby to on mówił.

- Na szczęście nie. Jest tylko bardzo wyczerpana.

Ardan wniósł ją do domu, a następnie położył na przygotowanym dla niej legowisku. Zasnęła, zanim zdążył nakryć ją kocem.

*

Mimo że Ardan dobrze wiedział, jak niebezpieczne jest wystawianie się na działanie magii, nie miał wyboru. Elyria musiała nauczyć się panować nad mocą, nim Łowcy Czarownic wpadną na jej ślad. Ufał ochronie amuletu, więc przez dwa kolejne dni wędrowali skoro świt na polanę i pozostawali tam aż do wieczora.

Ardan zachęcał Elyrię do prób; pozwalał jej na przerwę tylko wtedy, gdy zauważył, że opuszczają ją siły. Za każdym razem siła uderzenia źle skierowanego pioruna powalała go na ziemię, a czasem strumień płomieni odrzucał go daleko i obijał boleśnie o drzewo. Słoneczny amulet za każdym razem wchłaniał coraz mniej magicznej mocy. Ardan nie mógł pozbyć się wrażenia, że amulet przepuszczał więcej niż tylko siłę uderzenia. W końcu zaczął podejrzewać, że tylko wyczerpaniu sił Elyrii zawdzięcza to, że nic mu się dotychczas nie stało. Mimo to robili postępy. Pod koniec drugiego dnia nauki coraz częściej udawało jej się panować nad mocą, dawkwóć ją wedle uznania, a nawet kierować jej strumień na wybrane cele. Najczęściej były to pioruny lub fale uderzeniowe, które opuszczały koniuszki jej palców. Raz nawet spróbowała pod kierunkiem Ardana ukształtować magiczną moc świadomie w określonej formie. Z reguły to jednak magia decydowała o postaci, w jakiej się uzewnętrzniała.

Ardan postanowił nie łamać sobie tym głowy. Najważniejsze było to, żeby Elyria

opanowała moc. Więcej nie było konieczne.

Trzeciego poranka Ardan jako ostatni opuścił chatę. Jego ciało, upstrzone siniakami i krwiakami, było tak obolałe, że poruszał się z największą ostrożnością. Istniał jednak jeszcze jeden powód, dla którego najdłużej przebywał w chacie. Chciał ukryć przed Elyrią ślady jej ćwiczeń. Domyślał się, że jeżeli by o nich wiedziała, zarzuciłaby wspólne praktyki. Nie mógł do tego dopuścić! Gdy wyszedł przed chatę, natknął się jedynie na Gwynna.

- Gdzie jest Elyria?

- Poszła już. Chciała...

Potworny huk zagłuszył ostatnie słowa Gwynna. Kłęby dymu wynurzyły się z nad wierzchołków drzew w miejscu, gdzie znajdowała się polana. Ardan pobiegł w jej kierunku. Gdy zauważył, że Gwynn za nim podąża, krzyknął:

- Zostań tutaj! Nie masz ochrony przed magią!

„Choć i moja nie jest szczególnie godna zaufania”, dodał w duchu.

Gwynn zmarkotniał. Spojrzał w kierunku grupy drzew, gdzie nadal wirował ciemny dym, bardzo powoli rozszarpywany przez wiatr. Wreszcie się zatrzymał.

Ardan ruszył szybko przed siebie. Wszelki ból i poobijane ciało były nieważne wobec zmartwienia, które uderzyło w niego jak fala. Gdyby Elyrii coś się stało, do końca życia robiłby sobie wyrzuty. Przecież to on zmuszał ją stale do przywoływania magii! Dlaczego na niego nie zaczekała?

Z głową pełną ponurych myśli, co za chwilę zastanie, dotarł na polanę. Nie zobaczył krwi, zranień czy zagrożenia. Była tylko Elyria. I szczapy drzewa ułożone starannie rzędem na środku polany. Niektóre były nadpalone i rozłupane, a niektóre nietknięte. Zapach spalonego drewna wypełniał powietrze.

Ardan zatrzymał się w cieniu ostatniego rzędu drzew. Elyria go nie zauważyła. Wpatrywała się w kupki szczap. Długo stała spokojnie, wpatrywała się w drewno, jakby chciała nieożywionej rzeczy wszczepić swoje myśli. Potem podniosła rękę. Nie tak nerwowo i impulsywnie, jak na początku ćwiczeń, tylko bardzo powoli. Znowu stała spokojnie. Minęła wieczność, zanim cokolwiek się wydarzyło. Dopiero gdy Ardan stracił już nadzieję, z czubków jej palców wystrzelił piorun. Energia strzeliła prosto w drewniany pień i rozplatała go. Dym wzbił się w niebo i zawirował na wietrze. Dłoń Elyrii przesunęła się odrobinę na prawo. Kolejna fala energii trafiła w drewno. Następna szczapa została tylko trochę ominięta. Ziemia rozprysła się, gdy magiczna moc trafiła w leśne poszycie. Następny wybuch rozniósł szczapę na drzazgi. Pioruny padały jeden za drugim, dobrze wycelowane i odpowiednio dawkowane. Elyria zamiast słać się na nogach z osłabienia, chwiała się tylko

trochę. Ardan nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Udało się! Panowała nad mocą!

- To fantastyczne! - wyraził głośno swój zachwyt. - Fantastyczne!

Elyria odwróciła się przestraszona. Dostrzegł na jej twarzy przerażenie i wiedział, co nastąpi, zanim zobaczył oślepiająco białą błyskawicę, która w tej samej chwili wystrzeliła z czubków jej palców. Wyładowanie wbiło mu się w pierś. Usłyszał krzyk i pojął, że to jego głos, gdy uderzył o ziemię. Pierś paliła go w miejscu, w którym piorun wgryzł się w niego. Ardan powoli się podniósł. Palący ból przeszył górną część jego ciała. Skrzywił się, lecz szybko zapanował nad tym grymasem i pozbawił twarz wszelkiego wyrazu. „Nie wolno jej tego zobaczyć”, przywołał się w myślach do porządku.

Usiadł z trudem. Ranę obejrzy później. Tym razem był pewien, że został zraniony. Amulet zawiódł. Ardan zdławił przekleństwo i rozejrzał się za Elyrią. Leżała na ziemi o pięć kroków od niego i nie ruszała się.

- Elyrio! - Skoczył na równe nogi, podbiegł do niej i upadł na kolana obok leżącej dziewczyny. - Elyrio!

Powieki jej drgały. Chwile dłużyły się w nieskończoność. Uderzenie serca zamieniło się w wieczność. Wreszcie otworzyła oczy. Nigdy przedtem nie widział jej tak wyczerpanej. Z jej twarzy znikła wszelka barwa, skóra stała się tak blada, że prawie szara. Często widział ten odcień skóry u umierających. „Bogowie! Czy to oznacza, że magia ją zabija?”. Nie odważył się zagłębiać w tę myśl. Ostrożnie pomógł jej usiąść.

- Ardan! Jesteś ranny? - jej pozbawiony wszelkiej energii głos zdawał się dochodzić z daleka.

- Nie martw się o mnie. Nic mi nie jest.

Wobec jej oplakanego stanu, kłamstwo łatwo mu przeszło przez usta. Elyria była tak słaba, że nawet nie odważył się cofnąć swojego ramienia.

- Dlaczego ćwiczyłaś beze mnie?

- Tak wiele ci się dostało przez te ostatnie dni, że pomyślałam sobie... - Na jej twarzy pojawiło się zniechęcenie. - Panowałam nad nią, dopóki się nie przestraszyłam.

- Widziałem, czego dokonałaś. - Mimo całej troski jej postępy go zachwyciły. - To było fantastyczne!

Jej mina stała się jeszcze bardziej ponura, choć na policzki powróciło już odrobinę koloru.

- Fantastyczne? Znowu nie wyszło. Jak zawsze... - zaburczała.

- Udowodniłaś, że potrafisz panować nad mocą! Teraz musisz jedynie się nauczyć, jak się z nią obchodzić, gdy ogarniają cię gwałtowne uczucia.

Ból i zmartwienie odpłynęły jak ręką odjął - ustąpiły miejsca świetnemu nastrojowi, jaki rzadko odczuwał w swoim życiu.

- To wielki postęp!

Nagle znowu pojawiło się uczucie ciepła i bliskości, jak przy ich pierwszym spotkaniu. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

Elyria spojrzała na niego zdumiona.

Zapatrzył się w cudowny blask jej oczu i żeby odwrócić swoją uwagę, zapytał:

- Jak zrobiłaś to z kawałkami drewna?

- Skrzynia.

Nareszcie się uśmiechnęła.

- Tylko trochę ją otworzyłam.

- To było dobre. Mimo to obiecaj mi, że nigdy więcej nie będziesz beze mnie ćwiczyć.

- Stale nadwyreżam twoje siły magiczną mocą - zaprotestowała. - To nie może trwać w nieskończoność!

- Nie bój się, amulet mnie chroni.

Pierś paliła go, jakby chciała ukarać za kłamstwo.

- Zniosę to - dodał po chwili. Próbował przekonać sam siebie.

- Co będzie, jeśli amulet nie będzie działał wiecznie?

Przez moment myślał, że coś zauważyła. Jednak po kolejnych jej słowach poczuł ulgę, gdyż dowodziły, że nie domyślała się prawdy ukrytej za własnymi obawami.

- Obroża też nie...

- Przestań się ciągle martwić.

- Łatwo ci mówić! Przed nami długa droga. Kto wie, co nas czeka? Jak mam się nie martwić?

- Nieważne, co się stanie, nie opuszczę cię.

Powiedział te słowa ot, tak sobie, lecz gdy ponownie zobaczył zdumienie rozpalające się w jej oczach, zrozumiał, że traktował je jednak poważnie. Nie zostawi jej samej. Ta kobieta była... nie wiedział, jak opisać to, jaka była, ani co w nim wywoływała. Coś, czego nie mógł ująć w słowa. Jeszcze nie teraz.

*

Podczas kolejnych dni ćwiczyli prawie bez przerwy. Elyria stawała się coraz lepsza. W końcu sama musiała przyznać, że potrafi coraz więcej. I odrobina docenienia własnych wysiłków wystarczyła, by miała ochotę ćwiczyć dalej.

Błyskawica rzeczywiście wypaliła głęboką ranę w piersi Ardana. Pytał sam siebie, ile

czasu pozostało mu do chwili, aż amulet całkowicie zawiedzie. Na szczęście nie musiał się o tym przekonywać. Elyria tymczasem tak dobrze opanowała moc, że nie stawał się już więcej niechcianym celem wyładowań jej energii. Nawet kiedy ją przestraszył, była przynajmniej w stanie skierować wybuch magicznej mocy gdzieś obok niego, a nawet czasami udawało jej się całkowicie nad nią zapanować.

Po ponadtygodniowych, długich i żmudnych ćwiczeniach, które doprowadziły Elyrię na granicę jej wytrzymałości, Ardan doszedł do wniosku, że jest już gotowa. Nie była w stanie kierować magiczną mocą ani nadawać jej określonej postaci, ale potrafiła nad nią zapanować. Ardan miał głęboką nadzieję, że się nie mylił. A nawet jeśli tak było, nie odważył się pozostawać dłużej w tym miejscu. Obawiał się, że jej energia, tak często wyzwalana podczas minionych dni, mogła naprowadzić na ich ślad Synów Eaghana.

- Jutro wyruszamy - oznajmił, gdy we trójkę siedzieli przed chatą, posilając się kolacją.

Elyria spojrzała na niego.

- Jesteś pewien?

Opuściła miskę z gęstą zupą, jakby przeszedł jej nagle apetyt. Zobaczył w jej oczach strach i ukryte za nim nieme pytanie: „Czy rzeczywiście jestem już gotowa?”.

- Dobrze się spisałaś. Całej reszty mógłbym cię nauczyć prawdopodobnie po wielu latach praktyki, jeśli w ogóle. - Zmusił się do pełnego wiary uśmiechu. - Panujesz nad mocą, Elyrio. Jeśli będziesz mnie słuchać i dostosujesz się do wskazówek, nic złego nie może się wydarzyć.

Kiwnęła głową, lecz w jej oczach pozostały wątpliwości. Krótco po tym, jak oznajmił swoje plany, odstawiła miskę na bok i pożegnała się, życząc im dobrej nocy. Ardan z Gwynnem zostali sami nad brzegiem jeziora. Siedzieli obok siebie w milczeniu i popijali wino, każdy zatopiony w swoich myślach.

Tak bardzo, jak na początku Ardan był przeciwny, żeby Gwynn im towarzyszył, tak teraz cieszył się z jego obecności. Podczas ostatnich dni Gwynn był przydatny i troszczył się o wszystkie rzeczy, na które Ardan i Elyria mieli zbyt mało czasu z powodu ćwiczeń. Gotował jedzenie, zbierał chrust na ognisko i oporządzał konie. Lecz nie tylko codzienne czynności sprawiały, że był dla Ardana tak pożyteczny. Raczej z powodu długich wieczornych godzin, gdy Elyria już spała, a które ci dwaj spędzali, siedząc nad brzegiem jeziora, rozmawiając lub milcząco wpatrując się w wodę. Po tylu latach samotności Ardan dobrze się czuł w otoczeniu ludzi, przy których nie musiał się już bać, że odkryją jego tajemnicę. Choć od początku było jasne, że pozostaną w tym miejscu tak długo, aż Elyria

wystarczająco opanuje magiczną moc, odczuwał cień żalu. Zaniedbane siedlisko stało się w ostatnich dniach jego domem bardziej, niż kiedykolwiek był nim zamek Daormir.

Zamyślony patrzył na jezioro. Ciemna powierzchnia wody lśniła w blasku księżyca, jakby sami bogowie rozpostarli na niej srebrzysty koc. Bez wątpienia będzie mu brakowało tego miejsca na ziemi. A jeszcze bardziej będzie tęsknił za czasem spędzonym tutaj z Elyrią. Usiłował odsunąć od siebie wszystkie myśli z nią związane, jednak Elyria w jego wnętrzu była tak samo niepokonana jak ta w rzeczywistości. Mimowolnie się uśmiechnął.

- Nigdy nie sądziłem, że kobieta może taka być - jego słowa przerwały ciszę nocy. - Jest inna niż Dayanara.

- Kim jest Dayanara?

Dopiero teraz, gdy padło to pytanie, zdał sobie sprawę, że wypowiedział na głos swoje myśli. Zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, i zdecydował, że wyzna prawdę. Nie było żadnego powodu, by kłamać. Gwynn podczas minionych dni stał się dla niego na tyle bliski, że mógłby nazwać go przyjacielem, w odróżnieniu od tych, którzy żyli z nim w ciągu ostatnich osiemnastu lat. Wiedział wszystko o jego magicznej mocy. Dlaczego nie mógłby się dowiedzieć także o Dayanarze?

- To moja żona - powiedział w końcu.

- Żona! Jesteś...? - Gwynn nabrał głęboko powietrza. - Widziałem, jak patrzysz na Elyrię! Jak możesz choć...! Przeklęty...

To, co nastąpiło potem, było najdłuższą tyradą nasyconą potężnym oburzeniem, składającą się z przekleństw i obraźliwych słów, jaką kiedykolwiek przyszło Ardancrwi usłyszeć. Minęła dłuższa chwila, zanim Gwynn się uspokoił. A właściwie się nie uspokoił - po prostu wydawało się w pewnej chwili, że uszła z niego cała para.

- Jeśli za bardzo się do niej zbliżysz, to przysięgam na wszystko, co dla mnie święte... Zrobię ci... Sam sobie dośpiewaj, co z tobą zrobię!

- Skończyłeś?

Przetrwał wybuch Gwynna w milczeniu, jednak przez cały czas rosło w nim pragnienie, by opowiedzieć mu o sprawach, których jeszcze nikomu nie wyjawiał.

- Jeszcze długo nie! - Gwynn potrząsnął głową. - Potrzebna mi była tylko przerwa.

Ardan powstrzymał uśmiech, jednak cień wesołości szybko zniknął z jego twarzy. Znów spoważniał.

- To nie tak, jak myślisz.

Podniósł z ziemi kamień i przesuwając go w zamyśleniu między palcami, ze wzrokiem skierowanym na gładką, szarą taflę jeziora, której wcale nie dostrzegął. Tym, co widział, była

przeszłość.

- Nie kocham mojej żony.

- Chwileczkę! - Gwynn podniósł wysoko głowę. - Powiedziałeś Dayanara? Dayanara z Daormiru? Oczywiście, że to powiedziałeś! Na zgrzybiałe nogi demonów! Mówi się o niej, że to niezwykła piękność! I chcesz mi powiedzieć, że nic do niej nie czujesz?

- Posłuchaj!

- Ale jeśli Dayanara jest twoją żoną, to ty jesteś... Jesteś księciem z Daormiru! Ty... - wreszcie zamknął usta i zamilkł.

Ardan nie wiedział, od czego ma zacząć, dlatego zdecydował się opowiedzieć mu wszystko od początku.

- Byłem kapitanem Gwardii Królewskiej - zaczął wreszcie. - Byłem zadowolony z tego, co robiłem, i gdyby to zależało ode mnie, niczego bym nie zmieniał. Ale taka jest kolej rzeczy. Podczas Wojny Mocy uratowałem króla w dość drażliwej sytuacji. Nie mogłem sobie odmówić, żeby mnie za to nie uhonorować. Niezależnie od tego, od dawna już uważałem, że przyszedł czas, żeby mnie ożenić. Jego decyzja, którą za mnie podjął, udowodni mi, jak wysoko mnie cenił. Daya - nara była najcudowniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkałem. Była po prostu... idealna.

Ardan nie mógł uwierzyć, że kiedyś tak ją spostrzegał. Bez skazy i zmazy. Wzniośle.

- Dostała mi się kobieta, o którą zabiegałby każdy mężczyzna w Cartomien. Na początku wydawało się, że też się jej podobam. Byłem taki dumny! Król nadał mi książęcy tytuł i przekazał posiadłości w Daormirze. Mimo to pozostaliśmy na dworze królewskim. Nadal przewodziłem Gwardii Królewskiej, podczas gdy Dayanara... Cóż, obracała się w dworskim towarzystwie, bywała na rautach i balach, zabawiała się wśród arystokracji. Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że tak naprawdę prawie nie znam własnej żony. Próbowalem... Nieważne, co zrobiłem, w każdym razie bardziej interesowała się dworskim życiem niż mną. Miałem nadzieję, że to się zmieni, jeżeli będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Jakże byłem naiwny... Myślałem, że to jej się spodoba. Dlatego poprosiłem króla, żeby zwolnił mnie z obowiązków i osiadłem razem z nią w Daormirze, posiadłości, która do mnie należała, choć nigdy jej nie widziałem. Daormir spodobał mi się natychmiast, ciche miejsce pełne miłych ludzi. Dayanara była mniej radosna. Myślę, że nigdy mi nie wybaczyła, że zabrałem ją z Travercore.

Wrzucił kamień do wody i przyglądał się, jak podskakuje na powierzchni jeziora i tonie.

- To, co nastąpiło później, było zupełnie inne od tego, co sobie wyobrażałem.

Dayanara nie przepuściła żadnej okazji, by okazać mi swoje lekceważenie. W jej oczach byłem słabeuszem. Kimś, kto nie miał odpowiedniego zacięcia, żeby załatwić sobie na dworze wpływowe miejsce. Odmówiła mi siebie całkowicie i...

Wspomnienie bolało bardziej, niż się tego spodziewałem. Utkwił wzrok w połyskującej wodzie i zobaczył w niej twarz Dayanary. Jak zawsze, gdy na niego patrzyła, pojawiał się na niej wyraz pogardy.

- Szybko dowiedziałem się, kim była naprawdę. Interesowała się moim tytułem i względami, którymi cieszyłem się u króla. Jej przyjaciółmi były władza i wpływy. Po tym, jak opuściłem dwór, by żyć z nią poza wszelkim przepychem, straciłem dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Spojrzał na Gwynna.

- Nie jest łatwo znosić dzień w dzień kłótnie kąśliwej kobiety. Chciałem od niej uciec, myślałem nawet o tym, by wrócić na dwór, lecz rozmyśliłem się.

Gwynn rozciągnął wargi w niewiarygodnym uśmiechu.

- Zaciągnąłeś się do Królewskich Wilków i pozwoliłeś jej zardzewieć w Daormirze?

- Gdybym wrócił na dwór, spełniłbym jej wolę. Nie pozwolę jej na taki triumf. - Ardan wzruszył ramionami. - Moje zadania u Królewskich Wilków oddalały mnie od Daormiru na długi czas. A te okresy stawały się coraz dłuższe.

- Jak długo już cię tam nie było?

- Dwa lata.

- Przez dwa lata wiele może się zmienić - odparł Gwynn po chwili.

- Ale nie Dayanara. - Ardan potrząsnął głową. - Jestem pewien, że gdybym teraz wrócił do domu, krzyczałyby na mnie tak samo jak tego dnia, kiedy go opuszczałem.

Chwycił bukłak z winem i pociągnął potężny łyk. Była to marna próba splukania gorzkiego smaku, jaki czuł, gdy myślał o swoim małżeństwie.

- Tak czy inaczej, nie możesz już wrócić.

Gwynn spojrzał na niego, jakby próbował w ciemności zajrzeć mu prosto w serce. Potem zapytał:

- A co z Elyrią?

Ardanowi ciężko było znaleźć właściwą odpowiedź. W ostatnich dniach tak wiele się zmieniło. Dał się wciągnąć w rzeczy, które przed kilkoma miesiącami wydawałyby mu się niemożliwe.

- Mógłbym się w niej zakochać.

Gwynn gwizdnął przeciągle.

- Myślę, że nigdy przez myśl jej nie przeszło, że pewnego dnia spodoba się jakiemuś księciu.

*

Poranne słońce objęło ziemię, gdy Ardan szedł brzegiem jeziora. Chciał przyprowadzić Elyrię, która poszła do małej zatoczki po śniadaniu. Dziewczyny nie było od dłuższego czasu. Tak długiego, że zaczął się martwić. Nie pomyślał co prawda, że mogło jej się coś prz”ytrafić, jednak chciał to sprawdzić. Niezależnie od tego pragnął skorzystać z okazji, żeby pobyć z nią przez chwilę sam na sam, zanim wyruszą w drogę.

Od czasu rozmowy z Gwynnem czuł się dziwnie lekko, jakby uwolnił się od ciężaru. „Powiedziałem, że mógłbym się w niej zakochać, a może już jestem zakochany”, myślał. Codzienne ćwiczenia zbliżyły ich do siebie bardziej, niż mógłby przypuszczać. Wspomnienie jej spojrzenia, gdy z ulgą wziął ją w ramiona i pocałował w czoło, przywołało uśmiech na jego twarzy. Nie przeszkadzało mu, że był żonaty. Dayanara była daleko - daleko od jego życia i jego serca.

Prosił Gwynna, żeby ten dochował tajemnicy w sprawie jego uczuć. Być może był już najwyższy czas, żeby dociec, jak poważnie je traktował. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że co prawda powiedział Elyrii o swoim małżeństwie, ale nie o tym, jak ono wyglądało. Musi to koniecznie nadrobić!

Obszedł kępę kosodrzewin wyciągających ku niemu swoje ciężkie gałęzie i znalazł się w zatoczce. W pierwszym momencie pomyślał, że minął się z Elyrią, że wróciła już do domu, ale dostrzegł jej suknię, rdzawoczerwoną plamę w nabrzeżnej trawie. Ardan zatrzymał się i rozejrzał wokół. Nigdzie jej nie było. Już chciał ją zawołać, gdy jego wzrok padł na taflę jeziora i na rozchodzące się kręgi. Chwilę później jej głowa wynurzyła się z wody.

Wyszedł z cienia.

- Elyria!

Zsunęła z twarzy mokre włosy i odwróciła się do niego; nie wyszła z wody dalej niż do wysokości ramion.

- Niedługo wyruszamy. Czekamy na ciebie przy chacie.

Nie czekał na odpowiedź, odwrócił się i wszedł między drzewa. Chciał wrócić do domu, lecz pokusa była zbyt wielka. Gdy usłyszał, jak Elyria wychodzi z jeziora, jeszcze raz się odwrócił. Krople wody połyskiwały na jej skórze wypełnione słonecznym światłem. Objął wzrokiem jej ciało i uśmiechnął się. Pochyliła się, żeby podnieść suknię. Wilgotne włosy zsunęły jej się z ramion na piersi i odkryły znamię na łopacie. W pierwszej chwili pomyślał, że to jest blizna. Zacisnął powieki i przyjrzał się dokładniej, a wtedy rozpoznał, co to jest.

Piętno złodziejki. Uśmiech zgasł na jego twarzy w mgnieniu oka. pierwszy uświadomił sobie, że co prawda powiedział Elyrii o swoim małżeństwie, ale nie o tym, jak ono wyglądało. Musi to koniecznie nadrobić!

Obszedł kępę kosodrzewin wyciągających ku niemu swoje ciężkie gałęzie i znalazł się w zatoczce. W pierwszym momencie pomyślał, że minął się z Elyrią, że wróciła już do domu, ale dostrzegł jej suknię, rdzawoczerwoną plamę w nabrzeżnej trawie. Ardan zatrzymał się i rozejrzał wokół. Nigdzie jej nie było. Już chciał ją zawołać, gdy jego wzrok padł na taflę jeziora i na rozchodzące się kręgi. Chwilę później jej głowa wynurzyła się z wody.

Wyszedł z cienia.

- Elyria!

Zsunęła z twarzy mokre włosy i odwróciła się do niego; nie wyszła z wody dalej niż do wysokości ramion.

- Niedługo wyruszamy. Czekamy na ciebie przy chacie.

Nie czekał na odpowiedź, odwrócił się i wszedł między drzewa. Chciał wrócić do domu, lecz pokusa była zbyt wielka. Gdy usłyszał, jak Elyria wychodzi z jeziora, jeszcze raz się odwrócił. Krople wody połyskiwały na jej skórze wypełnione słonecznym światłem. Objął wzrokiem jej ciało i uśmiechnął się. Pochyliła się, żeby podnieść suknię. Wilgotne włosy zsunęły jej się z ramion na piersi i odkryły znamię na łopatkach. W pierwszej chwili pomyślał, że to jest blizna. Zacisnął powieki i przyjrzał się dokładniej, a wtedy rozpoznał, co to jest. Piętno złodziejki. Uśmiech zgasł na jego twarzy w mgnieniu oka.

12

Crean wiedział, że była gdzieś w pobliżu. Niedawno zsunął z palca pierścień, którego biały kamień pulsował coraz jaśniejszym światłem, im bardziej zbliżał się do magicznej mocy dziewczyny. Pierścień był jak błogosławiony przez bogów kompas wskazujący drogę do magii Elyrii. Żeby mężczyźni nie dostrzegli, że znajdują się tak blisko celu, Crean schował klejnot w kieszeni swojego kabata. Zastanawiał się jednak, czy jego ludzie aby na pewno nie wyczuwali jej obecności, bo on sam doskonale ją wyczuwał. Obecności magicznej mocy nie sposób było nie zauważyć. To było jak iskrzenie, podobne do napięcia w powietrzu podczas letniej burzy, czysta energia, która powodowała podnoszenie się włosów na ciele.

Po raz pierwszy, odkąd wdarli się na koniach w lasy wysokich gór, Crean podniósł dłoń i nakazał ludziom się zatrzymać. Odwrócił konia i popatrzył na oddział, który narzucił mu Eddan. Próbował przekonać przyjaciela, że będzie lepiej, jeśli wyruszy na poszukiwanie dziewczyny sam, jednak Eddan nie chciał go słuchać. Był tak opętany myślą, że ją wreszcie dopadnie, że nie oddałby tego zadania wyłącznie w ręce Creana. Nie bez racji. Crean nie miał

zamiaru jej złapać.

Współczuł Elyrii i nie chciał jej wyrządzić krzywdy. Od wielu dni prowadził ludzi krętymi ścieżkami, żeby odwrócić ich uwagę od jej tropu, który wskazywał drogę jak latarnia. Crean wiedział, że z powodu pierścienia jest wrażliwszy na magiczną moc niż jego ludzie. Mimo to obawiał się - jej magia może świecić tak jasno, że nawet największy ślepiec w oddziale ją dostrzeże.

Od dłuższego czasu wiódł swoich ludzi bardziej lub mniej bez celu górskimi szlakami, przeganiał ich przez gęste zagajniki i skaliste łańcuchy pagórków, twierdząc, że pierścień wskazuje mu drogę. Często pytali, dlaczego nie nosi go na palcu. Zawsze odpowiadał im to samo. Siła pierścienia osłabia siłę życiową tego, kto stale go nosi. Dlatego lepiej jest wyjmować go od czasu do czasu, żeby się go poradzić. Kupili to kłamstwo, zresztą nie mieli innego wyjścia - ostatecznie był prawą ręką Eddana Peristaesa. Podejrzewanie go o kłamstwo można byłoby nazwać podżeganiem. Crean stłumił uśmiech. Jego pozycja miała wiele zalet.

Niestety, zabawa w chowanego skończyła się dość gwałtownie. Wprawdzie nikt nie odkrył jego kłamstwa, ale dziewczyna sama ściągnęła na siebie nieszczęście. Jeden z bardziej czujnych wojowników zobaczył pewnego poranka słup czarnego dymu na niebie. To było przed trzema dniami. Crean próbował odwrócić ich uwagę od tego znaku i skierować oddział w inną stronę, jednak ludzie, w tym przede wszystkim kapitan Horan, byli przekonani, że znajdują Elyrię tam, gdzie snuł się dym. Aby nie wzbudzać podejrzeń, Crean wyjął pierścień i na oczach wszystkich zwrócił się do jego mocy. Naturalnie pierścień wskazał ten sam kierunek. Wszystko, co jeszcze mógł zrobić, to dać dziewczynie trochę czasu. Opowiedział ludziom o głębokich parowach i rwącej rzece, które należy ominąć, i poprowadził ich okrężnymi szlakami górskimi. Mimo tak zaplanowanego opóźnienia w końcu znaleźli się u celu. I niestety, wbrew jego oczekiwaniom dziewczyna nadal tu była.

Jakże często zadawał sobie pytanie, dlaczego chce jej pomóc. Była czarownicą. A on - Łowcą Czarownic. Tym samym ich role zostały jasno zdefiniowane. I tak było jeszcze do niedawna.

Od czasu powstania Synów Eaghana Crean wykonywał swoje zadania z pełnym przekonaniem. Zawsze wierzył w to, co czynił, lecz po spotkaniu Elyrii po raz pierwszy pojawiły się w jego głowie wątpliwości. Na początku po prostu jej współczuł. Gdy zobaczył ją w celi załęczoną i poranioną, jego jedynym pragnieniem było jej pomóc. Jednak nie zrobił nic. Potem pomógł jej uciec z więzienia. Crean wy dostał ją z Zakonu i ostrzegł, że ich drogi nie powinny się już więcej przeciąć. Dopiero po powrocie dowiedział się od Eddana, w jaki sposób udało się jej zbiec. W tym właśnie dniu Eddan ujawnił mu treść przepowiedni, czyli te

wszystkie straszne rzeczy, które czekają świat z powodu jej magicznej mocy. Dziewczyna o złotych oczach. Przepowiednia, zamiast wzmocnić Creana w jego przekonaniach, zasiała w nim wątpliwości. Jego wiara tak bardzo się zachwiała, że ponownie pomógł dziewczynie. Po raz pierwszy oszukał Eddana: twierdził, że amulety nie mają wystarczającej ochronnej mocy. Eddan mu uwierzył, bo przecież bronił tezy, że jest dziewczyną z przepowiedni i dysponuje ogromną siłą. Gdy tym razem wyruszyli, Najwyższy Łowca Czarownic zaopatrzył ich w najpotężniejsze amulety i zaklęcia ochronne, jakimi Bractwo dysponowało. „Jeśli zawrócę drużynę, tym razem mi nie uwierzy”.

Koń Creana zatańczył niespokojnie, jakby wyczuwał ogrom jego kłopotów. Wojownik ściągnął mocniej cugle, czym zmusił wierzchowca do spokoju. Przerwał wreszcie milczenie, spojrzał na napięte twarze swoich ludzi i stwierdził, że dziewczyna jest już blisko.

- Mam najpotężniejsze amulety ochronne, dlatego najpierw rozejrzę się sam. Czekać na mój znak, zanim zaczniecie działać.

- Komendancie, czy nie byłoby lepiej wysłać najpierw zwiadowców? - wtrącił się Horan.

Crean obdarzył go przeciągłym spojrzeniem - karcącym i wyniosłym.

- Widziałem, co przydarzyło się ostatnio waszym ludziom, gdy natrafiliście na czarownicę i jej obrońcę. - Potrząsnął głową. - Tym razem nie grozi nam porażka. Biorę sprawę w swoje ręce.

W oczach Horana rozbłysła złość, która była wyraźną odpowiedzią na słowa Creana. Nie miał jednak odwagi otwarcie sprzeciwić się przełożonemu.

- Czekać tutaj!

Crean zeskoczył z siodła i poprowadził konia za sobą. Pod ciężkimi butami szeleściły liście i trzaskały gałązki. Od czasu do czasu płoszył jakieś zwierzę, mysz czy zająca, które w panice rzucało się do ucieczki. Przedzierał się przez gęsto rosnącą kosodrzewinę i krzaki, kiedy z pewnej odległości dostrzegł błyszczącą w słońcu taflę jeziora. Ogarniał wzrokiem rzędy drzew, obserwując skryty za nimi krajobraz, aż dostrzegł domostwo. Ruszył prosto w jego stronę, kiedy wyraźnie usłyszał jakieś głosy. Uzmysłowił sobie, że jeden z nich należy do Ardana z Daormiru. Crean miał nadzieję, że usłyszy też dziewczynę. Drugi głos, udzielający odpowiedzi, był niestety też męski. Crean zatrzymał się i obserwował dom. Kim był ten mężczyzna? Co się stało z Elyrią? Nigdzie nie mógł jej dostrzec. Mężczyźni przygotowywali się do podróży. Konie były już osiodłane, plecaki spakowane.

- Gdzie ona jest? - Crean usłyszał obcego mężczyznę, młodego człowieka, którego czerwonobrazowe włosy lśniły w słońcu jak małe płomienie.

Ardan z Daormiru wzruszył ramionami. Minę miał zimną i ponurą.

Crean nie wahał się ani chwili dłużej - wyprowadził konia z lasu i dał się rozpoznać. Dłoń Ardana natychmiast spoczęła na mieczu, a jego towarzysz wyciągnął sztylet. Crean puścił cugle i podniósł ręce do góry, żeby pokazać mężczyznom, że nie miał zamiaru sięgać po broń.

Szkoda mu było czasu na nic nieznaczące pozdrowienia.

- Musicie uciekać! Synowie są bardzo blisko.

- A jeden z nich nawet stoi przede mną - odparł Ardan, który jeszcze nie wyciągnął miecza. - Czego chcecie?"

- Ostrzec was, książę. - Crean podszedł bliżej i ściszył głos. - Moi ludzie czekają w lesie na mój znak. Wiedzą, że tu jesteście. Nie traćcie czasu! Biercie konie i uciekajcie!

- Elyria! - Obcy mężczyzna spojrział w kierunku jeziora. - Musimy ją sprowadzić.

- Nie ma na to czasu. Idźcie. Zaopiekuję się nią.

Crean jeszcze nie wiedział, w jaki sposób to zrobi.

Wiedział jedynie, że Ardan i ten drugi zostaną bez wątpienia złapani, jeśli natychmiast nie znikną.

Towarzysz Ardana popatrzył na Creana, zmrużywszy oczy.

- Chyba nie myślicie, że zostawię ją w rękach obcego mężczyzny.

- Będę ją chronił. Macie na to moje słowo.

- Skąd mam wiedzieć, co wasze słowo...

- Dlaczego nam pomagacie? - Ardan przerwał swojemu towarzyszowi.

- Później wam to wyjaśnię. Teraz myślcie o tym, jak stąd uciec. Trzymajcie się drogi do Bladenhurst, aż dotrzecie do skrzyżowania. Tam wybierzcie ścieżkę prowadzącą w lewo. Jest częściowo zarośnięta i trudno ją znaleźć, ale doprowadzi was prosto do miejsca starej wiary. Czekać tam na mnie.

- Nie zostawię...! - Drugi mężczyzna chciał wyminąć Ardana i pójść nad jezioro.

Książę z Daormiru chwycił go za ramię.

- Już raz nam pomógł, Gwynnie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Gwynn się poddał. Było po nim widać, jak bardzo mu się to nie podoba, jednak podążył za Ardaniem do koni i ze wzrokiem utkwionym w Creanie, wskoczył na siodło.

Crean wskazał im właściwy kierunek. Ścieżkę, której Synowie jeszcze nie zajęli. Obaj mężczyźni obrócili konie i odjechali.

- Na razie idzie dobrze - zamruczał Crean i chciał pójść nad jezioro, żeby odszukać

Elyrię.

Nie zdążył obejść rozpadającego się domostwa, gdy nadeszła w jego stronę. Długie loki obramowały jej delikatną twarz wilgotnymi pasmami. Gdy go dostrzegła, znieruchomiała. Stała, wpatrując się w niego z napięciem. Nogi jej drżały, jakby w każdej chwili była gotowa odwrócić się i uciec.

- Nie bój się - powiedział spokojnie.

Za jego plecami trzasnęły gałęzie. Zarżał koń. Zbliźali się jego ludzie. Elyria odsunęła się nieufnie. „Dlaczego ci idioci nie potrafią stosować się do rozkazów?”, pomyślał Crean i wyciągnął rękę w jej kierunku. Nie dotknął jej jednak. Miała podać mu dłoń z własnej woli.

- Chcę ci pomóc.

Spojrzał na skraj lasu. Nie dostrzegał jeszcze swoich ludzi, ale już ich słyszał.

Synowie Eaghana byli jego życiem. Z głęboką pasją prezentował wszystkie cnoty, za którymi opowiadał się zakon. Czystość. Prawda. Honor. Właśnie miał z nich zrezygnować, żeby pomóc tej dziewczynie. Zdradzić wszystkie swoje przekonania dla jakiejś nieznajomej. Drżały mu palce. Jeszcze mógł się wycofać. A co będzie, jeśli Eddan miał rację? Co się stanie, jeśli ta dziewczyna rzeczywiście jest takim zagrożeniem, jak twierdził?

Jednak gdy patrzył na Elyrię, nie dostrzegał zagrożenia. Wszystko, co widział, to strach. W jej oczach dostrzegł echo swoich ostatnich słów. „Módl się do bogów, żebyśmy się więcej nie spotkali”. Cofnęła się jeszcze o krok. Wtedy Crean złapał ją za ramię i powstrzymał przed ucieczką. Próbowwała się wyrwać, biła i kopała. Crean schwycił ją mocniej. Objął ją ramionami tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Gdy zobaczył, że otworzyła usta, szybko zasłonił je dłonią.

- Lasy są pełne Łowców Czarownic. Jeżeli teraz zawołasz o pomoc, zjawią się tu szybciej, niż ci się kiedykolwiek śniło - syknął. - Ardan i ten drugi odjechali. Podałem im miejsce spotkania i przysiągłem, że cię tam dostarczę.

Nie wiedział, czy jego słowa do niej dotarły. Nadal broniła się przed jego rękoma i próbowała się uwolnić. Ugryzła go w rękę, którą zakrywał jej usta. Mimo że dłoń bolała, nie cofnął jej. Zęby zatopiły się głębiej w jego pięści.

- Przestań wreszcie... - syknął na nią. - Nie rozumiesz, że chcę ci pomóc?

Głosy jego ludzi zbliżały się. W każdej chwili mogli wyjść z lasu.

- Elyria, proszę - prawie błagał. - Tak, powiedziałem, że pomogę ci tylko raz, i rzeczywiście mówiłem to poważnie. Mimo to pomogłem ci po raz drugi. I na wszystkich bogów, zrobię to ponownie!

Nacisk jej zębów zelżał.

- Jeśli cofnę dłoń, nie będziesz krzyczeć?

Potrząsnęła głową. Zdjął więc dłoń z jej ust i puścił ją. Nie ruszyła się z miejsca. Wbiła w niego wzrok, jakby szukała odpowiedzi. Crean wskoczył na konia, chwycił ją za rękę i podciągnął na siodło.

- Na wszelkich bogów! Gdzie jest metalowa obroza? - wyrwało mu się, gdy zobaczył jej gołą szyję.

- Zniszczona.

To było pierwsze słowo, które wypowiedziała w jego obecności. I jednocześnie najgorsze, jakie mogła wypowiedzieć. Crean widział, co się stało z karczmą. Długo o tym rozmyślał. Elyria nie wydawała mu się złym człowiekiem, który umyślnie mógłby doprowadzić do takiej pozozi. Wniosek, który nasunął mu się w trakcie rozmyślań, nie nastrojał optymistycznie. Nie potrafiła zapanować nad magiczną mocą.

- Bądź tak uprzejma i nie upiecz nas.

Złapał cugle i obrócił konia w miejscu. Piętami naprowadził go na kierunek, w którym ruszyli Ardan i Gwynn. Crean z Travercore podjął decyzję.

*

Elyria czuła się, jakby ktoś uwięził ją w koszarnej opowieści. Widok Creana bardzo ją wystraszył. A właściwie nie tyle jego widok, co myśl, że tam, gdzie jest on, musi być więcej ludzi jego pokroju. Łowcy Czarownic. Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach, podczas gdy zdumiona patrzyła, jak koń Creana kłusuje wzdłuż jeziora i wbiega do lasu z dala od miejsca, z którego wynurzyły się już jasne mundury Synów. Mimo jego zapewnień trochę obawiała się, że wyda ją w ręce swoich towarzyszy.

Dlaczego Ardan na nią nie zaczekał? Dotknęło ją to, że odjechał bez niej. Po tych ostatnich kilku dniach przyzwyczaiła się do myśli, że już nigdy nie zostawi jej samej. A teraz, przy pierwszej okazji, odjechał. Gwynna także tu nie było. Musiał istnieć naprawdę poważny powód, że obaj wyruszyli bez niej. Być może Crean rzeczywiście mówił prawdę.

Gdy nadal próbowała się uspokoić, za nimi rozgorzał tumult. Synowie Eaghana odkryli ich. Wrzeszczeli do siebie rozkazy i gwizdali na konie, które pozostawili w lesie. Strach dosięgnął Elyrię długimi, zimnymi palcami, gdy zobaczyła białe peleryny tropicieli powiewające na wietrze. Przebiegło po niej mrowienie, a później fala niewiarygodnego gorąca. Nie! Żadnej magii. Crean znał tych ludzi, ich mocne i słabe strony. Znajdzie sposób, żeby im zbiec. Próbowała się uspokoić i równocześnie otworzyć skrzynię, by uwięzić magiczną moc. Szybko zamknęła wieko i w myślach założyła łańcuch z kłódką. Magia odpłynęła przynajmniej na chwilę.

Crean galopował jak szalony. Przycisnął Elyrię i pochylił się wraz z nią głęboko nad szyją konia. Kierował zwierzę na wąską ścieżkę wijącą się jak wąż przez gęsty las. Zielonobrzęde rzędy drzew przelatywały obok nich tak szybko, że liście i igły zlewały się w jedną gęstwinę. Spod kopyt pryskała ziemia. Odległość między nimi a pościgiem rosła znacząco. Białe peleryny, które na początku ich ucieczki widziała trzepoczące tu i tam między drzewami, teraz zbladły. Słychać było tylko nawoływania, choć i one też powoli cichły.

Gdy Elyria zobaczyła, jak Crean niestrudzenie popędza konia, pozwoliła sobie na odrobinę oddechu. Rzeczywiście będzie ją chronił. O nieba, tym razem posunął się tak daleko, żeby ujawnić się swoim ludziom jako zdrajca - pomógł jej w ucieczce na ich oczach!

- W tym tempie koń nie wytrzyma zbyt długo z dwoma jeźdźcami - wyrwał ją z zamyślenia. - Niedługo nas dogonią. Chyba że...

- Chyba że co?

W odpowiedzi zwolnił tempo.

- Widzisz tamtą gałąź? - Wskazał ręką przed siebie, tam gdzie potężna gałąź zwieszała się nad ścieżką.

- Przecież to nie jest przeszkoda.

Onieśmienie Elyrii minęło. Zdrada własnych ludzi sprawiła, że Crean stał się dla niej ostatecznie sprzymierzeńcem.

- Nie musimy nawet schylać głów, żeby pod nią przejechać - powiedziała, a w duchu dodała: „O nieba, dlaczego jedzie coraz wolniej! Czy to znów jakaś gra?”. A może wcale nie chciał jej ratować? - Crean, proszę, popędź konia!

Zamiast przyspieszyć, podprowadził wierzchowca pod gałąź.

- Chcę żebyś wspięła się na gałąź i szybko przeciągnęła się po niej do pnia, zanim ugnie się pod twoim ciężarem do ziemi. - Elyria spojrzała na niego zaskoczona. - Jeśli zsiądziemy z konia, zobaczą nasze ślady. To tam - wskazał na gałąź - będzie naszą kryjówką. Zobaczą jedynie, o ile zadadzą sobie trud i się zatrzymają, ślady podków prowadzące dalej ścieżką.

- Czy wszyscy Łowcy Czarownic są tak sprytni?

- Mam nadzieję, że tylko ja - odparł ponuro. - Jeśli inni też tacy są, szybko nas odkryją.

Wyciągnął dłoń, żeby pomóc jej wspiąć się wyżej. Przesunięcie się wzdłuż gałęzi nie było trudne. Gdy dotarła do pnia, zobaczyła, że Crean poszedł jej śladem. Gdy tylko usiadł pewnie na gałęzi, nachylił się i popędził konia. Zwierzę pogalopowało ścieżką i szybko znikło z pola widzenia.

„To szaleństwo!”, myślała, patrząc na oddalającego się konia. „Pozbywamy się naszej jedynej nadziei na to, że zdołamy uciec Synom”. Jednak jakiś uparty głos w jej wnętrzu przyznawał Creanowi rację. Na początku może rzeczywiście wyglądało to tak, jakby miało im się udać uciec. Jednak koń z dwoma jeźdźcami szybko się męczy.

Elyria zsunęła się z pnia na ziemię. Gdy Crean znalazł się obok niej, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Nie zrobili nawet dwóch kroków, gdy usłyszeli głosy.

Crean wskazał na jodłę oddaloną od ścieżki na niecałą długość konia. Elyria powstrzymała chęć odwrócenia się na pięcie i ucieczki, dokąd oczy poniosą. Wiedziała, że niebezpieczeństwo było zbyt duże. Jeden z Synów przypadkiem mógł się odwrócić i dostrzec jej suknię w zieleni lasu. Gdy nie zareagowała natychmiast na polecenie, Crean popchnął ją przed sobą i wsunął pod rozłożyste gałęzie choiny. Rzuciła ostatnie spojrzenie na las i zniknęła w cienie kryjówki. Igły kłuły ją w dłonie, gdy przyciskała się do poszycia, wyglądając na ścieżkę. Crean był tak blisko niej, że czuła ciepło jego ciała. Nisko opadające gałęzie rzucały na nich głęboki cień, kryjąc biel jego szat. Wtedy w zasięgu wzroku pojawili się Łowcy Czarownic. Elyria zadrżała. Jej palce wbiły się w poszycie. Fala hysterii zbliżała się niebezpiecznie do granicy wybuchu, gdy patrzyła, jak jeźdźcy się zbliżają. „Dlaczego puścił konia wolno?”.

Czuła, jak krzyk wzbiera jej w krtani, ugryzła się w wargę i poczuła słodki smak krwi. Niestety, nie zdołała powstrzymać jęku. Zbyt cichego, żeby mogli go usłyszeć Łowcy, jednak na tyle głośnego, że zwrócił on uwagę Creana.

- Nie odkryją nas - szepnął bezgłośnie. Jego oczy mówiły coś jeszcze: Żadnej magii! Inaczej oboje nas zabijesz!

Łowcy Czarownic zbliżali się powoli. Peleryna kapitana Horana wzdymała się na wietrze. Jeszcze tylko kilka metrów, a znajdą się na tej samej wysokości co oni. Elyria wstrzymała oddech. Magia mrowiła ją w palcach. Zamknęła oczy i przywołała w myślach słowa Creana. Żadnej magii! Z impetem zatrasnęła wieko skrzyni i zamknęła moc. Mrowienie ustało. Łowcy Czarownic byli tymczasem tak blisko... Elyrii wydawało się, że jeśli wyciągnie rękę, dosięgnie kopyt ich koni.

Naliczyła dwudziestu ludzi. Wszyscy uzbrojeni po zęby, odziani w zbroje, które lśniły nawet w cieniu lasu. Pobrząkiwanie końskiego ogłowia mieszało się z nawoływaniem mężczyzn, skrzypieniem skórzanych siodeł i cichym dzwonieniem strzemion. Wszystkie te dźwięki brzmiały w jej uszach po stokroć zwielokrotnione. Nie mogła tego znieść, chciała zatkać sobie uszy. Za każdym razem, gdy jakiś jeździec poruszył się lub tylko odwrócił głowę, drżała z przerażenia. W każdej chwili jeden z nich mógł wyciągnąć miecz, wskazać na

nich, krzyknąć: „Tam są!”.

Skrzynia nie była w stanie dłużej powstrzymać magii, która napierała na zewnątrz całą swoją mocą. Elyria czuła, jak gorąco płynie przez jej ciało i zbiera się powoli w rękę. Wtedy Crean położył jej dłoń na karku i przycisnął głowę do ziemi. Jego dotknięcie ugasiło narastający w niej ogień. Tak jakby chłód jego dłoni zmroził w niej moc. Mrowienie i gorąco odpłynęło. Leżała płasko na ziemi, a serce kołatało jej w piersiach. Łzy spłynęły po jej policzkach, gdy patrzyła, jak Synowie przejeżdżają obok ich kryjówek.

Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność, a oni nadal pozostawali w całkowitym bezruchu. Dopiero gdy dłuższy czas nie było słychać jeźdźców, Crean zdjął dłoń z jej karku. Elyria szybko starła łzy z policzków i podniosła się.

- Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową bez słowa, bo nie była pewna, czy może zaufać swojemu głosowi.

- Chodźmy zatem, zanim zawrócą. - Odwrócił się i poprowadził ją między drzewami.

Później Elyria nie wiedziała, jak długo torowali sobie drogę przez las. Korony drzew nad ich głowami były tak gęste, że rzadko udawało się jej dostrzec choć odrobinę słońca. Mimo że Crean starał się jej pomóc tak jak umiał, gałęzie raz po raz cięły jej twarz, raniły policzki i zaplątywały się we włosy.

Po dłuższej wędrówce natknęli się na konia Creana. Stał na małej polanie i skubał trawę.

Crean uśmiechnął się z triumfem.

- Świetne zwierzę.

Dał jej znak, żeby się zatrzymała. Przez chwilę stali nieruchomo między drzewami i rozglądali się bacznie na wszystkie strony. Dopiero gdy się przekonał, że w pobliżu nie ma żadnych Łowców, podszedł do konia. Las był zbyt gęsty, żeby można było pogalopować. Dlatego nie pozostało im nic innego, jak prowadzić zwierzę za uzdę. się powoli w rękę. Wtedy Crean położył jej dłoń na karku i przycisnął głowę do ziemi. Jego dotknięcie ugasiło narastający w niej ogień. Tak jakby chłód jego dłoni zmroził w niej moc. Mrowienie i gorąco odpłynęło. Leżała płasko na ziemi, a serce kołatało jej w piersiach. Łzy spłynęły po jej policzkach, gdy patrzyła, jak Synowie przejeżdżają obok ich kryjówek.

Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność, a oni nadal pozostawali w całkowitym bezruchu. Dopiero gdy dłuższy czas nie było słychać jeźdźców, Crean zdjął dłoń z jej karku. Elyria szybko starła łzy z policzków i podniosła się.

- Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową bez słowa, bo nie była pewna, czy może zaufać swojemu głosowi.

- Chodźmy zatem, zanim zawrócę. - Odwrócił się i poprowadził ją między drzewami.

Później Elyria nie wiedziała, jak długo torowali sobie drogę przez las. Korony drzew nad ich głowami były tak gęste, że rzadko udawało się jej dostrzec choć odrobinę słońca. Mimo że Crean starał się jej pomóc tak jak umiał, gałęzie raz po raz cięły jej twarz, raniły policzki i zaplątywały się we włosy.

Po dłuższej wędrówce natknęli się na konia Creana. Stał na małej polanie i skubał trawę.

Crean uśmiechnął się z triumfem.

- Świetne zwierzę.

Dał jej znak, żeby się zatrzymała. Przez chwilę stali nieruchomo między drzewami i rozglądali się bacznie na wszystkie strony. Dopiero gdy się przekonał, że w pobliżu nie ma żadnych Łowców, podszedł do konia. Las był zbyt gęsty, żeby można było pogalopować. Dlatego nie pozostało im nic innego, jak prowadzić zwierzę za uzdę.

Gdy zaczęło zmierzchać, Elyria do reszty straciła jakiegokolwiek poczucie czasu. Umierała ze zmęczenia. Chociaż czuła, że nie da już rady iść dalej, zmuszała się do poruszania nogami, stawiając powoli i z uporem krok za krokiem. Podążała za Creanem, potykając się, aż dotarli wreszcie do polany, na środku której znajdował się stary kamienny krąg. Potężne kamienie pokryte były mchem i porostami, częściowo zapadły się w poszycie lasu. Elyria patrzyła ze zdumieniem na prastarych świadków zapomnianej wiary. Nigdy przedtem nie widziała na własne oczy żadnego kamiennego kręgu. Słyszała o nich tylko opowieści i legendy. Miejsca mocy, świętości druidów - tak nazywane były przez nielicznych, którzy do dziś wspominali starą wiarę. Miejsca nieprawdopodobnych, okrutnych czynów - tak nazywało je Bractwo. Elyria nie odkryła w tym miejscu niczego złego. Wyczuwała za to wzniosłość tak wielką, jakiej nie doświadczyła nigdy wcześniej. Wypełniło ją uczucie spokoju tak nagłe i dojmujące, że w jej oczach pojawiły się łzy. „Jak ludzie mogli to wszystko zniszczyć?”, pomyślała.

Jakieś stłumione głosy dotarły nagle do jej uszu. Crean prowadził ją wśród potężnych monolitów, liczących nawet do dziesięciu stóp wysokości. Z każdym krokiem głosy zbliżały się coraz bardziej, stawały się wyraźniejsze. Wtedy dostrzegła Gwynna w gasnącym świetle dnia. Siedział na zwałonym pniu drzewa na drugim końcu polany i rozmawiał z Ardanem.

Gdy brat ją zobaczył, zerwał się na równe nogi. Przebiegł obok Ardana i chwycił ją w ramiona.

- Dzięki bogom, że dotrzymał słowa - usłyszała jego ciche słowa.

Elyria spojrzała na Ardana. Nie ruszył się z miejsca. Powodowana ulgą, że widzi go

ponownie, wybiegła mu naprzeciw. Chciała go objąć, lecz gdy wyciągnęła do niego rękę, odsunął je od siebie.

- Daj spokój - odparł zimno. Wtedy dostrzegła jego twarz. Kamienną i pozbawioną wszelkiego wyrazu.

- Przepraszam. Jestem taka szczęśliwa, bo...

- Oszczędź sobie wyjaśnień.

„Co w niego wstąpiło?” - właśnie gdy chciała wypowiedzieć to pytanie, usłyszała głośny trzask łamanej gałęzi w lesie. Łowcy Czarownic! Elyria wzdygnęła się. W tym samym momencie wszystkie bariery powstrzymujące magię opadły. Gorąco! Wewnętrzny ogień, który groził pochłonięciem jej osoby. Ręka wyskoczyła do góry. Z opuszków palców wystrzeliła błyskawica i trafiła w miejsce, skąd dochodził trzask. Usłyszała szelest, a potem Gwynn zawołał:

- To tylko jeleń!

Wraz z wybuchem mocy z jej ciała ulotniła się większa część jej siły. Elyria zatoczyła się i upadła. Lecz to nie był koniec. Chociaż Gwynn odpędził zagrożenie, magia nadal iskrzyła między jej palcami w postaci małych, syczących błyskawic. Czowała, że żarzy się podświadomą mocą. Wydarzenia ostatniego dnia były dla niej zbyt wielkim obciążeniem. Całe napięcie szukało teraz ujścia. Elyrią szarpnęło, gdy ręka sama wyskoczyła ponownie do góry. Usłyszała ostrzegawczy krzyk i zobaczyła, jak Crean jednym susem schował się za menhirem na sekundę przed uderzeniem błyskawicy dokładnie w miejsce, w którym przed chwilą się znajdował. Odłamki kamieni fruwały w powietrzu. Elyria straciła wszelką kontrolę. Wyczerpanie pogłębiło się, jednak ręka nie opadała. Kolejna błyskawica wyskoczyła z opuszków jej palców. Potem ktoś złapał ją od tyłu. Magiczna moc otuliła ją zimnymi płomykami, które groziły jej pochłonięciem. Skóra łaskotała, włoski na rękach uniosły się.

- Myśl o skrzyni! - krzyknął na nią Ardan. Wzmocnił uścisk i przyciągnął jej rękę w dół.

Błyskawica strzeliła w podłoże. Grudki ziemi fruwały w powietrzu. Ardan złapał ją jeszcze mocniej i potrząsnął nią.

- Zamknij to przekłete wieko! - wrzasnął. - Schowaj magię!

Oddychała ciężko i z trudem utrzymywała się na nogach. Zamknęła oczy. Kula ognia płonęła w jej wnętrzu tak potężna jak nigdy dotąd. Musiała wyszukać większą skrzynię, ale gdy jej się to udało, nie była w stanie wcisnąć mocy do środka. Palce Ardana wbijały się boleśnie w jej plecy. „Jeśli nie zapanuję nad magiczną mocą, zabiję jedyńych ludzi, którzy

chcą mi pomóc!”, przez jej głowę przebiegały gorączkowe myśli. Wreszcie znalazła siłę, żeby wtłoczyć ognistą kulę do skrzyni. Ostatnim wysiłkiem woli zatrzaskała wieko. Łaskotanie ustąpiło. Błyskawice pełzające między jej palcami wygasły. Dopiero teraz Ardan ją puścił. Elyria osunęła się na ziemię. Dysząc, wspierała się na dłoniach i kolanach. Usiłowała nabrać ponownie sił.

Wysiłek ostatnich godzin doprowadził ją do całkowitego wyczerpania. Z trudem skupiała wzrok na Ardanie, który wciąż przed nią stał. Jej oczy rozbiegały się niespokojnie na boki, gdy usiłowała rozpoznać jego rysy. Jego usta poruszały się, lecz słowa docierały do niej w postaci szmeru. Nie wiedziała, czy krzyczał, czy też normalnie do niej mówił. Nie wiedziała także, co się z nim dzieje i dlaczego się tak zachowuje. Mrugała powiekami w nadziei, że przepędzi w ten sposób mgłę zasnuwającą jej oczy. Na próżno. Wargi Ardana poruszały się nieprzerwanie, dwie zamazane kreski w za-* mglonej twarzy. Teraz była pewna, że na nią krzyczał. Ogarnęła ją fala wściekłości. Wściekłości na to, że nie rozumiała jego słów i nawet nie mogła się bronić. Lecz tak samo szybko, jak ją ogarnęła, równie błyskawicznie się rozplynęła. Elyria była zbyt zmęczona, żeby się tym zajmować. Oczy zamykały się jej same. Przestraszył ją nagły rumor. Trwało dobrą chwilę, zanim pojęła, że upadła. Chwila świadomości trwała krótko.

Nie była w stanie otworzyć oczu.

*

Gdy się ocknęła, siedziała przed Creanem w siodle. Wąska smuga światła księżyca przeświecała przez gęste korony drzew. Jechali wąską ścieżką, węższą od tej, na której przechytrzyli Łowców Czarownic. Crean objął ją ramieniem, żeby nie zsunęła się z konia. Obok nich jechał Ardan, a tuż przed nimi - Gwynn z latarnią w dłoniach.

Elyria chciała usiąść, lecz była zbyt wyczerpana. Zatem znieruchomiła w objęciach Creana wpatrywała się w chybocliwe światło latarni, które ledwie rozjaśniało drogę.

Chętnie zapytałaby Gwynna, co wstąpiło w Ardana. Nigdy jeszcze się tak nie zachowywał. Był zimny, odpychający, raniący. Przecież stał się jej przyjacielem - a nawet kimś więcej. W ostatnich dniach stanowił ważną część jej życia. Nie rozumiała, co mogło tak odmienić jego zachowanie.

Po tym, jak zbliżyli się do siebie podczas tych dni nad jeziorem, pomyślała, że być może coś do niej czuje. Gdy na niego patrzyła, było w tym coś, czego nie potrafiła ująć w słowa. Uczucie ciepła i łaskotanie, podobne do magii, tylko o wiele bliżej serca. Miała na-* dzieję, że Ardan odczuwa coś podobnego. Potem jednak wyznał jej, że jest żonaty. Tak po prostu, przy okazji. Jakby to nie miało znaczenia. Dla Elyrii jednak miało. Z początku była

rozczarowana, a nawet trochę wściekła. Potem zozumiała, że nie miała do tego prawa. Ardan, zanim ją poznał, miał przecież swoje życie. Jak mogła zakładać, że taki mężczyzna jak on był sam? To, że był żonaty, obchodziło ją w tej chwili najmniej. Odrzucenie, które pojawiło się tak nagle, było dużo gorsze. Co w niego wstąpiło?

- Co sprawiło, że przedstawiciel Peristaesa chce nam pomóc? - usłyszała pytanie Ardana.

Crean dał sobie dużo czasu do namysłu, co ma odpowiedzieć.

- Wierzę w bogów - odparł wreszcie. - I przez wiele lat wierzyłem także w Synów Eaghana. Dłużej już nie mogę... Czy magia jest rzeczywiście zawsze czymś złym? Widziałem, jak ludzie za jej pomocą czynili dobro. Zielarki i uzdrowiacze, którzy ratowali życie i mimo to kończyli na stosie - głos mu drżał. - Przez długi czas zamykałem oczy na prawdę. Jakże byłem ślepy! Czas Oczyszczenia! - sapnął. - To wszystko nie ma już nic wspólnego z ochroną przed złem. Byłem w wioskach, w których wystraszeni ludzie zakopywali zielarki aż po szyję w ziemi, a potem je kamienowali. Podczas ostatnich lat widziałem więcej płonących stosów niż świętowania przy nadawaniu imienia. To była czystka powodowana ślepą nienawiścią, nic więcej. Musiałem jednak spotkać Elyrię, żeby to zrozumieć i zacząć dociekać tych rzeczy. - Ponownie zamilkł na chwilę, a potem powiedział: - Od dawien dawna do życia ludzkiego przynależały siły, których nie dało się wyjaśnić, które... - szukał odpowiednich słów - były niepojmowalne. Wytępienie tych sił nie wydaje mi się słuszne. A co będzie, jeśli przez to równowaga świata zostanie zaburzona?

- Interesująca myśl - stwierdził Ardan po chwili ciszy. - Co teraz uczynicie?

Crean wzruszył ramionami.

- Będę wam przez krótki czas towarzyszył. Być może znajdę odpowiedzi na pytania, które mnożą się w mojej głowie. Niezależnie od wszystkiego, wygląda na to, że przyda wam się moja pomoc.

Elyria zapadła ponownie w lekki sen. Raz wzdrygnęła się i podniosła nagle pod wpływem koszmaru, który jej się przyśnił. Crean szepnął jej do ucha kilka uspokajających słów. Położyła się i ponownie zasnęła do momentu, gdy obudziło ją dotknięcie dłoni na ramieniu.

Zostawili już za sobą las i dotarli do karczmy. Latarnie oświetlały podwórze i ścieżkę do drzwi wejściowych. Crean zatrzymał konia przed stajnią i zsiadł. Potem pomógł Elyii zsunąć się z siodła. Gdy jej nogi dotknęły ziemi, zatoczyła się na bok. Palcami chwyciła końską grzywę i udawała, że jedną ręką głaszcze zwierzę, gdy druga była wczepiona we włosie. Dopiero po kilku chwilach była w stanie stanąć o własnych siłach. Odeszła od konia i

dołączyła do towarzyszy.

Podczas gdy Crean z Gwynnem wprowadzali konie do stajni, Ardan odwrócił się i poszedł w stronę budynku. Szedł tak szybko, że Elyria nie mogła mu dotrzymać kroku. Podążała za nim w pewnej odległości.

W środku było gorąco i duszno. W powietrzu wisiał zapach piwa i zupy. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo była głodna. Gwar głosów rozchodził się donośnie, choć ponad połowa stołów nie była zajęta. Strzępki rozmów, przerywane śmiechem i podśpiewywaniem, wirowały w powietrzu. Nagle przypomniała sobie karcznię, która została zniszczona jej magiczną mocą. Pod wpływem tego wspomnienia zdrząły jej kolana. Przesunęła się obok Ardana, który rozmawiał z karczmarzem, i podeszła do wolnego stołu. Z głośnym westchnieniem usiadła na ławie i patrzyła, jak Ardan przesunął po ladzie kilka monet. Nie wyglądał na niesympatycznego czy zimnego. Także w stosunku do Gwynna i Creana zachowywał się normalnie. Dopiero gdy podeszedł do stołu i jego wzrok padł na Elyrię, na jego twarz powrócił zimny wyraz.

W tym samym momencie dołączyli do nich Gwynn z Creanem.

- Pod dachem karczmarz ma dwie izby - powiedział Ardan, gdy wszyscy już usiedli. - Możemy je zajmować tak długo, jak chcemy.

Chwilę potem nadeszła karczmareczka, żeby przyjąć zamówienie. Gdy Gwynn i Crean z nią rozmawiali, Ardan patrzył ponuro przed siebie.

Elyria bała się jego reakcji, jednak musiała z nim porozmawiać. Musiała dowiedzieć się, co mu się stało.

- Bez ciebie nie dałabym rady zapanować nad mocą - zaczęła.

Ardan podskoczył.

- To nazywasz panowaniem? - napadł na nią. - Cała praca zmarnowana! Całkowicie na nic!

- Bardzo mi przykro. - Jego szorstka reakcja pozbawiła ją pewności siebie. - Nie wiem, dlaczego... Chociaż właściwie wiem: nie pomyślałam o skrzyni. Pozwoliłam, żeby zapanowały nade mną uczucia.

W jego spojrzeniu znowu pojawił się sam ten zimny blask, który widziała na polanie.

- Kiedy nauczysz się wreszcie używać rozumu?

- Ardan, co to ma znaczyć? Co się z tobą dzieje? Nie rozumiem.

- Co się dzieje? - wpadł jej w słowo. - Mam dość wysłuchiwania dzień po dniu tego użalania się! Mam dość męczenia się z taką dziewczką uliczną jak ty! Chcę wreszcie uwolnić się od twojej obecności.

Elyria wpatrywała się w Ardana. Miała ochotę wrzasnąć na niego albo chociaż powiedzieć mu, jak bardzo jego zachowanie ją rani. Otwierała usta i zamykała je, nie wypowiadając jednak ani słowa. Gdyby nie była tak zmęczona, może nawet uderzyłaby go. Zwinęła dłoń w pięść, jednak zabrakło jej energii, żeby podnieść rękę. Magiczna moc ją wycieńczyła.

- W takim razie choćby tego wieczoru zrobię ci tę uprzejmość i oszczędzę mojej obecności - syknęła, wstała od stołu i podeszła do schodów.

Starła się, żeby jej odejście nie sprawiło wrażenia panicznej ucieczki. Dopiero gdy dotarła do stopni, przyspieszyła kroku. Nie było trudno znaleźć na strychu dwie izby, które Ardan wynajął, bo były to jedyne pomieszczenia. Otworzyła pierwsze drzwi, weszła do środka i zatrzasnęła je za sobą. Otoczyła ją ciemność. Z mroku wyłaniały się powoli zarysy łóżka i komody. Elyria oparła się plecami o drzwi i zamknęła oczy. Ostatnie słowa Ardana brzmiały nadal w jej uszach. Po tym wszystkim, co stało się tego dnia, tęskniła za jego bliskością i chciała, żeby ją pocieszył, a on ją od siebie odepchnął. Wezbrały w niej palące łzy wraz z marzeniem, żeby ukryć się przed całym światem. Przesunęła się wzdłuż ściany do kąta i szlochając, osuwała się na podłogę.

*

- Zwariowałeś?! - Ledwie Elyria się oddaliła, Gwynn napadł na Ardana. - Jak możesz tak ją traktować po tym wszystkim, co dzisiaj przeszła?

Ardan nie miał zamiaru się kłócić, lecz wystarczyło jedno spojrzenie na minę Gwynna, by zrozumieć, że nie miał wyboru.

- Mam dość jej świętoszkowatości!

Gwynn zamrugał zmieszany.

- Ardan, na wszystkie demony, co się z tobą dzieje? Cały dzień zachowujesz się tak dziwnie. Od rana. Odkąd... odkąd wróciłeś znad jeziora! - zmarszczył czoło. - Co się tam stało?

- A co miało się stać? - prychnął Ardan.”- Zobaczyłem, kim jest naprawdę.

Nadal miał przed oczami wypalone piętno odcinające się wyraźnie od jej jasnej skóry. Dlaczego nigdy nie zadał sobie pytania, z jakiego powodu po raz pierwszy natknął się na nią w więzieniu?

- Jest złodziejką! Jak wszyscy z Wędrującego Ludu!

- Tak jak Gwynn? - wtrącił się Crean, który do tej pory przysłuchiwał się kłótni w milczeniu.

Ardan odwrócił się do niego szybko.

- Nie, nie tak jak Gwynn. Akurat do niego nic nie mam.

- A do Elyrii masz? - nie odpuszczał Crean.

Wściekłość Ardana rosła z każdą chwilą. Dlaczego się do tego miesza? Przecież wcale jej nie zna. Jedyne, co dostrzega, to jej ładną twarzyczkę.

- Widziałem piętno. Czegoś takiego nie otrzymuje się bez powodu!

Gwynn zbladł.

- Nie powinieneś nikogo osądzać, zanim nie poznasz całej prawdy. Czy zapytałeś ją o to?

- Nie musiałem. Wystarczy mi to, co zobaczyłem. Nie ma powodu pytać tylko po to, żeby usłyszeć w odpowiedzi same kłamstwa.

- W takim razie ja ci odpowiem na pytania, których nie zadałeś.

Ardan chciał wpaść mu w słowo, chciał powiedzieć, że nie ma zamiaru słuchać, jak brat bierze w obronę swoją siostrę, jednak Gwynn nie pozwolił mu na to.

- Wczoraj wieczorem oczekiwałeś, że wysłucham twojej historii. Teraz ty wysłuchasz mojej.

Wczoraj wieczorem. Zdawało mu się, że to było wieki temu. W czasach, kiedy jeszcze traktował Elyrię jak kogoś wyjątkowego. Ardan skrzywił się nieznacznie, jednak milczał.

Cień przebiegł po twarzy Gwynna. Przez chwilę wyglądał na znużonego.

- Elyria nic nie zrobiła - zaczął wreszcie. - Znaleźliśmy medalion. Klejnot, który wcześniej widzieliśmy w świątyni na ołtarzu Mądrej Matki. Ktoś musiał go ukraść. Być może nawet ktoś z naszej trupy. Moją pierwszą myślą było, żeby go sprzedać. Suma z pewnością wystarczyłaby na przetrwanie zimy dla całej trupy. Ale Elyria uparła się, żeby go odnieść. Nie powinienem był pozwolić, żeby poszła tam sama.

Patrzył ponuro przed siebie.

- Zakonni wojownicy pojмали ją, gdy chciała go odłożyć na ołtarz, oskarżyli o kradzież i wtręcili do więzienia.

- A tam wpadła w łapy Peristaesa. - Mina Creana była pełna współczucia.

Ardan nie odczuwał niczego. Nadal próbował pojąć wymiar tego, co właśnie usłyszał.

- Dlaczego mi to wszystko opowiadacie?

- Dlaczego? - Gwynn walnął z hukiem pięścią w stół. - Dlatego, że jesteś dla niej niesprawiedliwy, ty przeklęty głupcze! Oskarżasz ją o czyn, którego nie popełniła! Boi się. Potrzebuje cię, a ty wrzeszczysz na nią jak prostak i obrzucasz ją błotem! Jak myślisz, co ona teraz czuje?

Ledwie dał upust złości, zapadł się w siebie, jakby wybuch pozbawił go wszelkich sił.

Wściekłość Ardana rozplynęła się bez śladu. Pozostała tylko ulga. Nie mylił się więc co do niej. Nagle poczuł zmęczenie. I wstyd. Podczas ostatnich dni spędził z nią prawie każdą chwilę, a jednak pozwolił się kierować tym, co widziały jego oczy, zamiast słuchać własnego serca.

- Przepraszam was.

Podniósł się, przeciął karczmianą izbę i wbiegł schodami na górę. W oświetlonym latarniami korytarzu wyprzedzał go własny cień. Co powinien jej powiedzieć? Czy w ogóle będzie chciała go wysłuchać? Musiał spróbować. Pewnym krokiem podszedł do pierwszych drzwi i je otworzył. Smuga światła wpadła do izby, wprost na dwie postacie stojące obok łóżka. Zalśniło ostrze podniesionego sztyletu.

Gdy Ardan rozpoznał ślepych mnichów, bez namysłu wyciągnął miecz i przyskoczył do mężczyzn. Pierwszy, ten, który stał z przodu, był o sekundę wolniejszy. Zanim zdążył zrobić choć jeden ruch, Ardan złapał go za rękę i odepchnął od łóżka. Drugi odwrócił się błyskawicznie. Chwycił Ardana za dłoń, w której ten trzymał broń i usiłował mu ją odebrać. Ardan wbił mu pięść w twarz. Gdy ten puścił rękę, pchnął go mieczem. Ostrze zagłębiło się w jego ciele. Wyciągnął je szarpnięciem, trysnęła krew, ślepiec osunął się na ziemię. Ardan odwrócił się teraz do drugiego mężczyzny. Spodziewał się ataku, zamiast tego jednak zobaczył, jak ślepiec kładzie dłoń na amulecie.

- Nie ucieknie przed nim.

Jego wargi poruszały się nadal, choć nie padło już ani jedno słowo. Chwilę później zniknął. Ardan rozpoznawał magię, gdy ją widział. Nauczony doświadczeniem, wiedział, że szukanie tego mężczyzny będzie tylko stratą czasu. Odszedł i nie wróci. Przynajmniej w tej chwili.

„Elyria!”

Niepokój ścisnął mu krtań, gdy odwrócił się do łóżka, przygotowany na najgorsze. Było puste. Zakręcił się dookoła, chciał pobiec do drzwi, żeby sprawdzić, czy nie ma jej w pokoju obok, i wtedy ją dostrzegł. Zwinęła się w kącie i nie ruszała. Błyskawicznie znalazł się przy niej i klęknął przed nią. Dopiero teraz zobaczył, że śpi. Z ulgą, że odnalazł ją żywą i całą, przyglądał się jej z cichym uśmiechem. Bezwiednie wyciągnął dłoń w kierunku jej twarzy i pogłaskał ciepły policzek, dopiero potem dotknął delikatnie jej ramienia.

- Elyrio? - spytał, ścisząc głos.

Otworzyła oczy i usiadła.

- Jesteś ranna?

Zamrugała nieprzytomnie powiekami. Przesunęła wzrokiem po pokoju i utkwiała

spojrzenie w ciele ślepego mnicha.

- Święty...

Zanim Ardan zdążył cokolwiek powiedzieć, zsunęła jego dłoń z ramienia i podniosła się. Weszła w krąg światła i okrążyła zwłoki. Ardan dostrzegł przerażenie w jej oczach i jeszcze coś innego. Płakała.

13

Jalandar rozkoszował się ciszą panującą w karczmie o poranku. Rozsiadł się wygodnie i wypił duży łyk mleka. Chleba nie ruszył. Zje później, gdy pośpi choć parę godzin. Ziewając szeroko, rozglądał się po izbie, szczęśliwy, że po wielu dniach w drodze trafił wreszcie na karczmę.

Nie był już młody i wiele było strasznych momentów w jego życiu, lecz tylko kilka z nich uważał za gorsze od tamtej pamiętnej chwili, kiedy to członkowie kręgu zamknęli uszy na jego ostrzeżenia. Odwrócili się od niego. Zawiedli go w chwili, gdy najbardziej potrzebował ich pomocy. Miał nadzieję, że znajdzie odpowiedzi w runach. Zamiast tego pojawiły się kolejne pytania. Rzucał kości po wielokroć, ale wciąż i wciąż pokazywały mu to samo. Szósty atrybut. Świetliste naczynie.

Runy ujawniały tylko to, co zawsze przeczuwał. Bez szóstego atrybutu rytuał pozostał bezowocny. Jalandar doszedł w końcu do wniosku, że jego przeznaczeniem jest go dokończyć. Musiał znaleźć brakujący element. Dodatkowa trudność polegała na tym, że nie bardzo wiedział, od czego ma rozpocząć swoje poszukiwania. Nie było już magów i druidów, których mógłby spytać o radę. Magiczne pisma zostały zniszczone, atrybuty przepadły. Długo nad tym rozmyślał. Wreszcie spakował swoje rzeczy i wyruszył skoro świt. Jeśli Toran nie mógł do niego przyjść, to on pójdzie do Torana z Askarionu. Była to długa droga, lecz Jalandar nie wiedział, jak inaczej może sobie pomóc. Potrzebował rady przyjaciela i wiedzy elfów.

Mimo że od Askarionu dzieliło go wiele dni podróży i nadal nie był pewien, co należy zrobić, od razu poczuł się lepiej. Działanie poprawiało mu nastrój w odróżnieniu od siedzenia z założonymi rękoma i czekania na to, co może się jeszcze wydarzyć.

Ciężkie stąpanie wyrwało Jalandara z zamyślenia. Spojrzał do góry. Wojownik Synów Eaghana schodził po schodach. Sądząc po herbie na kabacie, miał wysoką rangę. Jalandar zamarł. Racjonalna część jego ducha szepnęła, że nie ma powodu do strachu. Nikt nie mógł odkryć w nim magii, jego darem była bowiem sztuka leczenia, znajomość ziół, a także wytwarzanie maści i wywarów. W ostatnich latach widział jednak dość straszliwych rzeczy, żeby kierować się jedynie rozumem. Zbyt wielu jego przyjaciół zginęło potworną śmiercią na

stosach Łowców Czarownic, żeby teraz mógł patrzeć na jednego z nich, nie trzęsąc się ze strachu.

Za Łowcą podążał mężczyzna bez munduru. Przystojny młodzieniec z krótkimi rudobrazowymi włosami. Mężczyźni rozglądali się z uwagą po izbie. Kiedy Łowca dostrzegł Jalandara, skinął mu głową - przyjaźnie, lecz bez większego zainteresowania - a potem jego wzrok powędrował dalej. Obaj dotarli do drzwi i bez słowa opuścili karczmę. Jalandar odetchnął z ulgą. Krótco potem na schodach pojawił się kolejny mężczyzna. Nawet bez miecza przy boku budził szacunek. Być może była to kwestia postawy lub zręczności ruchów, a może stanowczości malującej się w spojrzeniu, która upewniła Jalandara, że ten nieznajomy jest doświadczonym wojownikiem.

Zatrzymał się na najniższym stopniu schodów i spojrzał do góry.

- Elyrio, chodź! Ruszamy.

Elyria.

To imię poruszyło w Jalandarze jakąś strunę. Słowo dotknęło w jego duszy niepojętego miejsca i roznieciło pierwszą iskrę.

Elyria.

Obserwował dziewczynę schodzącą po schodach. Jego zaciekawione z początku spojrzenie zamieniło się w zapatrzenie. Na wszelkie moce! Wygląda jak... Jalandar omal nie spadł z ławy. Chciał się podnieść, chciał podskoczyć i podbiec do dziewczyny, ale nogi miał jak sparaliżowane. Nie był zdolny do wykonania najmniejszego nawet ruchu, choć oczy podążały za nią ku wyjściu. A potem drzwi się zatrzasnęły. Czar prysł jak mydlana bańka. Jalandar podniósł się ociężale i podszedł do okna. Przywarł oczami do postaci dziewczyny, obserwował, jak jeden z mężczyzn pomaga jej usadzić się w siodle. Potem cała czwórka opuściła podwórze.

Jalandar jeszcze długo stał przy oknie i patrzył w przestrzeń. Elyria. To imię otworzyło drzwi do przeszłości. Rzucił na stół monetę, zapakował plecak i pożegnał się z ciepłą karczmą.

14

Elyria kręciła się w siodle. Od kiedy Gwynn posadził ją rankiem na konia, nie mogła sobie znaleźć wygodnej pozycji. Miniony dzień nie był dla niej łatwy, nie wspominając już o nocy.

Zachowanie Ardana bardzo ją dotknęło. Pojawił się przy niej nagle w środku nocy i obronił przed ślepymi mnichami. Po niekończących się godzinach odpychającego zachowania znów był tym samym Ardanem, którego poznała podczas ostatnich kilku dni nad jeziorem -

mężczyzną łagodnym i troskliwym.

Natychmiast zwołał resztę, a następnie razem z Gwynnem przeszukał karczmę oraz budynki gospodarcze, podczas gdy Crean został z Elyrią, żeby ją ochraniać. Nie znaleźli żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność drugiego ślepeca. Późno w nocy, gdy w karczmie zapanował już spokój, usunęli ciało. Przedtem jednak starannie je przeszukali, ale nie znaleźli niczego podejrzanego. Żadnej wskazówki, skąd mogli pochodzić mnisi i czego chcieli.

„Czeka na ciebie”. Słowa wślizgnęły się znów do jej głowy. Dlaczego ci mężczyźni ją ścigali? Byli przecież ślepi! Jak w ogóle ją znaleźli? Tyle pytań - i żadnej odpowiedzi.

Rano Elyria zobaczyła przy swoim łóżku Ardana. Trzymał straż u wezgłowia z obnażonym mieczem. Mimo że pozostało jeszcze wiele do wyjaśnienia, nie było czasu na rozmowy, już po chwili bowiem zjawiała się reszta ich małej drużyny. Właściwie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Jego zachowanie i nagła zmiana nastroju sprawiły, że czuła się niepewnie. Nie wiedziała, co z tym zrobić, więc wycofała się. Gdy ruszali, chciał jej pomóc przy dosiadaniu konia, ale odmówiła i podeszła do Gwynna.

Crean już od dłuższej chwili zniknął im z pola widzenia. Pojechał przodem na mały rekonesans. Dlatego jechali za Ardanem drogą prowadzącą na przemian między gęstymi rzędami drzew i rozległymi łąkami.

- Co z tobą? Jesteś jakaś taka... - zapytał Gwynn, gdy zaczęła znów wiercić się w siodle.

- Czy to naprawdę takie dziwne?

- Nie, chyba nie - westchnął. - Ale nie martw się, siostrzyczko, czuwamy nad tobą - dodał po chwili milczenia.

- Jak długo jeszcze to potrwa? - fuknęła rozzłoszczona. - Dopóki mu nie przyjdzie do głowy, że chce się mnie pozbyć?

To nie było sprawiedliwe, bo nawet jeśli Ardan źle ją traktował, to Crean i Gwynn zachowywali się po rycersku i wiernie trwali przy jej boku. Nie wspominając już o tym, że to Ardan uratował ją zeszłej nocy. Nie umiała jednak pohamować swojego rozżalenia.

- Rozmawiałaś z nim?

- Nie miałam ochoty - powiedziała od niechcienia, chociaż było jej ciężko na duszy.

Gwynn ściągnął konia i oddalił się nieco od Ardana.

- To, co powiedział ci wczoraj... - mruknął - on... on tak nie myślał.

- Ależ oczywiście. Chciał mi powiedzieć, że uwielbia mnie pasjami, tylko nie mógł biedaczek znaleźć odpowiednich słów. Bez względu na to, co się stanie, nigdy cię nie

opuszczę! Czy to nie jego słowa? Najwidoczniej zmienił zdanie.

- Zobaczył piętno - wyjaśnił spokojnie Gwynn. - I wyciągnął błędne wnioski.

Spojrzała na drogę, na rzędy drzew ciągnące się wzdłuż pobocza i zatrzymała wzrok na Ardanie, który jechał przed nimi. „Obserwował mnie!”.

- To był zwykły przypadek - powiedział nagle Gwynn, jakby czytał w jej myślach. - Uważał cię za złodziejkę. Skąd mógł wiedzieć, jak doszło do tego wszystkiego? Nie jest do końca obiektywny, jeśli chodzi o Wędrujący Lud.

- Co ty wygadujesz? Nie do końca obiektywny? - prychnęła tak głośno, że Gwynn nakazał jej mówić ciszej. Zniżyła posłusznie głos, nadal jednak gotowała się z wściekłości. - Ten mężczyzna w ostatnich dniach stał mi się bliższy niż ktokolwiek do tej pory w moim życiu. Wie, jak myślę i co czuję. Czasami nawet wie to wcześniej, niż ja sama sobie to uświadomię! I nagle, z dnia na dzień zaczyna kierować się jakimiś bzdurnymi przesadami? To jakiś obłąd!

- Może miał złe doświadczenia - dał jej pod rozwagę Gwynn.

Elyria już chciała coś powiedzieć, kiedy jakiś odgłos kazał jej zamilknąć. Coś jak parsknięcie konia. Skuliła się odruchowo i zaczęła rozglądać dokoła.

- Co się stało? - usłyszała głos Gwynna.

- Konie.

- Spokojnie. - Położył jej dłoń na ramieniu. - To tylko Crean.

- Crean pojechał przodem - powiedział Ardan, który tymczasem zbliżył się do nich. - A te parsknięcia dobiegają z tyłu. - Rozejrzał się badawczo. - Jazda stąd!

Jak na komendę pognali przed siebie drogą. Elyria pochyliła się nad szyją konia i chwyciła mocno grzywę zwierzęcia. Krzaki i drzewa migają jej w oczach. Kurz wzbijał się spod kopyt, osiadał na włosach, skórze i odzieniu. Elyria nasłuchiwała, usiłując wyłowić odgłosy pościgu, ale nie słyszała niczego poza uderzeniami kopyt i parsknięciami ich własnych koni.

Ardan wyprzedził ich i skierował konia w rozwidlenie drogi w lewo. Pędzili ścieżką już dłuższy czas, gdy jego koń gwałtownie się zatrzymał i stanął dęba. Bułanek Gwynna też się spłoszył. Przednie kopyta zarył w leśnym poszyciu. Elyria zsunęła się gwałtownie do przodu i spadłaby, gdyby w ostatniej chwili nie złapała się końskiej grzywy.

Znowu dosłyszała parsknięcia koni i stłumione nawoływania. Jednak tym razem dźwięki nie dochodziły z tyłu, lecz dobiegały ich z przodu.

- Otaczają nas! - krzyknął nagle Ardan.

Jego słowa nadały dźwiękom postać. Synowie Eaghana. A któżby inny?

Ardan zawrócił konia.

- Uciekajcie! Odciągnę ich uwagę.

- Nie. Uciekaj z nami! - Myśl, że może odjechać bez niego, przeraziła ją bardziej, niż Elyria przypuszczała.

- Odnajdą nasz trop - przeciwstawił się jej.

- I tak to zrobią.

- Nie, jeśli...

-...ty będziesz przynętą. - Zaschło jej w ustach. - Przecież to szaleństwo!

Ardan zwrócił się do Gwynna.

- Zaprowadź siostrę w bezpieczne miejsce i uważaj na nią. - Podjechał bliżej. - A ty zrobisz, co powie Gwynn. Słyszysz? Żadnych głupstw.

Chwycił ją za kołnierz bluzki i przyciągnął do siebie. Jego pocałunek był dla niej zaskoczeniem. Namiętnie zagarnął jej usta, aż zakręciło się jej w głowie. Gdy ją puścił, krew szumiała w jej uszach, a serce waliło tak mocno, że zagłuszyłoby bez wysiłku odgłos kopyt całego stada koni.

- Bądź ostrożna - szepnął ochryple.

Elyria chciała coś powiedzieć, chciała na niego nakrzyczeć lub też błagać, żeby się od nich nie odłączał, jednak jego pocałunek tak bardzo ją poruszył, że nie była w stanie wypowiedzieć choćby jednego rozsądnego zdania. Ze wzrokiem utkwionym w jej oczach Ardan wyciągnął miecz i uderzył płazem ostrza w zad konia Gwynna. Zwierzę ruszyło do biegu. Gwynn chwycił cugle, sprowadził konia ze ścieżki i między drzewami przedzierał się przez las. Elyria schylała się pod nisko opadającymi gałęziami. Krzyknęła, gdy jej loki zaplątały się w gałęzie i zostały boleśnie wyrwane. Po chwili las stał się tak gęsty, że musieli zsiąść z konia i prowadzić go za sobą. Ledwie stopy Elyrii dotknęły ziemi, zawróciła, żeby biec z powrotem do ścieżki.

Gwynn ją złapał.

- Stój!

Próbowała uwolnić się z jego uścisku, ale jej nie puszczał.

- Nawet gdybym mu tego nie obiecał, pilnowałbym cię.

Owinął lejce wokół gałęzi, potem pociągnął Elyrię za sobą w cień drzew. Zwinęła się obok niego w poszyciu pożerana przez zmartwienie i roztrzęsiona jak nigdy przedtem. Nadal czuła wargi Ardana na swoich ustach. Była zła, że ją pocałował. Był żonaty! Jak mógł się na to ważyć! Było tyle rzeczy, o których chciała mu opowiedzieć. Rzeczy, o które chciała zapytać. Jego żona. Pocałunek. Jeśli coś mu się stanie. v Oparła się o pień drzewa i zamknęła

oczy. Dopiero teraz zauważyła, że wokół panuje nienaturalna cisza. Nie było słycać żadnego szmeru. Żadnego śpiewu ptaków ani innych odgłosów. Odleciały, gdy Elyria i Gwynn wdarli się w ich rewir. Jedynie cichy szmer wiatru zaplątanego w korony drzew wypełniał powietrze.

Potem ciszę przerwał krzyk.

- Tam z przodu!

Głuchy stukot kopyt, dochodzący z bliska, zmieszał się z nawoływaniem i parsknięciami koni. Elyria chciała się poderwać i podbiec, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale Gwynn chwycił ją w pasie i zmusił do pozostania na miejscu. Odgłosy stawały się coraz cichsze, aż zamarły, jednak nadal w napięciu nasłuchiwała dźwięków, które świadczyłyby o toczącej się walce. Zwinęła dłonie w pięści i walczyła z chęcią przywołania Ardana.

Wreszcie Gwynn się podniósł. Wziął ją za rękę i pociągnął w miejsce, w którym zostawili konia. Jedną ręką chwycił lejce, z drugiej nie wypuszczał dłoni Elyrii. Nieubłaganie ciągnął ją za sobą, głębiej w las, daleko od Ardana i Synów Eaghana.

Elyria podążała za nim, przekonana, że jeśli tylko ją puści, stanie bezradnie w miejscu. Jednak Gwynn nie zrobił tego. Nawet gdy po długim czasie zatrzymali się na chwilę, nie uwolnił jej dłoni. Rozglądał się badawczo między drzewami, na tyle długo, by złapała oddech.

- Musimy go poszukać.

- Już od dawna jest bezpieczny - wzrok Gwynna przeszukiwał gęstwiny. - W tej chwili bardziej martwię się o nas. Zgubiliśmy się.

Elyria chciała mu powiedzieć, że muszą po prostu iść przed siebie, aż kiedyś w końcu wyjdą z lasu, gdy jedna myśl jak zimna dłoń ostudziła jej głowę. „Okrażają nas”. Jeśli Ardan odjechał z powrotem ścieżką, wpadł im prosto w ręce. Jedyną wolną drogę wybrali oni. Drogę, którą Ardan nigdy nie pojedzie, żeby nie sprowadzić Synów na ich ślad.

- Mają go. On nigdy by...

„Jak go znajdziemy? Zeszliśmy z drogi”.

Po raz pierwszy Elyria dostrzegła otoczenie z pełną przytomnością. Odchyliła głowę, by ocenić pozycję słońca na niebie, i obejrzała mech ścielący się u nasady pni drzew. Potem podniosła dłoń i wskazała za siebie..

- Musimy udać się w tym kierunku.

- Skąd wiesz?

- Jechaliśmy z południa na północ, potem skręciliśmy na zachód i w końcu znowu na północ w las. Gdy patrzę na mech...

- Już dobrze. Idźmy po prostu. I tak nie mogę cię przecież przed tym powstrzymać...

Potrząsnęła głową.

- Wpadł w pułapkę Peristaesa. Nie będę... Chodź!

Niedługo potem odnaleźli ścieżkę, na której się rozdzielili. Mimo że wszystko w Elyrii krzyczało, żeby działać, zatrzymali się na jakiś czas wśród drzew i obserwowali otoczenie. Dopiero gdy byli pewni, że w pobliżu nie było nikogo, odważyli się wyjść z ukrycia i rozejrzeć dokoła. Upłynęło trochę czasu, zanim zobaczyli ślady kopyt, a jeszcze więcej, zanim zdołali wyciągnąć z nich jakieś wnioski. Ziemia była tak rozorana, że z trudem rozpoznawali, gdzie ślady się zaczynały, a gdzie kończyły lub w jakim kierunku prowadziły. Pojechali tropem prowadzącym szerokim traktem, z którego wcześniej zjechali. Strach nie opuścił Elyrii, jednak teraz, gdy mogła coś zrobić, czuła się na siłach, żeby nad nim zapanować.

Gdy tylko dotarli do drogi, wsiedli na konia i ruszyli przed siebie. Początkowo nie mieli trudności, by podążać tropem jeźdźców. Dopiero gdy zapadł zmierzch, a rosnące cienie się wydłużały, stało się to trudniejsze. Elyria wiedziała, że Gwynn za chwilę będzie nalegał, żeby rozbić obóz i pojechać za tropem Ardana dopiero następnego ranka. Jednak myśl o nocnym postoju była dla niej nie do zniesienia. Jak mogła wypoczywać, jeśli nie wiedziała, gdzie był Ardan? Dlaczego w ogóle się martwiła o tego łobuza? Niech szcześnie! Już w trakcie prób przekonania samej siebie, jak obojętny był jej jego los, zeskoczyła z siodła i kontynuowała wędrówkę na piechotę ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Noc już zaczęła przedzierać się między drzewami, gdy ponownie dotarli do rozwidlenia. Elyria uklękła, lecz to nic nie pomogło. Było już zbyt ciemno, żeby podążać jakimkolwiek tropem.

- Da sobie radę. - Gwynn położył jej rękę na ramieniu. - Jeśli Królewski Wilk nie umie na siebie uważać, to kto potrafi?

Podniosła się powoli. O mały włos, a poddałaby się naciskom Gwynna, gdy jej wzrok padł na plamę pomarańczowego blasku na niebie. Odbicie obozowego ogniska, niedaleko od miejsca, w którym się znajdowali.

- Tam! - wykrzyknęła.

- Zostań tu, rozejrzę się!

Elyria skuliła się pomiędzy ostatnim rzędem drzew i obserwowała obozowisko Synów Eaghana. Trzy wielkie namioty wyrastały z ziemi jak ponure cienie, a za nimi stały uwiązane konie. Kilku mężczyzn zebrało się wokół dużego ogniska pośrodku obozu. Wśród nich odcinała się sylwetka Peristaesa, czarny zarys przed pomarańczowoczerwonymi płomieniami. Jego widok spowodował w Elyrii chęć poderwania się i ucieczki, tak daleko, jak tylko ją nogi

poniosą. Wtedy jej wzrok padł na Ardana i zamarła. Klęczał przed Peristaesem z rękoma związanymi na plecach i prostował się z widocznym trudem. Jak bardzo pragnęła, żeby to była pomyłka i żeby zbiegł Łowcom Czarownic!

Peristaes kopnął Ardana w plecy tak, że ten padł twarzą na ziemię. Próbował natychmiast się podnieść, ale Peristaes postawił obutą stopę na jego karku i docisnął go do rozmięklej ziemi.

- Jeszcze raz was pytam: gdzie jest ta czarownica?

Gdy Ardan nie odpowiedział, Peristaes cofnął się o krok i skinął na jednego ze swoich ludzi. Zakonny wojownik zbliżył się i zamachnął. Kopnięcie trafiło Ardana w głowę i odrzuciło go na plecy. Kolejne trafienia w żebra, piersi i brzuch powalały go ponownie, gdy próbował się podnieść. Wtedy wojownicy złapali go za ręce i poderwali do góry. Brutalnym chwytem zmusili go do klęku przed Peristaesem.

- Gdzie ona jest? - powtórzył gniewnie Najwyższy Łowca Czarownic. - Ostatnio nie mam zbyt wiele cierpliwości. Dlaczego tak mi utrudniacie sprawę, Ardanie z Daormiru?

Ardan usiłował utrzymać swoją dumną postawę, chwiejąc się z zaciśniętymi ustami i twarzą lśniąca od krwi w płomieniach ognia. Dysząc, walczył o oddech, kasłał i spluwał.

Peristaes stanął za nim, złapał go za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu. Płynnym ruchem dobył sztylet i położył mu ostrze na gardle.

- Jeśli myślicie, że wam ją wydam, to się mylicie.

Oddech Ardana był urywany, jednak słowa zabrzmiały jasno, wyraźnie i słychać w nich było pełne zdecydowanie.

- Jak wolicie. Gdy jej obrońca będzie martwy, ona sama prędzej czy później wpadnie w ręce moich ludzi.

Peristaes skinął na jednego ze swoich pomocników i przekazał mu sztylet nadal przyłożony do szyi Ardana.

- Dokończ to - rozkazał zakonnemu wojownikowi.

Elyria nie mogła dłużej na to patrzeć. Mężczyzna, który jeszcze wczoraj twierdził, że uważa ją za bezwartościową dziewczkę uliczną, chciał oddać - za nią życie. „Nie z mojego powodu. Z powodu mojej magii”. Lecz co mu da ochrona magii, jeśli przy tym zginie? „Czy to oznacza, że robi to, żeby mnie...”.

Ta świadomość przelała czarę goryczy. Coś głęboko tkwiącego w duszy Elyrii przejęło panowanie nad jej zachowaniem. Nadszedł czas, żeby otworzyć skrzynię. To była potężna skrzynia zamknięta na łańcuchy i zamki. Zabezpieczona wielokrotnie. Sam dowód gotowości Ardana, żeby oddać za nią swoje życie, wystarczył jednak do wysadzenia

wszystkich zabezpieczeń w jednej chwili. Łańcuchy opadły na ziemię. Skrzynia otworzyła się gwałtownie. Magia była wolna i przeniknęła jej ciało łaskoczącym gorącem. Elyria wyszła spomiędzy drzew na polanę.

Ledwie wyłoniła się z gęstwiny, podniosła rękę do góry. Jej obawa o życie Ardana wyzwoliła się potężną falą, która sprawiła, że płomienie ogniska zaczęły buchać dziko dokoła z niewiarygodną siłą. Wojownik trzymający sztylet na gardle Ardana został powalony. Krzyki przecinały powietrze.

Elyrię ogarnęła słabość. Każdy krok sprawiał jej tyle trudu, jakby brodziła po kolana w bagnie. Szła przez polanę, zataczając się, i chciała nadbiec z pomocą Ardanowi, który właśnie usiłował się podnieść. Peristaes podniósł sztylet i zrobił krok w jego kierunku. Znajdował się za jego plecami, więc Ardan nie mógł go dostrzec.

Wzrok Peristaesa spoczął na Elyrii. Powoli unosił sztylet, szykując się do uderzenia. Dzika siła przepłynęła przez jej ciało, aż dziewczyna pomyślała, że eksploduje. Widziała już tylko Ardana i groźnie wycelowane ostrze w dłoni Peristaesa. Wtedy moc ponownie się uwolniła. Bezlitosna burza ognia przepłynęła tuż obok Ardana i pokryła Peristaesa niebieskawo połyskującymi językami płomieni. Elyria stała z rękoma podniesionymi do góry i podtrzymywała ogień, aż ostatnia resztką siły opuściła jej ciało. Wokół niej wszystko wirowało. Jej pole widzenia zwężiło się. Ardan wrzeszczał jej imię. Rozpaczliwy dźwięk, który jeszcze na moment utrzymał ją w rzeczywistości, zanim świat zwałił się na nią.

Gdy ponownie otworzyła oczy, stał nad nią Peristaes, cały i zdrowy. Jego pierścień chronił go przed jej magiczną mocą! Przecież mówił jej o tym w więzieniu! Gdzieś w oddali, być może w innym świecie, Ardan nadal wykrzykiwał jej imię. Chciała poderwać się na nogi, chciała się bronić przed Peristaesem, który wyciągał do niej ręce. Chwiejnie uklękła, podniosła rękę i skierowała ją na Najwyższego Łowcę. Nic się nie wydarzyło. Zużyła całą siłę. Całkowicie wyczerpana osunęła się na Peristaesa.

*

Pieszczotliwe palce głaskały go po policzku.

Ze strachu, że Elyria cofnie swoją dłoń, Ardan nie otwierał oczu i rozkoszował się jej ciepłym dotykiem. Tak wiele chciał jej powiedzieć o sprawach, których nie miał możliwości ujawnić. Żyła i była przy nim. To mu w tej chwili wystarczało.

Z każdą myślą ból coraz wyraźniej powracał, a wraz z nim także pamięć. Obóz Łowców Czarownic. Ogień. Peristaes! Ardan otworzył oczy.

To nie były palce, które pieściły mu policzki, lecz zabłąkany promień słońca. Precisnął się przez wąski świetlny otwór nad jego głową. Ardan leżał na kupie zgnitego

siana w wąskich, kamiennych murach zimnej i wilgotnej celi więziennej.

- Elyrio? - Ardan usiadł i rozejrzył się za nią, lecz był sam. Lodowate zimno ścisnęło go za serce. Bez opamiętania wykrzykiwał jej imię. Nawet jak Peristaes niósł ją na rękach, mijając go obojętnie, nie był w stanie przestać. Jej ciało zwisało bezwładnie, a w nieruchomej twarzy przerażał pusty wzrok. Tak tragicznie pusty. Ardan stracił przytomność, ledwie Peristaes zniknął z pola widzenia.

Z trudem spróbował wstać. Poczul w całym ciele ostry ból, który uniemożliwił oddychanie. Przycisnął rękę do żeber i poczekał, aż ból choć odrobinę zelżeje. Powoli policzył do dziesięciu, potem odważył się na kolejny oddech. Nie obyło się bez bólu, ale był już do zniesienia. Ostrożnie oparł się o ścianę. Wbił palce w szczeliny grubego muru i podciągał się cal po calu. Gdy wreszcie udało mu się stanąć, nogi drżały mu tak bardzo, że musiał ponownie oprzeć się plecami o ścianę.

Gdy właściwie przestał już odczuwać ból spowodowany kopnięciami i uderzeniami ludzi Peristaesa, nagle pojawiła się Elyria. Na jej widok wszystko w nim krzychało, że ma ją chronić. I ból powrócił z podwójną siłą - tak mu się przynajmniej zdawało. Jak strasznie był bezradny! Nic nie mógł zrobić. Absolutnie nic. Mógł się jedynie przyglądać, jak Peristaes przejmuje nad nią władzę. Gdzie był Gwynn, który obiecał trzymać nad nią pieczę? Czy ludzie Peristaesa go zabili, a może Elyria mu uciekła i teraz biedak przeczesuje lasy w jej poszukiwaniu?

Gdy Ardan zebrał w sobie trochę siły, odsunął się od ściany i podszedł do świetlika wykutego w szorstkim murze półtora metra nad jego głową. Była to wąska szczelina, nie szersza niż jego dłoń, na długość łokcia, skąpana w świetle słońca. Ardan wspinał się na palce, jednak nie zdołał dotrzeć do szczeliny. Kłujący ból przeszył jego żebra tak nagle, że mężczyzna gwałtownie wciągnął powietrze i opuścił ręce. Stał zgięty z dłońmi opartymi na kolanach, czekając, aż ból złagodnieje.

Chwilę później dobiegły go głosy zmieszane ze śmiechem. Podniósł się. Nie zwracał uwagi na ból. Podszedł do przeciwległej ściany i ocenił odległość. Trzema szybkimi krokami przeciął celę, odbił się i wyciągnął ręce do góry. Jego palce dotknęły dolnej krawędzi świetlika i zacisnęły się na niej. Ból eksplodował ognistymi kulami, lecz Ardan trzymał się kurczowo występu. Dyszał. Podciągnął się do góry i wsparł się nogami o kamienną ścianę. Oślepiony nagłym blaskiem zmrużył powieki i wyjrzał na zewnątrz.

Przed nim rozciągał się podwórzec. Wzrokiem przebiegł po murach twierdzy. To nie była siedziba zakonu w Travercore. Ardan założył, że chodzi o jedną z mniejszych strażnic Łowców Czarownic, które były rozrzucone na obszarze całego kraju. Pośrodku dziedzińca

stał wbity w ziemię drewniany pał. Kilku mężczyzn w prostym, szorstkim, lnianym odzieniu układało wokół niego drewno, chrust i słomę. Grupa Łowców nadzorowała pracę.

Spojrzenie Ardana z uporem wracało do stosu na środku dziedzińca. Wnętrza dłoni mu zwilgotniały i zaczął się powoli obsuwać. Nerwowo zmienił uchwyt, wytarł najpierw jedną, potem drugą dłoń o koszulę, zanim ponownie złapał się muru. Serce waliło mu panicznie w piersiach, ale musiał wytrwać. Ktoś otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec. Z cienia wyłonił się Peristaes, a za nim dwaj mężczyźni. Wlekli za sobą Elyrię. Powieki drżały jej, jakby za chwilę miała zemdleć. Miała nieruchomą i spopieloną twarz.

Ardan wbił mocniej palce w mur i wychylił się do przodu tak daleko, jak to tylko było możliwe.

- Elyrio!

Jej imię rozbrzmiało echem po dziedzińcu odbite przez mury.

Nie poruszyła się, nie okazała najmniejszego śladu życia. Osuwała się w rękach strażników.

Peristaes spojrzał w jego kierunku.

- Powiedźcie do widzenia waszej czarownicy i patrzcie, jak płonie!

Obcasy Elyrii szurały po ziemi, gdy mężczyźni wlekli dziewczynę do stosu. Jeden z nich wyprostował ją, a drugi przywiązał jej dłonie do pała. Głowa opadła jej na piersi i osunęła się, utrzymywana tylko częściowo przez więzy.

„Elyria”. Jedno wyszeptane słowo. Przypatrywanie się, jak mężczyźni układają wokół niej drewno, słomę i chrust, doprowadzało go prawie do utraty zmysłów. Spalą ją na jego oczach. Palce mu się zsunęły, stracił oparcie i upadł na podłogę. Ból wywołany upadkiem był niczym wobec cierpienia ściskającego jego serce. Bezradność zasznurowała mu krtań i uniemożliwiała swobodny oddech, a po policzkach spływały łzy.

Gdy otworzyły się drzwi do celi, nie poruszył się. Niech robią z nim, co chcą. To nie było ważne. Już nic nie było ważne. Ta kobieta trzymała w dłoniach jego serce. I nawet o tym nie wiedziała. Teraz jego serce spłonie razem z nią.

Nie! Nie, dopóki jest przy życiu! Ardan podniósł głowę i spojrzał na dwóch Łowców uzbrojonych w miecze, stojących w drzwiach.

- Już czas. Chyba nie chcecie, żeby ten spektakl was ominął?

Jeden z nich wkroczył do celi i podszedł do Ardana, drugi pozostał w drzwiach. Ardan został pochwycony i poderwany do góry. Jego zebra wysyłały fale protestującego bólu. Ciężko dysząc, stał chwiejnie na nogach. Spojrzeniem przeskakiwał od jednego do drugiego Łowcy i zerkał na korytarz. Nie było tam nikogo. Ardan pozwolił się popchnąć do drzwi,

wzrok miał utkwiony w mieczu wojownika. Nie będzie beczynn timer czekał, aż umrze. Spalona żywcem. Drzenie przebiegło przez jego ciało.

Gdy był dwa kroki od drzwi, rzucił się do przodu. Wysuniętym barkiem zderzył się z wojownikiem stojącym na progu. Nie myślał już o bólu, sięgnął po miecz mężczyzny. Jednak Łowcy nie dali się tak łatwo przechytrzyć. Wojownik z tyłu kopnął go w plecy i powalił na ziemię. Policzek Ardana otarł się boleśnie o szorstki kamień.

- Jeszcze wam nie dość? - Ciężki but na szyi przycisnął go do ziemi. - Powiniem wam tu i teraz złamać kark. Lecz macie szczęście. Pan chce, żebyście przyglądali się paleniu naszej czarownicy.

Ucisk na karku ustąpił. Chwilę później Ardan został ponownie poderwany z ziemi.

Kątem oka dostrzegł zbliżający się cień. Rozległ się stłumiony krzyk, a następnie hałas. Gdy Ardan pojął, że ktoś zaatakował drugiego strażnika i wtoczył go do celi, odwinął się i kopnął Łowcę, który nadal go trzymał. Mężczyzna, wyraźnie zaskoczony, że Ardan jest na tyle szalony, aby próbować kolejnej ucieczki, stracił równowagę i zrobił chwiejny krok. Ardan wbił mu pięść w szczękę. Łowcę odrzuciło na ścianę, która wyhamowała z chrzęstem jego upadek. Ardan zobaczył, jak otwiera usta. Jeśli teraz podniesie alarm, wszystko będzie stracone.

- Na dół! - krzyknął ktoś za nim.

Crean. Ardan padł na ziemię. Sztylet śmignął nad nim i wbił się w pierś Łowcy. Czerwona plama krwi rozlewała się powoli na białym kabacie, otulając złotą błyskawicę ognistą poświatą.

Ardan wpatrywał się jeszcze w krwawą plamę, gdy Crean podszedł do niego. Drugiego wojownika zamknął w celi Ardana.

- Nie mamy zbyt wiele czasu, pochodnie już płoną!

Crean podał mu dłoń i podciągnął go na nogi. Ardan nie tracił oddechu na bezsensowne pytanie, jak Crean się tu dostał. Nie interesowało go to. Może później się dowie.

Zamiast tego zapytał:

- Gwynn?

- Ściąga konie.

Ardan pochwycił miecz, który Crean mu podał.

- Czy jest jakiś plan?

- Zabrać Elyrię i zniknąć.

Crean wykrzywił usta w ponurym uśmiechu.

- Na zewnątrz jest Peristaes z osiemnastoma wojownikami. Ci, co szykują stos, nie

będą stali nam na drodze.

Wyciągnął swój sztylet z piersi martwego zakonnego wojownika.

- Wyjdźcie od tyłu. Tam czeka Gwynn z końmi. Potem musimy działać szybko. Zadbam o odwrócenie uwagi. Wy zabierzecie Elyrię. Gwynn zabezpieczy wam tyły. Jakies pytania?

- Jak chcecie ich odciągnąć?

Crean wskazał na zamknięte drzwi celi.

- Tym tam. - Potem dodał: - Czekaście na mój znak.

- Jaki znak?

- Tumult.

- Toż to czyste szaleństwo, czy zdajecie sobie z tego sprawę?

Crean kiwnął głową i wsunął miecz do pochwy.

- A teraz, kiedy wszystko wiecie, znikajcie. Ratujcie waszą dziewczynę!

Ardan pobiegł przed siebie. Dotarł do drzwi i pchnął je. Za nimi prowadziły schody do góry, na światło dzienne. Wbiegał po dwa stopnie naraz, aż wypadł na zewnątrz. Nie dał sobie czasu na ostrożne rozejrzenie się, pokonał ostatni stopień i wyszedł na zewnątrz. I miał szczęście. Na górze czekał Gwynn z końmi. W dłoni miał łuk i strzały, a na plecach - kołczan z większym ich zapasem.

- Tylko trzy konie?

Twarz Gwynna pociemniała.

- Po tym wszystkim, co widziałem, nie będzie w stanie samodzielnie jechać.

Ardan kiwnął głową, wskoczył na siodło i rozejrzał się. Schody wyprowadziły go z piwnicy na tyły budynku. Musieli objechać połowę zabudowań, żeby dotrzeć na dziedziniec. Z ulgą stwierdził, że nie była to umocniona twierdza. Nie było tu okalającego muru ani żadnej bramy, tylko budynki otaczające dziedziniec ułożone w podkowę. A nieopodal rozciągał się las. „Bogowie sprawcie, żeby to był mój szczęśliwy dzień!”.

*

Ledwie Ardan przeszedł przez drzwi, Crean zajął się więzieniem. Powalił Kiana, zanim go zamknął w celi. Przy odrobinie szczęścia Łowca mógł być nadal nieprzytomny. Ze sztyletem w dłoni podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Po raz pierwszy od chwili, gdy Gwynn znalazł go na drodze i całkowicie załamany opowiedział, co się stało, panowała cisza. Taka cisza, że prawie bolało.

Położył wolną dłoń na ryglu i odsunął go. Drzwi odchyliły się i zaskrzypiały cicho. Crean uniósł sztylet. Wewnątrz celi Kian właśnie usiłował się podnieść. Wbił w Creana

wzrok pełen zimnego żaru.

- Zdrajca! - Kian splunął.

Crean błyskawicznie pokonał trzy kroki dzielące go od niego.

- Podyskutujmy trochę.

Złapał Kiana, podciągnął go do góry i przycisnął sztylet poniżej serca do pleców.

- A teraz byłbym wdzięczny za odrobinę pomocy.

Kian sapnął.

- Dlaczego miałbym wam pomagać?

Crean wywinął rękę swojemu byłemu podwładnemu na plecy i wypchnął go przed sobą z celi.

- Ponieważ inaczej cię zabiję? - dał mu pod rozwagę.

- Nie jesteście mordercą, tylko tchórzliwym... ach! - słowa Kiana zakończyły się cichym okrzykiem bólu, gdy Crean mocniej docisnął jego rękę.

- Jeśli chcesz podtrzymać tę iluzję, nie powinienesz teraz patrzeć w lewo - powiedział gniewnie Crean. Naturalnie Kian popatrzył właśnie w tym kierunku, ledwie padły te słowa. Z ssykiem wciągnął powietrze, gdy zobaczył zwłoki swojego kolegi.

- Co jest? - zapytał Crean. - Czy chcesz teraz współpracować ze mną, czy wolisz się przysiąc do przyjaciela?

Brzydził się grożeniem człowiekowi, który przez wiele lat służył pod jego dowództwem, jednak nie miał innego wyjścia. Podjął już decyzję. Odwiodła go jeszcze dalej od jego ludzi, niż kiedykolwiek uważał to za możliwe. Ciężko było mu przyznać, że przez te wszystkie lata wykonywał rozkazy Peristaesa, nigdy się nad nimi nie zastanawiając. Dopiero ta dziewczyna musiała pojawić się w jego życiu i wzbudzić w nim współczucie, żeby zaczął myśleć. Mocniej przycisnął sztylet do pleców Łowcy.

Kian zeszywniał, usiłując zwiększyć odstęp między swoimi plecami a ostrzem, ale Crean trzymał go mocno.

- Czego chcecie? - wykrztusił, z trudem chwytając powietrze.

- Nie chcę być zmuszony do zabicia jeszcze jednego z was. Wszystko, czego chcę, to odzyskać dziewczynę. I jeśli ci życie miłe, zrobisz to, co ci mówię.

Przesunął Kiana w kierunku schodów prowadzących na dziedziniec.

- Wejdziemy teraz do góry. Oczekuję od ciebie, że przywołasz do siebie tylu ludzi, ile to możliwe. Powiedz im, że potrzebujesz pomocy przy więźniu.

Modlił się do bogów, żeby nie czekał na niego widok płonącego stosu, gdy otworzy drzwi. Eddan chce, żeby Ardan zobaczył ją na stosie. Nie podpali go, zanim nie przeprowadzą

Ardana. Ta myśl była jak modlitwa wspierająca odwagę Creana. Popychał Kiana do góry. Schody kończyły się ustępem, małą platformą szerokości trzech stopni schodów, ciągnącą się na długość konia. Zatrzymał się przed drzwiami. Było tu prawie ciemno. Ostatnie pochodnie umieszczono u stóp schodów - blask z trudem docierał do ich szczytu.

- Wiesz, czego od ciebie oczekuję. - Przyciągnął Kiana do siebie. - Jeśli chcesz odgrywać: bohatera i podnieść alarm, nie zapominaj, że nawet jeśli mnie dopadną, ty już tego nie przeżyjesz. Czy zrozumieliśmy się dobrze?

Kian przytaknął.

- Otwórz drzwi i cofnij się z powrotem w cień. Ale tylko na tyle, żeby dostrzegli ciebie, a nie mnie.

Puścił lewą rękę Łowcy, ale pokazywał mu wyraźnie, że nadal grozi mu niebezpieczeństwo. W każdej chwili mógł wbić ostrze sztyletu między żebra Kiana; wystarczyło wzmocnić chwyt na jego prawej ręce.

Kian wyciągnął rękę w kierunku drzwi. Creanowi wydawało się, że drżą mu palce. Lecz być może było to złudzenie spowodowane drgającym światłem pochodni. Nacisnął rygiel. Drzwi otworzyły się, skrzypiały cicho. Kanciasta plama słonecznego światła padła na ustęp schodów. Crean cofnął się do cienia, cały czas trzymał przed sobą Kiana. Wyjrzał zza jego pleców. Stali tam. Widzowie w białych mundurach. Szeregiem, żeby podziwiać spektakl, który sam w ostatnich latach musiał obserwować zbyt często. Nie mógł z tej pozycji dostrzec stosu. Nie dobiegł go jednak ani trzask ognia, ani syk płomieni, ani, dzięki bogom, krzyk. Jego wzrok padł na jednego z ludzi Peristaesa, stojącego obok swojego pana z płonąca pochodnią.

- Kapitanie Horan! - głos Kiana załamywał się.

Brzmiał rozpaczliwie. Crean był przekonany, że

Łowca w każdej chwili podniesie alarm niezależnie od tego, co to będzie oznaczało dla jego życia. Gdy kapitan odwrócił się, Kian wykrzyknął:

- Potrzebuję tutaj kilku ludzi. Więzień sprawia kłopoty. On...

Crean przycisnął go mocniej.

- Nie mów za dużo - syknął.

Na zewnątrz Horan dał znak swoim ludziom. Sześciu wojowników oddzieliło się z grupy i podeszło do drzwi.

- Pozwól im przejść - powiedział cicho Crean.

Mężczyźni podeszli bliżej. Crean pociągnął Kiana w cień. Pierwszy z Łowców schylił się w niskich drzwiach i wszedł na ustęp schodów. Spojrzał pytająco na Kiana. Szybkim

ruchem Crean przypomniał zakładnikowi o sztylcie umieszczonym przy plecach.

Kian wskazał głową na dół.

- Jest w swojej celi i... się awanturuje.

Kiwnął głową i zaczął powoli schodzić po schodach. Pozostałych pięciu podążyło za nim.

Crean zaczekał do momentu, aż ostatni mężczyzna był na schodach, puścił Kiana i posłał go kopnięciem w dół. Usłyszał krzyki mężczyzn, gdy Kian zepchnął ich ze sobą. To były długie schody i Crean miał nadzieję, że równie długo będzie trwało pozbieranie się Łowców.

Przełożył sztylet do lewej dłoni. Drugą dobył miecza i wypadł z głośnym wrzaskiem na dziedziniec.

Ardan prowadził konia wzdłuż budynków. Gwynn ciągnął za sobą konia Creana w przeciwnym niż Ardan kierunku. Po drodze Ardan zobaczył widły do gnoju oparte o ścianę. W tym samym momencie, gdy je dostrzegł, wiedział, że będzie ich potrzebować. Podjechał bliżej, złapał je bez zwalniania tempa. Z mieczem w jednej ręce i widłami w drugiej jechał dalej.

„Czekaj na mój znak”, powiedział Crean. Zanim Ardan dotarł do rogu, za którym otwierał się dziedziniec, powstrzymał konia. Po przeciwległej stronie dostrzegł Gwynna. Komediant trzymał łuk z nałożoną strzałą gotową do walki.

„Bogowie, Crean! Pospieszcie się!”. Ardan z trudem się hamował. Wiatr przywiał do jego ucha stłumione głosy. Zbyt ciche, żeby mógł zrozumieć słowa. „Pochodnie są już zapalone”, pomyślał. Obawiał się, że w każdej chwili może dotrzeć do jego nozdrzy woń dymu i ognia. Wtedy byłoby za późno. Jego niepokój przeniósł się na zwierzę. Koń ruszył do przodu. Ardan był skłonny go popędzić. Niemożność sprawdzenia, co się dzieje na dziedzińcu, była gorsza niż widok stosu. A co się stanie, jeśli będzie czekał zbyt długo? Co się stanie, jeśli Crean nie przyjdzie? Spojrzał na Gwynna, który siedział niespokojnie w siodle z zatroskaną miną. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Ardan uświadomił sobie powód, dla którego Gwynn mimo zmartwienia zachowywał się spokojnie i czekał. Ufał, że Ardan i Crean wiedzą, co robić.

„Obiecałem, że nigdy jej nie zawiodę. Nie będę dla niej wsparciem, jeśli teraz stracę głowę”. Ardan chwycił mocniej lejce i uspokoił konia. Zamknął oczy i odsunął od siebie wszelkie myśli o tym, co może spotkać Elyrię, jeśli ją zawiodą. Powiew wiatru owionął go i ostudził rozpaloną twarz. Był wojownikiem. Walka była jego zawodem. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by ją uwolnić. Nie było miejsca na niepowodzenie. Jego serce się uspokoiło. Palce

zaczisnęły się na mieczu. Przeniknęło go znajome uczucie: spokój przed walką.

Wyłączył wszelkie odczucia. Nie było już zmartwień ani strachu, pozostała jedynie wola zwycięstwa w czekającym go boju.

Krzyki przerwały ciszę. Zadzźwięczały miecze. Dosłyszał tupot ciężkich kamaszy. Bez wątpienia znak Creana. Ardan ścisnął boki konia i wyskoczył do przodu. Popędził konia wokół rogu i wypadł na dziedziniec.

Ułożony stos znajdował się w odległości dwudziestu metrów od niego, pośrodku dziedzińca. Za stosem, na drugim końcu placu, stał Peristaes ze swoimi ludźmi. Łowcy Czarownic byli mocno podnieceni. Była to zasługa Creana stojącego naprzeciwko kilku wojowników. Mierzył się z nimi, wywijając dziko mieczem. Mężczyźni niewyklani w walkę utworzyli wokół Eddana Peristaesa ochronny pierścień. Twarz Najwyższego Łowcy Czarownic poczerwieniała z wściekłości. Wbił spojrzenie w Ardana. Potem wrzasnął:

- Spalcie czarownicę! Podpalcie stos!

Gdy mężczyzna z pochodnią się zawahał, Peristaes wyrwał mu ją z ręki i cisnął z całej siły na stos drewna. Słoma i chrust natychmiast się zapaliły. Języczki płomieni lizały większe kawałki drewna, powoli je zajmując. Lodowate zimno wypełniło Ardana. Przez chwilę myślał, że serce przestanie mu bić. Elyria się nie poruszyła. Nieprzytomna zwisała w pętach z głową opadającą na bok.

Ardan zatknął miecz i obrócił konia. Szerokim łukiem okrążył stos, tratując przy okazji dwóch Łowców, którzy zachodzili Creana od tyłu. Kolejny Łowca padł martwy, trafiony strzałą Gwynna. Ardan popędził konia. Nie zwracał już uwagi na Creana. Były Łowca potrafił sam o siebie zadbać. Tymczasem płomienie zajęły dolną część stosu. Ciemny dym wznosił się do nieba. Ardan mocniej zacisnął dłoń na widłach, wychylił się w bok i wbił je w stos. Z całą siłą odrzucił drewno od pala. Odrzucone szczapy rozprysły się wokoło. Fruwały iskry. Rozżarzone punkty świetlne unoszące się w powietrzu powoli opadały na słomę u stóp Elyrii. Cienkie smugi dymu wirowały w górę, gdy słoma się zatliła. Małe płomyki urosły do potężnego płomienia buchającego tuż obok lewej ręki dziewczyny. Jakiś dźwięk zmusił Ardana do odwrócenia się. Jeden z Łowców zbliżył się do niego niebezpiecznie blisko. Z mieczem w dłoni szykował się już do ataku. Ardan rzucił w niego widły, ale ten się uchylił. Ardan wyciągnął miecz i skierował konia za pal. Pierwsze płomienie dosięgły już sukni Elyrii i wspinały się po jej rękawie. Ardan przytrzymał się siodła, opuścił się trochę na bok i przeciął pęta dziewczyny. Wolną dłonią chwycił ją za rękę, zanim zdążyła osunąć się w płonący stos drewna. Musiał upuścić miecz, żeby schwycić Elyrię. Wreszcie ją miał i wciągnął ją na siodło. Szybko ugasił płomienie na jej rękawie, objął

ją i obrócił konia.

Dopiero teraz dostrzegł tumult panujący wokół. Pałace się bierwiona leżały wszędzie dokoła, odcinając Łowcom drogę do Ardana. Zapas drewna służący do podtrzymywania stosu przez wiele godzin, zgromadzony przy jednej ze ścian budynku, zajął się ogniem. Płomienie lizały dach, obejmując coraz większą jego powierzchnię.

Ostry gwizd przeciął wrzawę wypełniającą dziedziniec. Koń Creana podszedł bliżej. Pod osłoną strzał Gwynna wojownik wskoczył na siodło i obrócił konia, nadal wywijając dziko mieczem.

Ardan popędził wierzchowca, dziękując bogom, że Łowcy nie nosili łuków czy kuszy. Galopem wyminął Gwynna, który nadal wystrzeliwał strzałę za strzałą, i pocwałował wprost do lasu. Za jego plecami rozległ się wściekły wrzask Peristaesa. Jeszcze długo dźwięczał mu w uszach.

15

Świat wirował. Elyria otworzyła oczy i spojrzała wprost na poważną twarz Ardana. Nieruchomym wzrokiem patrzył przed siebie. Bardzo powoli zdała sobie sprawę, że trzymał ją w objęciach i niósł jakimś korytarzem.

Łowcy Czarownic. Stos. Wspomnienia przesyły ją jak błyskawice podczas letniej burzy. Próbowwała go ratować i wpędziła ich w jeszcze większe tarapaty. Ale był żywy. I ona także. Jak to możliwe?

Po wybuchu magicznej mocy znajdowała się w stanie całkowitego wyczerpania. Mimo to chciała powiedzieć Ardanowi, że ma ją opuścić na ziemię, że może pójść sama. Być może będzie potrzebował wolnych rąk do walki. Lecz zamiast słów z jej ust wydobyło się jęklive westchnienie. Ardan natychmiast na nią popatrzył.

- Peristaes... - jej głos brzmiał słabo i łamliwie. - Nie mogłam...

- Ciii... Uciekliśmy im - odparł łagodnie. - Jesteś bezpieczna.

Oparła głowę o jego piersi i zamknęła oczy. Ciemne zmory dręczyły ją we śnie. Peristaes. Śmiejąc się w głos, trzymał ją w ramionach i obracał wkoło. Potem zobaczyła samą siebie na stosie. Płomienie trzaskały wokół, lizały jej suknię i zajmowały powoli tkaninę. Krzyczała, gdy ogień wżerał się w jej skórę, pochłaniał włosy i ciało. Peristaes potrząsał nią i wielokrotnie obracał. Podniósł dłoń i wskazał na postać klęczącą z rękoma związanymi na plecach. Ardan. Jakiś mężczyzna stał nad nim z mieczem i się zamierzał. Elyria szarpała się w rękach Peristaesa, usiłowała przywołać magię, lecz zużyła całą swoją siłę. Miecz świsnął w dół.

Z przenikliwym krzykiem Elyria obudziła się i otworzyła oczy. Siedziała na łóżku.

Koce zrzuciła z siebie, gdy we śnie usiłowała się uwolnić. Jedynym oświetleniem była mała świeczka na stoliku nocnym. Wyciągały się ku niej tańczące cienie. I nagle przy Elyrii znalazł się Ardan. Wyciągnął do niej ręce i chciał ją do siebie przytulić. Elyria cofnęła się, a ruch obudził ból w jej ciele. Zdziwiona spojrzała na siebie i odkryła pod lnianą koszulą, którą ktoś na nią włożył, gruby opatrunek pokrywający jej lewą rękę aż do barku.

- Co...? - Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy została zraniona. W zasadzie niewiele sobie przypominała od momentu, kiedy straciła przytomność w rękach Peristaesa.

- Ogień - zaczął Ardan chrapliwym głosem. - Chciałem... nie mogłem. Próbowałem wszystkiego.

Widok stosu mignął przed oczyma Elyrii. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie, jak ludzie Peristaesa ją na niego zaciągnęli. A potem już nic nie było.

- Naprawdę go podpalili? - wydusiła, choć wiedziała, że nie chce usłyszeć odpowiedzi.

Ardan skinął głową.

- Bez Creana i Gwynna bylibyśmy teraz martwi.

Opowiedział jej pokrótce, co się wydarzyło po tym, jak Peristaes ich ujął, i jak Creanowi udało się ich odnaleźć za pomocą pierścienia. Przysłuchiwała się jego opowieści, jakby mówił o obcych ludziach. To było tak, jakby siedziała metr od swojego ciała i obserwowała samą siebie w rozmowie z Ardanem.

- Kiedy to się stało? - zapytała całą wieczność po tym, jak Ardan skończył mówić.

- Trzy dni temu. Pędziliśmy na łeb, na szyję, jakby goniły nas demony Dziewiątego Piekła.

Ardan uśmiechnął się smutno. Dopiero wtedy zauważyła, że wyglądał na bardzo zmęczonego.

Rozejrzała się po komnacie. Patrzyła na ciężkie aksamitne zasłony, na szafę, kosztowne dywany i mocne, murowane ściany.

- Gdzie jesteśmy?

- Na zamku Daormir.

„To jego dom”. Podniosła do góry brew. „Dlaczego przyprowadził mnie właśnie tutaj?”.

Jakby mógł czytać w jej myślach, powiedział:

- Elyrio, muszę ci wyjaśnić kilka spraw. Ja...

- Oszczędź sobie trudu - wpadła mu w słowo. - Co tu w ogóle robisz? Dlaczego nie jesteś przy swojej żonie? Dlaczego mnie pocałowałeś?

Jakiś cień przemknął po jego twarzy.

- Idź - powiedziała cicho bez podnoszenia wzroku.

Tak bardzo pragnęła schować się w jego ramionach, lecz nie wolno jej było tego zrobić. Należał do innej. Nawet jeśli to bolało, nie stanie pomiędzy nim a jego żoną.

Kiedy Ardan się nie poruszył, krzyknęła:

- No już! Uciekaj! Zostaw mnie w spokoju!

Przez chwilę tylko na nią patrzył. W końcu podniósł się i podszedł do drzwi.

- Jestem obok, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Potem wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Elyria patrzyła, jak wychodził. Dysząc ciężko, opadła na poduszki i czekała, aż jej serce się uspokoi.

*

Ardan stał niezdecydowany na korytarzu. Uważał, że to dobry pomysł, aby znaleźć schronienie na zamku Daormir. Peristaes wiedział, kim jest i skąd pochodzi. Z pewnością nie wpadłby na tę myśl, że Ardan może być tak szalony, żeby ukrywać się właśnie w swoich włościach. To było powodem, dla którego się tu znaleźli. Gwynn z początku protestował, ale kiedy Crean się zgodził, on też na to przystał. Jechali okrężnymi drogami, starając się zacierać za sobą ślady. Podczas całej podróży Elyria tylko raz odzyskała przytomność. Magia wyczerpała ją bardziej niż wszystko inne do tej pory. „A jeśli moc rzeczywiście powoli ją zabija? Co się stanie, jeśli wybuch magicznej energii będzie pewnego dnia tak silny, że po prostu padnie martwa?”. Odsunął tę myśl od siebie. To się nie stanie. Odda mu magię i wszystko będzie dobrze. W tej chwili jednak musiał stawić czoło innej sprawie: Dayanara.

Kiedy wczorajszego wieczoru dotarli do zamku Daormir, nie było jej. Pojechała z wizytą do swojej kuzynki i oczekiwano jej dopiero następnego ranka. Spotkanie z żoną wzbudzało w Ardanie mieszane uczucia. Podczas gdy pozostali mieszkańcy zamku przyjęli powrót swojego pana z nieskrywaną radością, ona zareaguje zapewne z większym chłodem.

„Dawno już mnie tu nie było. A jeśli się zmieniła? A co się stanie, jeśli czas sprawił, że dostrzegła swoje błędy?”. Miał ochotę parsknąć śmiechem. Dostrzegła? Dayanara? Tak samo można by się spodziewać, że

Peristaes zaprzyjaźni się z magiem. Nie ma co oczekiwać cudu po spotkaniu z żoną.

Ardan odwrócił się i wpatrywał w drzwi komnaty Elyrii. Podczas ostatnich dni zachowywał się nieobliczalnie, nic dziwnego więc, że go odprawiła. Ochraniał ją, obrażał, a w końcu pocałował. Nie powiedział jej, że ją kocha, tak samo, jak nie wyjaśnił prawdziwego stanu swojego małżeństwa. Musiał natychmiast z nią porozmawiać. Zdecydowanym gestem

sięgnął do rygla i otworzył drzwi.

- Elyrio, ja... - „...chcę, żebyś mnie wysłuchała. To, co mam ci do powiedzenia, jest ważne”, chciał zacząć. Jednak zamilkł, gdy ją zobaczył. Zwinęła się pod przykryciem jak małe dziecko i spała. Ardan westchnął. Mimo że słowa paliły go w duszy, nie był zdolny do obudzenia jej. Na palcach przeszedł przez pomieszczenie i usiadł obok łóżka na krześle. Przez długi czas czuwał nad jej niespokojnym snem, aż wreszcie sam się zdrzemnął.

Następnego ranka Ardan zmusił Elyrię do bezruchu, podczas gdy zmieniał bandażę na jej rękę i smarował rany maścią. Z ulgą stwierdził, że poparzenia nie były rozległe. Skóra się zagoi. „Wróciła z mojego powodu”. Nadal nie mógł pojąć, jak niewiarygodną moc uwolniła, żeby go ratować. Kiedy smarował jej rękę chłodzącą maścią, wzdrygnęła się.

- Zaraz będzie po wszystkim - zapewnił ją.

- O tak, zapewne tak samo szybko się skończy, jak szybko się pozbędę magicznej mocy!

Zmarszczył czoło. Przez dłuższy czas tylko na nią patrzył. Cisza zaległa między nimi jak gruby lniany obrus, oddzielający ich od siebie.

- Rozumiem, że jesteś wściekła. - Zdumienie malujące się na jej twarzy pozwoliło mu mówić dalej. -

Ja... - Odłożył na bok maść i ujął jej dłoń. - Być może zrozumiesz mnie, gdy wszystko ci wytłumaczę.

Elyria odsunęła się od niego.

- Nie wiem, jak mam się wobec ciebie zachowywać - odparła cicho. - Najpierw jesteś miły i przyjazny, potem na mnie krzyczysz i oświadczasz, że chcesz się mnie pozbyć, a teraz nagle znowu... nagle mnie całujesz! Jesteś żonaty i mimo to... - mówiła z coraz większym gniewem. - Co będzie dalej? Zbudujesz mi stos? Zabijesz mnie swoim mieczem? Przecież tego nie zrobisz, mam twoją magię!

Ardan westchnął. Zdumiało go, że tak gwałtownie zareagowała na jego pocałunek. „Pewnie mniej jej chodzi o ten pocałunek niż o fakt, że jestem żonaty”.

- Tak, popełniłem błąd! Lecz próbowałem z tobą porozmawiać. Chciałem cię przeprosić! Chciałem ci wszystko wytłumaczyć! Ale ty mi na to nie pozwalasz! - Elyria wpatrywała się w niego. - Unikasz mnie, wzbranasz się przed wysłuchaniem! Wczorajszej nocy wyrzuciłaś mnie z mojej własnej sypialni! Jakim cudem mam ci cokolwiek wyjaśnić? Elyrio, proszę... - Ardan znów chwycił jej dłoń. Tym razem jej nie zabrała. - Porozmawiajmy o wszystkim w spokoju. Między nami...

- Czyżbym przysłała w nieodpowiednim momencie?

Ardan odwrócił się szybko. Nie słyszał, jak drzwi się otworzyły. Trwało to chwilę, zanim otrząsnął się z zaskoczenia. Dayanara!

Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał. Jej złote włosy okalały alabastrową twarz w starannie ułożonych lokach. Skóra lśniła jasno w porannym słońcu, a jasnoblękitne oczy były błyszczące i wielkie jak nigdy przedtem. Miała na sobie obcisłą suknię z miękkiego czerwonego jedwabiu, który podkreślał jej kształty.

Dayanara z Daormiru spojrzała na Elyrię z takim wyrazem twarzy, jakby patrzyła na robaka, po czym wbiła wzrok w małżonka.

- Nie wiedziałam, że sprowadziłeś sobie dziwkę. - Ton jej głosu wyraźnie wyrażał, co o tym myśli. Podeszła do niego. - Możesz ją już odesłać.

Elyria podskoczyła. Zimna wściekłość rozbłysła w jej oczach.

- Nie jestem żadną...

Ardan przytrzymał ją, bo widział, że zamierza rzucić się z pazurami na Dayanarę. Szarpała się, próbując uwolnić się z jego uścisku, ale była zbyt osłabiona.

- Uspokój się - szepnął jej do ucha. - Nie daj się sprowokować.

Kiedy upewnił się już, że nie zrobi żadnego głupstwa, puścił ją i zwrócił się do żony.

- Elyria nie jest dziwką.

- Skoro tak mówisz... - Dayanara wyduła pogardliwie usta.

Podeszła bliżej i przytuliła się do męża. Jej głos złagodniał nagle, podobnie jak ciało w jego ramionach.

- Brakowało mi ciebie, Ardanie z Daormiru... - westchnęła. Owionął go słodki zapach jej perfum, gdy uwodzicielsko przyciskała do niego swoje ciało. Ardan poczuł jej ciepło przez tkaninę sukni. Zawsze wiedziała, co mu się podoba i co musiała zrobić, żeby skruszał. Napłynęło do niego wspomnienie ich wspólnych nocy. Nocy oddalonych o całe życie lub jeszcze dłużej. Wtedy rozkoszował się każdą chwilą w jej ramionach. Dzisiaj dotyk jej rąk był mu obojętny. Nie odczuwał już tego niecierpliwego pożądania, które pojawiał się przed laty na jej widok. Trochę to trwało, zanim rozpoznał ogarniające go uczucie: obojętność.

Zmysłowy śmiech, który kiedyś doprowadzał serce do szybkiego bicia, teraz do niego nie docierał. Zbyt wiele wydarzyło się od tamtego czasu. Nie był już tym samym naiwnym młodzieńcem, który pragnął miłości, nawet kobiety zimnej i wyrachowanej, niepotrafiącej kochać.

- Daj spokój - odparł chłodno. Cofnął się, gdy Dayanara ponownie spróbowała się do niego zbliżyć.

Kiedy zrozumiała, że mąż nie dopuści jej do siebie, zmienił się wyraz jej twarzy.

Zniknęła uwodzicielska mina. Pozostała jedynie zimna wściekłość.

- Jak śmiesz! - krzyknęła, nie panując dłużej nad sobą. - Już nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra? Nie powiesz mi przecież, że bardziej ci się podoba ta łajza!

Ardan spojrzał na Elyrię, która znowu miała ochotę rzucić się na Dayanarę. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, do kogo należy jego serce. Namiętna wściekłość wywołana słowami Dayanary przywróciła rumieńce na jej policzki. Los wyznaczył mu nową drogę. I pójdzie nią, dokądkolwiek go zaprowadzi.

- Dayanaro, zaczekaj na mnie obok. Muszę z tobą pilnie porozmawiać.

Na chwilę oczom Ardana ukazały się prawdziwe uczucia Dayanary. Strach, który zobaczył w jej oczach, nie miał nic wspólnego z obawą, że mogłaby stracić męża. Było w nim zmartwienie o tytuł, dobrobyt i uznanie. Dayanara szybko się jednak opanowała. Spojrzała lekceważąco na Elyrię i wyszła z komnaty, szeleszcząc sukniami. Umiejętnie wystudiowane odejście.

- Cóż, mogę ci tylko pogratulować takiej żony - powiedziała z przekąsem Elyria, kiedy Dayanara znikła za drzwiami.

Ardan westchnął ciężko. Domyślał się nie bez racji, że po takim wstępie nie będzie chciała go wysłuchać. I tak lepiej było najpierw wyjaśnić sprawę z Dayanarą. Reakcja Elyrii na jego pocałunek dała mu jasno do zrozumienia, że nie stanie pomiędzy małżonkami.

- Posłuchaj, ukryjemy się tutaj przez kilka dni, dopóki nie poczujesz się lepiej. Peristaes i jego Łowcy nie będą nas szukać w moim zamku. Ruszymy w drogę, jak tylko nabierzesz sił, zgoda?

Wydawało mu się, że słyszy jakiś szmer przy drzwiach, więc się obejrzał. Drzwi poruszały się lekko w przeciagu. Dayanara nie zamknęła ich dobrze, gdy wychodziła.

- Usiądź, proszę, żebym mógł dokończyć opatrywanie twojej rany.

Wcisnął ją w poduszki, usadowił się obok niej, po czym wziął do ręki opatrunek. W milczeniu dokończył swoją pracę.

- Wiem, że moje zachowanie... - zaczął niepewnie. Potrząsnął głową. Nagle poczuł nieodpartą chęć udania się obok i powiedzenia Dayanarze tego, co chciał z siebie wyrzucić. Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze na chwilę i odwrócił do Elyrii.

- Muszę iść do Dayanary, a ty połóż się i odpocznij. Później porozmawiamy. Zaufaj mi, proszę.

Dayanara czekała na niego w salonie obok. Nalewała sobie właśnie wina do kieliszka.

- Może odrobinę burgunda? - spytała, kiedy go zobaczyła.

- Proszę.

Napełniła drugi kieliszek i podała go Ardanowi.

Skosztował wina. Wyborny, ciężki gatunek. Z kielichem w dłoni usiadł w fotelu.

- Usiądź - nakazał Dayanarze, gdy się nie poruszyła.

Potrząsnęła głową.

- Jeśli myślisz, że będę potulnie słuchać, jak odrzucasz mnie z powodu tej małej dziwki, to grubo się mylisz! Wiem, jak temu zapobiec!

- Nie mam zamiaru cię odrzucać - powiedział ze spokojem mężczyzny, który wreszcie odnalazł swoją drogę.

Po tych słowach Dayanara zatrząsa się ze złości.

- Nie próbuj mnie nabierać! - prychnęła. - Zauważyłam, jak na nią patrzyłeś! Na mnie nigdy nie patrzyłeś takim wzrokiem!

Kiedy przed dziesięcioma laty po raz pierwszy spotkał Dayanarę, myślał, że miłość przyjdzie po ślubie. Pożądanie mogło przecież przerodzić się w coś więcej. Jednak nie w tym przypadku.

- Nigdy mnie nie chciałaś, Dayanaro. Dla ciebie byłem tylko zabawką.

Ku swojemu zdumieniu nie czuł gniewu, gdy to powiedział. Żadnego zgorzknienia, żadnego bólu. Wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy. Wręcz przeciwnie. Chcę tylko...

- Nie! - Dayanara tak gwałtownie zareagowała, że kilka kropli wina ułało się z kielicha i poplamilo dywan. Małeńkie czerwone krople, jak krew.

- Nie będę przyglądać się w milczeniu, jak ta prostytutka zajmuje moje miejsce w towarzystwie! Jeśli myślisz, że przez te wszystkie lata wytrzymałam u twojego boku, aby teraz ustąpić twojej... twojej... utrzymance, to się mylisz!

Tak jak wiatr rozwiewa burzowe chmury, tak gniew ustąpił miejsca uśmiechowi na jej twarzy. Jej oczy pozostały zimne.

- Słyszałam waszą rozmowę.

Drzwi! Ardan stłumił przekleństwo.

- Co takiego słyszałaś? - spytał obojętnie. Bawił się przy tym frędzlem.

- Że jesteście ściągani. - Tym razem jej uśmiech był prawdziwy. - Przez Najwyższego Łowcę Czarownic!

Ardan odstawił kielich na marmurowy stoliczek obok fotela.,

- Obiecuję ci, że pozostaniemy na zamku tylko kilka dni.

- Wymień mi choć jeden powód, dla którego miałabym cię nie wydać! Tylko jeden!

Ardan podniósł się z fotela. Patrzył na jej twarz. „Moja żona”. Zobaczył

najpiękniejszą fasadę i skrywający się za nią ogrom wyrachowania.

- Bardzo proszę. - Uśmiechnął się ironicznie. - Jeśli wpadniesz na pomysł, żeby nas zdradzić, nigdy nie przepiszę na ciebie moich tytułów i dóbr.

- A jeśli będę milczeć, to...? - zaszcebiotała. Upiła wina i spojrzała na niego ponad brzegiem kielicha.

- Tak. Dostaniesz wszystko. I nigdy więcej mnie już nie zobaczysz. Uwolnię cię. Bądź szczęśliwa.

Zaśmiała się.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś aż tak głupi, żeby zrezygnować ze wszystkiego dla tej ulicznicy.

„A ja nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek pragnąłem czegoś innego...”, przemknęło mu przez głowę.

- Nie jestem taki jak ty. Oto cała tajemnica.

- Kiedy otrzymam stosowne dokumenty?

- Jeszcze dziś je sporządzę, ale podpiszę je dopiero w dniu naszego wyjazdu.

- Chcę mieć te dokumenty już dzisiaj, z twoim podpisem! - zażądała.

Z zimnym uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie, moje serce. Zamierzam dać ci dobry powód, żebyś ugościła nas jeszcze przez jakiś czas. W dniu naszego odjazdu zwrócę ci wolność. I ani chwili wcześniej. Czy to jasne?

*

„Jestem już za stary na takie rzeczy”.

Jalandar siedział skulony pod osłoną krzaków i obserwował z góry obóz Łowców Czarownic rozbity w kotlinie. Nogi mu zdrętwiały, mimo to jednak trwał mężnie na swoim posterunku.

Od czasu, gdy opuścił karczmę, żeby podążyć za dziewczyną i jej towarzyszami, czuł się tak, jakby gonił ducha. Zgubił ich ślady w lesie. Krótco potem natknął się po raz pierwszy na oddział Synów Eaghana. Jak na tak spokojną okolicę była to pokaźna grupa wojowników. Jeszcze bardziej go zdumiało, kiedy rozpoznał Najwyższego Łowcę. Później zobaczył jeńców, Elyrię i tego wojownika. Jalandar szedł trop w trop za Łowcami, zastanawiając się, czy mógłby coś zrobić dla tych dwojga. Musiał jednak zatrzymać się na skraju lasu i obserwować, jak Synowie dostarczają więźniów do jednej ze swoich strażnic. Pod osłoną drzew jeszcze raz objechał teren i odkrył dwóch innych towarzyszy dziewczyny, którzy skradali się w stronę budynków. Nie upłynęło wiele czasu, aż cała strażnica Łowców zamieniła się w bitewną wrzawę. Alarm bojowy. Krzyki. Ogień. Czarny dym wznosił się do

góry i zaciemnił niebo. Nagle z tego zamieszania wyłonili się jeźdźcy. Gdy tylko Jalandar ich rozpoznał, natychmiast ruszył w ślad za nimi, byli jednak piekielnie szybcy. Znów ich zgubił. Wszystko, co mógł zrobić, to deptać po piętach Łowcom w nadziei, że w ten sposób znowu wpadnie na trop dziewczyny. Poprzedniego poranka Łowcy rozbili obóz w kotlinie. Zaraz potem Najwyższy Łowca wyruszył z kilkoma ludźmi w drogę. Jalandar zastanawiał się, czy powinien jechać za nimi, ostatecznie jednak zarzucił ten pomysł, przecucie mówiło mu bowiem, że wróci do Travercore, podczas gdy jego ludzie będą dalej szukać dziewczyny.

Elyria. Już samo to imię powodowało wybuchy gorąca w jego wnętrzościach. „O, Lifiyah, czy kiedykolwiek pomyślałabyś, że pewnego dnia ją odnajdę?”. Smutno pokiwał głową. „Wszak od początku wiedziałaś o jej przeznaczeniu, nieprawdaż, stara przyjaciółko?”.

Kilka godzin po wyjeździe Peristaes wrócił ze swoimi ludźmi do obozu. Od tego czasu już go nie opuszczał i tylko jego wojownicy robili sporadyczne wypadki w mniejszych grupach, aby przeczesać całą okolicę.

Wczesnym popołudniem w obozie zapanował niepokój. Wrócił jeden ze zwiadowców Peristaesa. Zeskoczył z siodła i przyklęknął przed swoim panem. Peristaes siedział na kamieniu przed namiotem i patrzył zniecierpliwiony na mężczyznę.

- Mów, człowieku! Znaleźliście ją?

- Nie, panie - wojownik spuścił głowę. - Ale księżna Daormiru jest w drodze do naszego obozu. Będzie...

W tej samej chwili do obozu wjechała konno jasnowłosa kobieta otoczona ludźmi Peristaesa. Najwyższy Łowca Czarownic podniósł się natychmiast z kamienia. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy szedł na spotkanie księżnej.

- Dayanara z Daormiru. Witaj. - Podał jej rękę, kiedy zsiadała z konia. - Nasze drogi krzyżują się szybciej, niż się tego spodziewałem.

Jalandar zastrzygł uszami i przysunął się bliżej do skarpy. Przywarł brzuchem do podłoża i przesunął się trochę dalej do przodu. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że Peristaes zaprowadził swoją piękną towarzyszkę nie do namiotu, lecz do ogniska. Zapropował jej miejsce na jednym z okalających je kamieni, odmówiła jednak z uśmiechem.

- Kiedy spotkaliśmy się wczoraj w posiadłości mojej kuzynki, powiedzieliście, że szukacie mojego męża. Nigdy bym nie uwierzyła, że możecie mieć rację, a tu proszę... - Pokręciła głową. - Musiał całkiem oszaleć, żeby powrócić do Daormiru.

Nawet z tej odległości widać było, że jest wściekła.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Był na tyle bezczelny, żeby sprowadzić tę nierządnicę. Do mojego domu!

- Elyria - na twarz Peristaesa wypłynął uśmiech zadowolenia.

- Możliwe, że tak się nazywa. - Księżna machnęła lekceważąco ręką. - Chce przepisać na mnie wszystkie tytuły i dobra, żebym tylko zwróciła mu wolność. Głupiec!

Najwyższy Łowca Czarownic zmarszczył czoło.

- I pomimo jego szczodroblewości zamierzacie go zdradzić?

- Nie jego, tę czarownicę. Pomogę wam schwytać tę dziwkę, jeśli dacie mi wasze słowo, że oszczędzicie mojego męża.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Inaczej nie dostaniecie czarownicy.

Dayanara z Daormiru spojrzała na Peristaesa z wyższością.

- Zbyt dużo mam do stracenia. Jeśli się rozniesie, że mój mąż jest zamieszany w tego rodzaju intrygi... - Potrząsnęła głową. - Chcę mieć wasze słowo, Peristaesie! Inaczej nici z naszej umowy.

- Zatrąszczę się osobiście, żeby reputacja wasza i waszego małżonka nie doznała żadnego uszczerbku.

Podał jej ramię i odprowadził z powrotem do konia. Kiedy już pomógł jej wsiąść na siodło, skłonił się z galanterią.

- Nie zamykajcie zbyt dokładnie bram waszej siedziby.

Księżna skinęła mu głową i odjechała. Jalandar się wycofał. Oparł się o drzewo i zamknął oczy. Musiał coś przedsięwziąć, choć czuł, że był naprawdę zbyt stary na takie rzeczy.

*

Po rozmowie z Dayanarą Ardan wrócił do swojej sypialni. Chciał wreszcie wyjaśnić Elyrii, że jego małżeństwo z Dayanarą było inne, niż to sobie wyobrażała. Przede wszystkim zaś pragnął jej wyznać, dlaczego ją pocałował. Zanim jednak zdążył wejść do jej komnaty, drzwi otworzyły się nagle i na korytarz wysunął się Gwynn.

- Zasnęła.

Ujął Ardana za ramię i poprowadził go dalej w głąb korytarza.

- Dajmy jej teraz spokój.

Jakim cudem mógł jej cokolwiek wyjaśnić, jeśli nigdy nie miał ku temu sposobności?!

- Czy coś mówiła?

Gwynn spojrzał bystro na Ardana.

- Rozmawiałeś już z nią?

- Niestety. Przerwano nam.

- Słyszałem o tym co nieco... - Gwynn uśmiechnął się wymownie. - Elyria nie ma najlepszego zdania o twojej żonie. A jak było naprawdę?

Ardan opisał zwięźle rozmowę z Dayanarą, bez wdawania się w szczegóły.

Gwynn gwizdnął cicho.

- Ciekawe, co na to Elyria. Bądź co bądź, chcesz dla niej wszystko poświęcić, a to nie zdarza się zbyt często...

- Właśnie chciałem jej o tym powiedzieć. - Westchnął. - Teraz potrzebuje snu. Później z nią porozmawiam. Wybacz, ale mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Szybko pożegnał się z Gwynnem i poszedł do swojego gabinetu.

Zamknął za sobą drzwi, zapalił świecę, a następnie położył na biurku arkusz pergaminu, pióro i wosk do pieczęci. Zanurzył pióro w kałamarzu. Przez chwilę siedział nieruchomo, zastanawiając się, co powinien napisać. Wreszcie słowa wypłynęły razem z atramentem i ułożyły się w tekst, który miał zwrócić mu wolność.

Kiedy już wszystkie dokumenty zostały sporządzone, Ardan odłożył pióro na bok i spojrzał w zamyśleniu na pergamin. W świetle świecy litery były podobne do swawolnych istot żyjących własnym życiem. Odchylił się w fotelu i przyglądał się zadowolony, jak wysychają ostatnie krople atramentu. Brakowało jeszcze tylko jego podpisu, żeby na zawsze zakończyć związek z Dayanarą. Beztroski uśmiech rozpromienił mu twarz. Znalazł sposób, żeby zamknąć przeszłość. Koniec, kropka. Nie martwił się przy tym ani trochę, że zrzeka się swojego majątku. Interesowała go tylko przyszłość. I Elyria.

Kiedy podniósł wzrok, zauważył, że zrobiło się późno. Płomień jednej świecy nie wystarczał już na oświetlenie tonącej w ciemnościach komnaty. Cienie mnożyły się w kątach jak drżące czarne zmory. Nie zwrócił nawet uwagi, jak szybko minął czas. Sięgnął po pióro i zanurzył je w kałamarzu. Przez chwilę końcówka znieruchomiała w powietrzu. Ardan chciał podpisać dokumenty w dniu, w którym będą opuszczać Daormir. Teraz jednak coś go naciskało, żeby zamknąć raz na zawsze przeszłość i nigdy do niej nie wracać. Dopiero wtedy będzie naprawdę wolny. Zdecydowany opuścił pióro i złożył podpis pod dokumentem. Poczekał, aż atrament wyschnie, zwinął pergamin, po czym opatrzył go swoją pieczęcią. Przez chwilę przyglądał się z zadowoleniem swojemu dziełu, po czym schował je do szuflady biurka.

Podniósł się z fotela, rozprostował kości i nagle poczuł głód po wykonanej pracy. A ponieważ wiedział, że o tej godzinie nie spotka nikogo w Wielkiej Sali, udał się więc prosto do kuchni.

Na zamku Daormir panowała cisza. Ożywione rozmowy służby ucichły, korytarze,

oświetlone słabo kilkoma pochodniami, opustoszały. Ardan przemykał się, jakby był intruzem we własnym zamku. „Niedługo nim będę, bo Daormir nie będzie już do mnie należeć”. Otworzył drzwi i wszedł do kuchni. Było ciemno, ale w pomieszczeniu utrzymywało się jeszcze ciepło dopalających się dREW na palenisku. Zapach pieczystego i zupy sprawił, że ślina napłynęła mu do ust. Wziął do ręki latarnię wiszącą na haku obok drzwi, zapalił ją i postawił na stole. Potem rozejrzał się za czymś do jedzenia. Wreszcie usiadł przy stole z miską gęstej zupy i kuflem piwa i zajął się jedzeniem. Nie zdążył jeszcze opróżnić miski nawet do połowy, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Fergal, zarządca stajni.

Gdy dostrzegł Ardana, zatrzymał się w pół kroku.

- Panie, nie wiedziałem, że jesteście tutaj o tak późnej porze. Nie będę wam przeszkadzać.

Skłonił się i chciał już odejść, lecz Ardan przywołał go do siebie.

- Wejdz, Fergal! Śmiało.

Łysa głowa zarządcy zaśniła w świetle latarni, gdy podszedł bliżej i przysiadł się do Ardana.

- Za pozwoleniem, panie, tak długo was tu nie było, że... - urwał nagle.

- Nie spodziewałeś się zastać mnie w kuchni?

Fergal kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Kiedyś często siedzieliście tu z nami, rozmawiając o tym, jak minął dzień. Czy mogę coś szczerze powiedzieć? - Gdy Ardan przytaknął, ciągnął dalej. - Dobrze, że wróciliście. Możecie spytać każdego. Wszyscy to mówią.

„Twoja radość będzie trwała krótko, mój dobry człowieku”.

- Czasami nie możemy wybierać, dokąd poprowadzi nas los.

- To samo myślą pewnie ci biedni wojownicy, którzy jadą nocą, zamiast grzać się przy ognisku.

Ardan spojrzał na niego z ciekawością.

- Wojownicy?

- Byłem właśnie na dole w wiosce z powodu klaczy Cola. Widziałem ich w powrotnej drodze.

Upił łyk piwa.

- Cała drużyna Synów Eaghana. Oni...

Ardan podniósł się tak szybko, że trącił nogą stół i przewrócił kufel z piwem. W głowie huczało mu od myśli i uczuć. Zwrócił się do Fergala, który patrzył na niego zdumiony.

- Fergal! Potrzebuję czterech ochotników. Mają natychmiast stawić się na dziedzińcu -

w swoich pelerynach. Osiodłajcie osiem koni. Pospiesz się!

Fergal skoczył na równe nogi i pobiegł do drzwi, Ardan powstrzymał go jednak.

- Zaczekaj. To może być niebezpieczne. Musicie o tym wiedzieć...

Fergal skinął głową z powagą.

- Tak, panie.

Potem odwrócił się na pięcie, żeby wypełnić rozkazy.

Ardan pognał za nim korytarzem do schodów. Przeskakiwał po dwa stopnie, aż wbiegł na górę i popchnął drzwi do komnaty Gwynna. W środku było ciemno. Jedyne wąska smuga światła z korytarza rozpraszała mrok. Ardan dopadł do łóżka i potrząsnął Gwynnem.

- Co do...? - Chłopak zamrugał powiekami i spojrzał na Ardana.

- Łowcy Czarownic! Są tutaj! Weź swoje rzeczy i sprowadź Creana, a ja zajmę się Elyrią. Spotkamy się w stajni!

Bez czekania na odpowiedź Ardan wrócił na korytarz.

Wpadł do komnaty Elyrii i zaczął ją budzić.

- Znaleźli nas! Musimy uciekać!

Chwycił ją za rękę i pomógł stanąć na nogi. Potem podał jej ubranie. Szybko założyła koszulę i spodnie, ponieważ jej suknia była tak podarta, że Ardan ją spalił. Chwiała się i prawie straciła równowagę. Szybko podał jej ramię, żeby mogła się oprzeć przy zakładaniu butów do jazdy konnej. Kiedy tylko się ubrała, chwycił swój plecak, pelerynę i pas z bronią, wziął Elyrię za rękę i pociągnął za sobą.

Dotarli do stajni równocześnie z Fergalem i trzema innymi mężczyznami, których imion Ardan nie mógł sobie przypomnieć. „Pomagają mi z dobrego serca, a ja nawet nie pamiętam ich imion...”, przemknęło mu przez głowę. Nie była to jednak dobra chwila na takie przemyślenia.

Mężczyźni chwycili siodła oraz uprzęż i popędzili do boksów. Crean i Gwynn siodłali już swoje konie. Ardan zarzucił sobie siodło na ramię i podszedł do swojego” ogiera. Kiedy zobaczył, że Elyria chce mu pomóc, natychmiast ją powstrzymał.

- Będziesz potrzebowała swoich sił dzisiejszej nocy.

- Ile mamy czasu?

- Ani chwili.

Kiwnęła głową i zsunęła jego dłoń z ramienia, a następnie sięgnęła po koc pod siodło i zabrała się do pracy. Ardan patrzył na nią w milczeniu, ale nie podjął już kolejnej próby powstrzymania jej. Musi sama się przekonać, ile może na siebie wziąć.

Gdy wyprowadzali konie ze stajni, Dayanara stała na dziedzińcu. Biała koszula nocna

owiewała jej smukłą postać.

- Nie możesz tak po prostu przychodzić i odchodzić wedle swojego uznania! - krzyknęła. - Jak długo tym razem cię nie będzie? Rok? Dwa? Zawsze?

- Przecież już to sobie wyjaśniliśmy. Dokumenty, które cię interesują, znajdziesz na moim biurku. Podpisane. - Ardan chciał ją wyminąć.

Dayanara zastąpiła mu drogę.

- Nie możesz tak mnie traktować!

W jej oczach Ardan wyczytał prawdę.

- To ty sprowadziłaś Łowców Czarownic.

- Zrobiłam to dla nas, Ardanie.

- Dla nas? - warknął. - Nie ma żadnych nas!

Dayanara chwyciła go za rękę. Jej dotyk był prawie czuły.

- Zaczniemy wszystko od nowa. Wróc ze mną na dwór w Travercore!

Zatem o to jej chodziło! Jeśli zwróci jej wolność i wszystko przekaże, dostanie tytuł i złoto. Lecz to jej nie wystarczyło. Chciała wrócić na dwór, a do tego potrzebowała Ardana. To on cieszył się względami króla. Bez niego monarcha nie tolerowałby jej obecności na dworze. Ardan chciał ją odsunąć na bok, ale trafił na opór.

- Wiem, co zamierzasz - syknął. - To bezsensowne, Dayanaro. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

- Z powodu tej nierządniczy?!

Dayanara rzuciła się na niego z pięściami. Wibrujący świst przeszył nagle powietrze, a zaraz po nim rozległo się głucho uderzenie. Księżna otworzyła oczy ze zdumienia, usta zamarły jej w niemym krzyku, a potem opadła na kolana. Strzała zakończona białymi piórami wystawała z jej pleców. Strzała przeznaczona dla piersi Ardana.

- Łowcy Czarownic! - Ardan pociągnął Elyrię za siebie.

Popchnął ją w cień stajni, a następnie ogarnął szybkim spojrzeniem dziedziniec i okalające go mury.

Gwynn, który schował się obok niego, przyszykował łuk i nałożył strzałę.

- Tam, na górze!

Ardan wskazał na jakąś postać, która starała się ukryć za ustępem muru w chodniku ze strzelnicami. Nie dostrzegłby jej, gdyby nie biała peleryna Synów.

Gwynn napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Chwilę później biała postać spadła na mur.

- Widzicie jeszcze kogoś? - szepnął Crean.

Popatrzyli z natężeniem w górę. Wreszcie Ardan potrząsnął głową.

- Chyba nie...

„Gdzie u kata jest straż przy bramie?”, zadał sobie w duchu pytanie. Dopiero teraz dostrzegł, że brama była lekko uchylona.

- Rozejrzyjmy się na murach.

Już chciał tam pobiec, ale Gwynn złapał go za rękę.

- Zrobimy to z Creanem. Ty zostań tutaj.

Ardan spojrzał na Elyrię. Skuliła się za nim, przyciśnięta plecami do ściany stajni. Wpatrywała się w Dayanarę leżącą nieruchomo na dziedzińcu.

- Idźcie, ale bądźcie ostrożni.

Pobiegli obaj. Jeden z łukiem i pękiem strzał w dłoniach, drugi z mieczem. Pochyleni mignęli wzdłuż muru, i skierowali się do schodów. Przystanęli na chwilę, rozejrzeli się po dziedzińcu, zerknęli w górę, a potem popędzili schodami i zniknęli z pola widzenia.

- Jak brzmią rozkazy, panie? - dopytywał się Fergal.

Fergal i jego ludzie nie byli wojownikami. Tej nocy będą musieli jeszcze wiele zdziałać, zatem nie będzie ich teraz narażać na niebezpieczeństwo.

- Pilnuj Elyrii, Fergal. Pozostańcie w ukryciu.

Ardan wyciągnął miecz i obszedł dziedziniec. Zbliżając się powoli do bramy, starał się pozostać w cieniu stajni i budynków gospodarczych. Przyjrzał się uważnie malutkiej strażnicy obok bramy. Wokół panowała nienaturalna cisza. Przez szpary drzwi nie przenikał żaden promyk światła. Ardan jeszcze raz się rozejrzał i podszedł z boku do drzwi strażnicy. Kiedy nadal nie usłyszał żadnego odgłosu, otworzył je powoli. Stał w progu z podniesionym mieczem. Światło księżyca wpadało do małego pomieszczenia, ukazując strażników. Trzech z nich siedziało na swoich krzesłach z głowami opartymi na stole, reszta leżała na ziemi. Na blacie stołu stały opróżnione do połowy kufle, jeden był przewrócony. Ciemny płyn wsiąkał w surowe drewno, połyskując na jego powierzchni. Gdy Ardan się upewnił, że prócz nieprzytomnych strażników nie ma tu nikogo, wszedł do środka. Przykucnął obok jednego z mężczyzn, dotknął jego szyi i wyczuł, że pulsuje w nim życie. Mężczyzna poruszył się, a potem otworzył oczy. Kiedy dostrzegł swojego pana, przeraził się i próbował usiąść. Ardan mu pomógł.

- Jesteś ranny?

Strażnik potrząsnął głową. Po chwili zaczęli się poruszać także jego towarzysze.

- Kuchenny przyniósł nam piwo. Poczęstunek od księżnej, tak nam powiedział.

Ardan podniósł się i podszedł do stołu. Sięgnął po kufel i powąchał jego zawartość. Ciężki zapach piwa uderzył go w nozdrza. Już chciał odstawić z powrotem kufel, kiedy

poczuł też inny zapach, ledwo wyczuwalny opar. Jeszcze raz wciągnął powietrze. Tym razem rozpoznał lekko gryzącą korzenną nutę.

- Środki nasenne...

Odstawił kufel. Dayanara! Wyeliminowała strażników z gry i otworzyła bramę, zanim stanęła Ardanowi na drodze, żeby go powstrzymać. Cień żalu, który odczuwał po jej śmierci, ulotnił się jak kamfora.

Popatrzył na mężczyzn, którzy jeden po drugim podnosili się z ziemi. Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Ardan szybko przedstawił im swój plan, a gdy zakończył, rozkazał:

- Idźcie do stajni i czekajcie tam na mnie. Czekajcie na mój znak.

Przepuścił strażników przed sobą, po czym sam wyszedł na dziedziniec. Jego wzrok padł na bramę, która wciąż była uchylona. Szybko domknął skrzydło i nałożył kłodę. Jakiś ruch na murze przykuł naraz jego uwagę. Crean i Gwynn przemykali kamiennymi schodami w dół, rozglądając się dookoła. Gdy dostrzegli Ardana przy bramie, podbiegli do niego.

- Nie ma więcej Łowców. Przynajmniej wewnątrz tych murów - poinformował go stłumionym głosem Crean. „- Ludzie Peristaesa czekają na skraju lasu, w odległości około dwustu metrów. - Uśmiechnął się lekko.

- Białe peleryny w świetle księżyca. Prawdopodobnie ten, którego trafiliśmy, miał dać im znak.

- Jesteśmy w pułapce - warknął zgnębiony Gwynn.

- Niekoniecznie.

Ardan machnął ręką i zawrócił do stajni. Tym razem nie chował się w cieniu murów. Crean i Gwynn podążyli za nim.

- Co chcecie zrobić?

Ardan uśmiechnął się zuchowato.

- Pozbędziemy się ich - oświadczył, po czym krzyknął w stronę stajni. - Fergal! Już czas! Crean, daj mu swoją pelerynę.

Na twarzy Creana pojawiło się całe mnóstwo pytań, lecz nic nie powiedział. W milczeniu zdjął z siebie białą pelerynę Zakonu i podał zarządcy stajni. Fergal założył ją i naciągnął kaptur na twarz. Pozostali trzej mężczyźni także okryli się pelerynami w ciemniejszym kolorze.

- Jedźcie drogą - polecił Ardan. - Cwałem, pochyleni. Tuż przed skrajem lasu zdejmijcie kaptury i pokażcie się. Potem uciekajcie w bezpieczne miejsce.

Fergal skłonił się i wskoczył na siodło. Jego ludzie zrobili to samo. Ardan

przypatrywał się, jak otwierają bramę i wyjeżdżają z zamku. Przebiegł przez dziedziniec i wpadł na schody prowadzące na chodnik ze strzelnicami. Spoglądał na czterech jeźdźców cwałujących drogą. Pomędzy drzewami wśród ludzi Peristaesa zapanował niepokój. Wyglądali jak białe punkty wirujące w świetle księżyca.

Crean podążył za nim.

- Ufam, że ten zamek ma jakieś tylne wyjście?

Ardan przytaknął.

- Małą boczną furtkę za szklarnią.

- Dobry plan. - Crean się uśmiechnął. - Nie powinniśmy jednak zbyt długo zwlekać z ucieczką. - Odwrócił się. - Wydostańmy się stąd jak najszybciej.

Ardan chwycił go za rękę.

- Nie tak szybko, przyjacielu.

- Jak długo chcecie jeszcze czekać? Kiedy zobaczą, że tam na zewnątrz to nie my, tylko... - przerwał i wpatrywał się w Ardana. - Będą szukać innego wyjścia i okrążą zamek.

Teraz Ardan się uśmiechnął.

- Słusznie.

- Będziecie czekać, aż wyruszą, żeby capnęli nas przy bocznej furtce? - W tym momencie coś mu zaświ-tało.- Wcale nie chcecie wychodzić bocznym wyjściem, prawda? Zamierzacie wyjść przez bramę, jak tylko wyruszą na poszukiwanie naszej rzekomej kryjówki!

- Taki był pierwotny plan.

Ardan spojrzał ostatni raz w dół. Fergal i jego ludzie już prawie dotarli do skraju lasu. Niecałe trzydzieści stóp od pierwszego rzędu drzew zatrzymali konie i wyprostowali się w siodłach. Ardan modlił się w duchu, żeby ludzie Peristaesa nie zaczęli natychmiast strzelać. Fergal podniósł dłoń, zsunął kaptur i pokazał ciemną czuprynę. Reszta poszła za jego przykładem. Przez chwilę ich konie stały spokojnie, potem spięli je ostrogami, odwrócili i skręcili tuż przy skraju lasu.

Wśród Łowców Czarownic zapanowało podniecenie. Wywrzaskiwano rozkazy. Ardan odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że ludzie Peristaesa nie marnują czasu na Fergala i jego trzech towarzyszy. Zgodnie z jego przewidywaniami Łowcy ruszyli się z lasu. Wyprowadzili konie i dosiedli je w wielkim pośpiechu. Peristaes podzielił mężczyzn na dwie grupy. Jedna okrążyła zamek z lewej strony, pozostali wybrali odwrotny kierunek.

Ardan odwrócił się i spojrzał w dół na dziedziniec, gdzie czekali jego strażnicy. Crean nie mylił się. Plan był taki, żeby odwrócić uwagę Łowców Czarownic od głównej bramy, a

potem szybko wyjechać nią z zamku. Jednak odnalezienie uspiionych strażników zmieniło plany Ardana. Dał umówiony znak.

Czterech z sześciu mężczyzn wskoczyło na siodła. Jak przedtem Fergal i jego ludzie, tak teraz i oni naciągnęli kaptury głęboko, aż zakryły im twarze. Skierowali konie ku bramie, a dwóch pozostałych strażni-

* ków szło za nimi. Otworzyli bramę, wypuścili jeźdźców i zamknęli ją ponownie.

- Psiakrew, Ardanie, to są nasze konie! - Crean oddychał szybko. - Jak teraz uciekniemy? Zanim osiodłamy nowe...

- Zostajemy tutaj.

Crean na przemian to otwierał, to zamykał usta. Potem zaczął się śmiać.

- Szalone, ale genialne!

Ardan uśmiechnął się. Myśl, że ludzie Peristaesa znowu będą ich ścigać po lasach, absolutnie mu się nie podobała. Nie wiedział, czy Elyria jeszcze to wytrzyma. Ruszą rankiem, gdy drużyna Peristaesa będzie w najlepsze gonić za iluzją.

Ardan stał na murze do chwili, gdy reszta strażników sprowadziła posiłki i ponownie przejęła wartę. Rozkazał mężczyznom, żeby budzili go przy najmniejszym podejrzeniu niebezpieczeństwa. Kiedy powrócił na dziedziniec z Creanem i zarządził osiodłanie koni, Elyria z Gwynnem czekali już na nich. Spojrzał na dziewczynę, ale ona omijała jego wzrok. Dłonie jej drżały. Stale spoglądała na ciało Dayanary.

- Zostajemy do jutra. Idźcie i wypocznijcie.

*

Ardan wpatrywał się w ciemność.

Po tym, jak wniósł ciało Dayanary do zamku, udał się do swojego gabinetu. Po wszystkim, co się wydarzyło, nie mógł zasnąć. Nie mógł przestać myśleć o przerażonym spojrzeniu Elyrii.

Wpatrywał się w zamyśleniu przed siebie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążył zareagować, drzwi się otworzyły. Wąski pasek światła wpadł do pomieszczenia i oślepił Ardana.

- Tutaj jesteś.

W drzwiach stał Gwynn z latarnią w dłoniach. Chwiejny blask światła towarzyszył mu, gdy wszedł do środka. Postawił latarnię na stole i z głębokim wetchnieniem opadł na fotel.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało z twoją żoną.

Ardan zawsze wiedział, że Dayanara była zainteresowana wyłącznie tym, co

przyniesie jej korzyść. Dzisiejszej nocy dotarło do niego, jak daleko może się w tym posunąć. Wzruszył ramionami.

- Wielkie nieba, Ardan! Straciłeś żonę! Czy wzruszenie ramionami to jest wszystko, na co cię stać w takiej chwili?

Ardan spojrział na niego.

- Czego ode mnie oczekujesz? Zdradziła nas Peristaesowi, choć wszystko na nią przepisałem i rozwiązałem nasze małżeństwo.

Zmiękczył trochę ton głosu.

- Kiedyś wmawiałem sobie, że kocham tę kobietę. Jak pies cierpiałem, gdy mnie odrzucała. Przez prawie dziesięć lat myślałem, że złamała mi serce. Dziesięć lat minęło, a dopiero teraz zrozumiałem, że nie znaczyła dla mnie więcej niż jakaś dziwka. Byłem zaślepionym głupcem!

Gwynn patrzył na niego w zamyśleniu. W końcu powiedział:

- Być może wcześniej naprawdę ją kochałeś. Z upływem czasu wiele może się zmienić.

Ardan rozważał jego słowa.

- Nie. - Ponownie potrząsnął głową. - Byłem młody i głupi. Psiakrew, nie wiedziałem nawet, co znaczy miłość. Dla mnie to było coś, co ma miejsce w sypialni. Nic więcej.

- Och, a czy dzisiaj jesteś mądrzejszy?

- Trochę bardziej.

Po raz pierwszy od długiego czasu poczuł się wolny. Na twarz wypłynął mu uśmiech.

- Właściwie przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą o Elyrii. - Gwynn pochylił się trochę do przodu. - Robi sobie ogromne wyrzuty. Przypisuje sobie winę za śmierć twojej żony.

Ardan zamrugął powiekami.

- Dlaczego to robi?

- Mówi, że gdyby nie ona... gdyby nie otrzymała magii, nigdy by do tego nie doszło.

„Wtedy nigdy bym jej nie spotkał. Bogowie! Dlaczego nie czuje się od razu winna, że się urodziła?”. Westchnął.

- Porozmawiam z nią jutro rano. I tak mam jej jeszcze coś do powiedzenia.

- Wątpię, czy śpi.

Ardan wstał. Kiedy przechodził obok Gwynna, poklepał go po plecach.

- Dziękuję.

Wystarczyły mu trzy kroki, by wybiec z gabinetu i wypaść na korytarz. Już wiedział,

że nie może czekać ani chwili dłużej. Zadawał sobie w duchu pytanie, dlaczego zwlekał tyle czasu.

Zatrzymał się przed jej drzwiami. Podniósł dłoń, żeby zapukać, ale zaraz ją cofnął. Tym razem nie da się odesłać. Wszedł do pokoju bez pukania.

Na nocnym stoliku stała zapalona świeca, oświetlając skąpo komnatę. Przez chwilę myślał, że Elyrii nie ma. Siedziała na parapecie okna. Obejmowała rękoma podkulone nogi, wpatrując się w ciemność nocy.

Ardan stanął w progu.

- Powinnaś wypocząć.

Elyria się wystraszyła. Popychany pragnieniem, żeby być blisko niej, oderwał się od drzwi i podszedł do okna. Nie spuszczała go z oczu. Zsunęła się z parapetu i stanęła nieruchomo.

- Wygląda na to, że bogowie nam sprzyjają - powiedział. - Mamy wielkie szczęście dzisiejszej nocy.

Podniosła głowę i spojrzała na niego swoimi złotawo połyskującymi oczami. Ardan ciągnął:

- Wszystko mogłoby się bardzo źle skończyć, gdyby Fergal nic nie powiedział o Łowcach.

Mieszanka niedowierzania i nieufności pojawiła się na jej twarzy.

- Skończyło się źle.

Gdy Ardan potrząsnął głową, wykrzyknęła:

- Twoja żona nie żyje!

Jego wzrok spoczął na niej.

- Ty żyjesz, Elyrio.

- I tym samym twoja magia - odparła głosem pełnym gorzkości.

- Zapomnij na chwilę o magii - powiedział łagodnie i zbliżył się o krok. - Nie ma twojej winy w tym, co się wydarzyło.

- To dlaczego tak okropnie się czuję? - zapytała bardzo cicho. - Nie mam już siły. Ja...
- zamilkła, gdy podszedł bliżej.

Wyciągnął do niej dłoń i pogłaskał ją łagodnie po rękę. W geście bezradności oparła czoło o jego pierś. Wtedy objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Gdy podniosła głowę, zobaczył nadzieję wypełniającą jej oczy. Mała iskra, drżąca i gotowa w każdej chwili zgasnąć. Wtedy pochylił się i ją pocałował. Jego serce podskoczyło radośnie, gdy odpowiedziała na pocałunek. Początkowo niepewnie, potem coraz bardziej namiętnie, aż

zakręciło mu się w głowie ze szczęścia.

Przez dłuższy czas nie istniało nic innego niż jej ciepło, słodki smak ust i pragnienie, żeby już nigdy nie wypuszczać jej z objęć. Krew szumiała mu w uszach, a serce waliło jak młot.

- Nigdy nie chciałem ci sprawić bólu, a jednak to zrobiłem. Gdy zobaczyłem piętno, pomyślałem... Jestem takim głupcem! Po tym wszystkim, co przeszliśmy razem, powinienem cię lepiej znać. A jednak pozwoliłem, żeby zapanowały nade mną moje uprzedzenia. Traktowałem cię pogardliwie, nie mówiąc ci nawet, dlaczego to robię.

Słowa płynęły mu z ust niepowstrzymaną rzeką. Bliskość Elyrii przyprawiała go o taki natłok myśli i uczuć... Obawiał się, że nie wypowie więcej ani jednego rozsądnego zdania, jeśli choć raz odetchnie. Już sam wyraz jej oczu wystawiał jego opanowanie na wielką próbę. Nie było w nich ani wściekłości, ani nienawiści, tylko nieskończone zadziwienie.

- Wielkie nieba, Elyrio! Nie patrz tak na mnie! Próbuję ci powiedzieć, że... Bogowie! Jakie to szalone! Właśnie tej nocy, w której umiera moja żona, wyznaję ci w końcu miłość.

Zesztywniała w jego ramionach i próbowała się z nich wysunąć, lecz jej nie puścił.

- Tym razem mi nie uciekniesz ani mnie nie wyrzucisz. Tak długo będę cię trzymał, aż skończę mówić to, co leży mi na sercu od wielu dni.

Potem się uśmiechnął.

- I nawet gdy wszystko zostanie powiedziane, nie mam zamiaru cię puścić.

Jej wzrok nadal spoczywał na jego twarzy.

- Czy kiedykolwiek zapytałeś, czego ja chcę?

Mimo że obawiał się jej odpowiedzi, zapytał:

- Czego chcesz?

Jakby nagle opadło z niej całe zmęczenie, na jej twarz wkradł się uśmiech, a oczy rozbliły.

- Nie chcę więcej rozmawiać.

Stanęła na palcach i pocałowała go w czoło.

- Nie chcę też wysłuchiwać usprawiedliwień. Jej wargi zsuwały się po jego skroni do ucha.

- Proszę, trzymaj mnie mocno. Zrobił to. I jeszcze wiele więcej.

16

Gdy wschodzące słońce pokryło niebo płomiennym żarem, Elyria nadal leżała w objęciach Ardana. Położyła głowę na jego piersi i przysłuchiwała się regularnemu biciu serca. Zdumiało ją, że wojownik może być tak czuły. W trakcie ostatnich godzin pokazywał jej

każdym spojrzeniem, każdym pocałunkiem, jak bardzo ją kocha.

Pogładziła palcem jego pierś, czuła ciepło skóry. Westchnęła zadowolona, gdy przytulił ją mocniej i pocałował delikatnie u nasady włosów. Nie mógł sobie odmówić wyznania jej ostatecznie, co mu leży na sercu. Opowiedział jej szczerze o swoich doświadczeniach z Wędrującym Ludem, małżeństwie i dlaczego tak gwałtownie zareagował na widok piętna wypalonego na jej plecach. Gdy wszystkiego wysłuchała, wielki ciężar spadł jej z serca. Wreszcie zrozumiała wydarzenia ostatnich dni.

- Musisz mi coś obiecać - powiedział nagle.

Brzmienie jego głosu zmusiło ją do nadstawienia uszu.

- Obiecać? Co?

- Nie wolno ci więcej stosować magii. A już na pewno nie po to, żeby mnie ratować.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Przecież chcieli cię zabić.

- Wiem.

Nadal głęboko ją poruszało, że był gotów oddać za nią swoje życie. Lecz był to prezent, którego nie chciała.

- Nie mogłabym nigdy...

Zamknął jej usta szybkim pocałunkiem. Potem ujął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

- Elyrio, za każdym razem coraz dłużej trwa, zanim w pełni powrócisz do sił. Twoja słabość jest coraz większa. Boję się, że magia kiedyś cię zabije. - Poszukał jej wzroku. - Nigdy więcej magii. Daj mi słowo.

Nie podobało się jej to, czego oczekiwał. Jednak powoli kiwnęła głową.

- Obiecuję.

Wtulala się w ramiona Ardana, rozkoszując się jego ciepłem i bliskością. „Tak powinno być zawsze”. Niestety spokój się skończył, gdy ktoś zapukał do drzwi. Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, w jaki sposób wyjaśni Gwynnowi i Creanowi, co się zmieniło podczas ostatniej nocy. „Nie musimy niczego wyjaśniać. Sami zobaczą”.

Drzwi się otworzyły. Elyria podciągnęła prześcieradło i usiadła. Ardan także się wyprostował. Do komnaty wszedł Crean. Gdy zobaczył ich razem, uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał.

- Niechętnie wam przeszkadzam, ale przed bramą biega jak szalony w tę i z powrotem jakiś stary człowiek i błaga, żeby go wpuścić.

Ardan spuścił nogi z łóżka.

- Kto to jest?

Crean potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że już go gdzieś widziałem.

- Czego chce?

- Mamrocze przez cały czas, że musi nas ostrzec i że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo!

- Wpuść go i zaprowadź do mojego gabinetu. Zaraz tam przyjdziemy.

Ardan sięgnął po spodnie, szybko w nie wskoczył i naciągnął koszulę. Elyria zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Mam na myśli wpuszczenie obcego człowieka do zamku...

Ardan na nią popatrzył.

- To tylko jeden stary człowiek. Lepiej mieć go na zamku, pod kontrolą, niż przed bramą, gdzie swoim zachowaniem może zwrócić uwagę zwiadowców Peristaesa.

Zwróciła się do Creana.

- Czy rzeczywiście jest sam? Może są jeszcze inni?

- Nikogo nie widzieliśmy i wierz mi, bardzo dobrze się rozejrzeliśmy. - Crean podniósł dłoń w geście pozdrowienia. - Widzimy się niedługo.

Jak tylko odszedł, Elyria zsunęła prześcieradło i zebrała swoje suknie, żeby się ubrać. Uczucie spokoju, które wypełniało ją jeszcze przed kilkoma chwilami, nagle się rozplynęło. Spojrzała na Ardana, który właśnie sznurował swoją kamizelkę. Ostatniej nocy tak wiele się zmieniło. Wewnętrzny głos mówił jej jednak, że to nie było wszystko, co ich czekało.

Ardan objął ją w talii i pocałował, a dłonią czule pogładził jej szyję.

- Nie martw się - powiedział, gdy ją wreszcie puścił, żeby mogła dokończyć się ubierać. - To tylko stary człowiek.

Jego słowa nie zdołały przepędzić ponurego przeczucia, które coraz bardziej brało ją w posiadanie. Idąc korytarzami, cały czas zadawała sobie pytanie, dla-czego jest tak spięta przed spotkaniem z tym obcym przybyszem. Ardan miał rację. To był tylko stary człowiek. Być może miał pomieszane w głowie. A jednak...

Na korytarzu przed gabinetem czekał Crean.

- Jest w środku.

Gwynn zajął pozycję na murze, żeby obserwować, czy na horyzoncie nie pojawiają się nieproszeni goście. Crean spojrzał na Ardana.

- Potrzebujecie mnie tutaj?

Ardan potrząsnął głową i powiedział:

- Będziemy czuć się bezpieczniej, mając dodatkową parę przytomnych oczu na murze.

- Tak też myślałem. Fergal i jego ludzie wrócili przed godziną. Mają się dobrze.

Ardan skinął szybko głową, odwrócił się i zniknął w głębi korytarza.

Elyria wyciągnęła dłoń do klamki. Ardan powstrzymał ją.

- Poczekaj.

Opuściła rękę i odwróciła się do niego.

- Czy coś się stało?

Podszedł bliżej.

- Chcę jedynie, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham.

- Od kilku godzin domyślałam się tego - odparła z uśmiechem-

- To jest coś więcej. Wiesz, od początku miałem uczucie, że jesteś częścią mnie. To uczucie nigdy mnie nie opuszczało. Nawet wtedy, gdy uznałem cię za złodziejkę.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Już w więzieniu Peristaesa, kiedy na ciebie wpadłam... Też to poczułam. I czuję nadal.

Ardan kiwnął głową.

- Jesteś tą właściwą. Tą, której na próżno szukałem w Dayanarze. - Ujął jej dłoń. - Powiedziałem ci kiedyś, że nie marzę o niczym innym jak tylko o ustronnym domu z daleka od Królewskich Wilków. Ale jest jeszcze coś. Coś, co jest dla mnie ważniejsze. Marzę o tym, żebyś przy mnie była. Każdego dnia. O każdej godzinie. Myśl...

Wpatrywał się w jej oczy, jakby chciał w nich utonąć.

- Uciekajmy stąd, zaraz po tym, jak usłyszymy, co ten stary ma nam do powiedzenia.

Pod wpływem jego wzroku Elyrii zmiękły kolana, a słowa Ardana wywołały ciepły zawrót głowy. Najchętniej rzuciłaby się mu w ramiona i wykrzyknęła: „Tak! Uciekajmy. Natychmiast!”. Lecz było coś, co ją przed tym powstrzymywało.

- A co z twoją magią?

- Zapomnij o magii. Opuśćmy Cartomien i zacznijmy od nowa, z dala od Peristaesa i jego Łowców Czarownic. W naszym gospodarstwie nie potrzebuję magii. Nie jestem już wojownikiem, tylko chłopem, który chce żyć w spokoju ze swoją żoną.

Z każdym wypowiedzanym słowem jego oczy lśniły coraz bardziej.

- Tylko ty i ja. I gromadka dzieci. Co o tym myślisz?

- Co ja o tym myślę?

Świadomość, że Ardan chce spędzić z nią resztę swojego życia, wypełniała ją ciepłem

i szczęściem.

- O nieba! I jeszcze pytasz?

Porwał ją ze śmiechem w objęcia i zawirował w koło. Gdy postawił ją na ziemi, przyciągnął do siebie i pocałował. Długi namiętny pocałunek, w którym zawarta była obietnica wspaniałej przyszłości.

- Tylko ty i ja - szepnął, gdy ich wargi się rozdzieliły. - Będę zawsze u twojego boku, do końca mojego życia. Przysięgam.

Elyria uśmiechnęła się i pocałowała go jeszcze raz. Mimo że z trudem jej to przyszło, wysunęła się z jego ramion.

- Posłuchajmy, dlaczego ten stary człowiek jest tutaj. Im szybciej będziemy mieli to za sobą...

-...tym szybciej spakujemy nasze rzeczy i odjedziemy - skończył razem z nią zdanie, wziął ją za rękę i wprowadził do gabinetu.

Nieznany gość usiadł wygodnie w jednym z czerwonych aksamitnych foteli. Gdy Elyria z Ardanem weszli do pomieszczenia, podniósł się ze zrećznością, o którą nigdy by nie posądzili mężczyzny w jego wieku.

Popatrzył na Ardana.

- Musicie natychmiast stąd uciekać! - wykrzyknął wzburzony. - Pańska żona zdradziła was u Peristaesa!

Ardan podniósł uspokajająco dłonie.

- Uspokójcie się.

- Jak mam się uspokoić? Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo!

Białe włosy okalały jego głowę jak bezbarwne płomienie, chwiejąc się i podskakując. Lecz to jego twarz przyciągnęła uwagę Elyrii. Głęboko osadzone oczy, nerwowe spojrzenie i pocięte zmarszczkami zmartwienia czoło coś jej przypominały.

- Będziecie...

- Dostyc tego! - odparł surowo Ardan. Wyraźnie zasugerował, że nie ma ochoty na wyjaśnienia. - Kim jesteście? I czego tutaj chcecie? Dlaczego jakiś obcy człowiek interesuje się tym, czy grozi nam niebezpieczeństwo, czy też nie? i

Tak jak Ardan nie miał ochoty wyjaśniać, dlaczego nie ma już zagrożenia, tak samo tajemniczy gość nie był skłonny odpowiedzieć na jego pytania. Mężczyzna zwrócił się do Elyrii. Przypatrywał się jej tak długo i natarczywie, że poczuła się nieswojo. Crean miał rację. Rzeczywiście spotkali już tego człowieka.

- Już raz was widziałam - powiedziała w końcu. Nadal nie przestawał się jej

przypatrywać. - W karczmie.

Kiwnął głową. W oczach zalśniły mu łzy.

- Elyria.

Jedno słowo, które było podobne bardziej do westchnienia niż do jej imienia.

Podejrzliwie cofnęła się o krok bliżej Ardana.

- Skąd wiecie, jak mam na imię?

- Od twojej matki. - Uśmiech wkradł mu się na twarz. - Na wszelkie moce, wyglądasz jak ona.

Teraz ona wpatrywała się w niego. Jej palce poszukały dłoni Ardana, znalazły ją i zacisnęły się na niej.

- Moja matka zmarła, gdy ja... - przerwała.

Jej matka była blondynką z niebieskimi oczami i jasną cerą. Wyglądała zupełnie inaczej niż ona.

- Co wy opowiadacie? Nie jestem podobna do matki w żadnym szczególe!

- Żona Micheilsa nie była twoją matką, tak samo jak Micheils nie jest twoim ojcem. -

Oczy starego spoczywały nadal na jej twarzy, szukając w niej zrozumienia.

Ardan wysunął się obronnie przed Elyrię.

- Kim, u kata, jesteście? I czego chcecie?

- Nazywam się Jalandar.

Stary oderwał wzrok od Elyrii i pochylił głowę.

- Jechałem waszym śladem, od kiedy zobaczyłem was w karczmie. Jest wiele do omówienia. O wiele więcej, niż myślałem.

- Chyba nie chcę wysłuchiwać waszej zawikłanej mowy.

Elyria położyła mu dłoń na ramieniu i stanęła obok niego.

- Chcę to usłyszeć - powiedziała cicho. - Proszę.

Po raz pierwszy od dawna przypomniała sobie słowa ojca, gdy powiedział Dhori, że jakiś mężczyzna przyniósł mu ją i poprosił, by się nią dobrze zaopiekował. Wtedy myślała, że to bzdury. Teraz jednak nabierały znaczenia.

Ardan patrzył to na Elyrię, to na Jalandara.

- Usiądźmy.

Gdy Jalandar siadał, Ardan przyciągnął krzesło i poprosił Elyrię, żeby spoczęła, zanim stanął obok niej. Jalandar siedział spokojnie i patrzył na nich w milczeniu. Cisza, która nagle zaległa, była nie do zniesienia. Elyria z trudem powstrzymała się od popędzania go, żeby wreszcie zaczął mówić.

- Wojna Mocy dawno się skończyła - zaczął Jalandar po długiej przerwie - lecz zagrożenie istnieje nadal. Bractwo Oświeconych wykorzystało słabość jednego człowieka, żeby obalić panowanie druidów i uśmiercić wszystkich magów. - Oczy Jalandara wpatrywały się w daleką przestrzeń, gdy opowiadał. - Jeden człowiek przywołał demona i tym samym zapoczątkował upadek całej ery.

- Znamy opowieści o Wojnie Mocy i czasie Oczyszczenia - przerwał mu Ardan niecierpliwie. - Przejdźcie do rzeczy lub odejdźcie.

Jalandar wyprostował się w swoim fotelu.

- Istnieje przepowiednia.

- O, proszę! - Teraz Elyria się zniecierpliwiła. - Myślałam, że chcecie opowiedzieć mi coś o mojej matce albo o tym, dlaczego mój ojciec... - Potrząsnęła głową. -

Naprawdę nie mam ochoty wysłuchiwać bezsensownego trajkotania o jakichś przepowiedniach. Wyrosłam już z tego wieku.

Jalandar jednak nie dał się zbić z tropu.

- Nie chcecie niczego wiedzieć o Wojnie Mocy? Proszę bardzo. - Spojrzał na Ardana. - W jaki sposób spotkaliście dziewczynę, księżę? Czy wasze pierwsze spotkanie nie miało przypadkiem nic wspólnego z magią? «,

Gdy Ardan nie odpowiedział, Jalandar tylko pokiwał głową.

Elyria zeszywniała. „Skąd wie o magii?”. Powoli zdawała sobie sprawę, że nietrudno się było tego domyślić wobec faktu, że Peristaes usiłuje ją pojmać.

Jalandar ciągnął dalej swoją opowieść:

- Może chcecie usłyszeć coś o magii, którą zgubiliście? Czy to nie było tak, że jakiś żebrak ofiarował wam amulet? Co wam wtedy powiedział, Ardanie z Daormiru? Przypominacie sobie jego słowa?

Przez chwilę wydawało się, że Ardan nie odpowie. Wpatrywał się w Jalandara, jakby nie wiedział, czy ma go wyrzucić, czy prosić, by nie przerywał swojego wywodu.

- Masz dar, który nie jest przeznaczony dla ciebie - powiedział wreszcie tak cicho, że Elyria z trudem go rozumiała. - Chroń go dobrze. Nawet wtedy, gdy nie będziesz go już posiadał.

Jalandar kiwnął głową z uśmiechem.

- Skąd wiecie o żebraku?

- Wiem jeszcze więcej. I to, co mam do powiedzenia, nie będzie się wam podobać. Mnie też się nie podoba. Jednak od tego, czy mnie wysłuchacie, wiele zależy. Czy to zrobicie?

Elyria nie wiedziała, co znaczyła historia z żebrakiem. Wystarczyło jej, że widziała, jak bardzo Ardan był zaskoczony. Przytaknęła, tak samo jak Ardan.

Jalandar milczał przez chwilę. Wyglądało na to, że jego uwaga skierowana jest do wewnątrz, jakby w swoim sercu szukał odpowiednich słów. Elyria spojrzała na Ardana wpatzonego w starca. Gdy zauważył jej spojrzenie, uśmiechnął się, ale tym uśmiechem nie zdołał ukryć napięcia malującego się na jego twarzy.

- Bractwo twierdzi, że uchroniło ludzkość przed Czarnym Królem - zaczął w końcu Jalandar. - Lecz to Siedmiu Mistrzowskich Magów ujarzmiło go w swoim ostatnim, niebezpiecznym rytuale. Tak przynajmniej do niedawna mi się wydawało.

Elyria spojrzała na niego.

- Tak się wam wydawało?

Twarz starego mężczyzny sposepniała i teraz było wyraźnie widać, jak wiek i wyczerpanie odcisnęły na niej ślady.

- Nie wierzę już, że niebezpieczeństwo jest zażegnane - powiedział i wyciągnął dłoń po swój tobolek leżący obok niego na ziemi. Tkanina zaszeleściła, gdy wyjął z niego przedmiot zawinięty w chustkę. Zgrubiałymi palcami odwinął materiał i ich oczom ukazała się kula o barwie bursztynu. Krążyła w niej niebieskoczarna mgła. Wirując, napierała na zewnętrzne ścianki i cofała się natychmiast, by za chwilę ponownie wysunąć swoje macki. Jakby coś chciało się wydostać na zewnątrz.

- To, co znajduje się w tej kuli, znalazłem w miejscu rytuału. Jestem przekonany, że to jest esencja Czarnego Króla.

Położył kulę przed Ardaniem i Elyrią na stole.

- Nie został zniszczony, jak zakładaliśmy przez te wszystkie lata. Został jedynie ujarzmiony, i to w tak niewystarczający sposób, że nadal pojawia się na tym świecie. Siedmiu Wielkich jest martwych. Nie ma już nikogo, kto stawiałby czoło demonowi.

Ardan nachylił się i popukał wskazującym palcem ostrożnie w kulę. Mgła natychmiast uderzyła w jego kierunku. Zmarszczył czoło.

- To ma być demon?

Jalandar potrząsnął głową.

- Tylko jego część. Maleńki odprysk jego aury, jeżeli wolicie tak to nazwać. Myślę, że demon jest uwięziony w miejscu rytuału.

- Jeśli jest uwięziony, to nie może nikomu zrobić krzywdy - zastanawiała się głośno Elyria. - Gdzie tkwi problem?

- A co się stanie, gdy pewnego dnia ktoś wpadnie na pomysł, żeby go przywołać? Co

będzie, gdy jego wyznawcy ponownie się zjednoczą, żeby go czcić? Co się stanie, gdy znajdą drogę, żeby przywołać do siebie swojego pana? Co, gdy...

- Dla mnie jest stanowczo zbyt wiele tego gdybania. Przejdźcie już do rzeczy, bo zaczynacie marnować nasz czas.

Ardan popatrzył na Elyrię. „Nasza przyszłość czeka na nas”, mówiły jego oczy. Uśmiechnęła się.

Jalandar kontynuował:

- Żeby przeprowadzić rytuał, koniecznych było sześć atrybutów. Mieliliśmy tylko pięć - stworzonych z owoców czerwonego dębu. Szósty atrybut, Świetliste Naczynie, pozostawało dla mnie zawsze zagadką. Miałem nadzieję, że zniszczenie demona zakończy się sukcesem, jeśli tylko magowie, którzy przeprowadzą rytuał, będą wystarczająco potężni. - Wpatrywał się w bursztynową kulę, obserwując krążącą w niej mgłę. - Niestety, pomyliłem się.

Jego słowa były tak przesycone goryczą, że wzbudził w Elyrii współczucie.

- Jestem pewna, że zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy.

Potrząsnął głową.

- Nie. Byłem arogancki i próżny. Myślałem, że mogę oszukać moce wieczności. Niestety, nie udało mi się. Wielu ludzi spotkała śmierć. I już niedługo wszystko zacznie się od początku, ale będzie to o wiele gorsze niż przedtem.

- Nadal nie rozumiem, co to wszystko ma z nami wspólnego. - Z chwili na chwilę Ardan niecierpliwił się coraz bardziej.

Jalandar spojrzał na niego, jakby został wybudzony ze snu.

- Oczywiście. - Kiwnął głową. - Dla was i Elyrii to wszystko musi się wydawać całkowicie niezrozumiałe. - Ponownie zwrócił się do Elyrii. - Twoim ojcem był Delbaeth. Wojownik, którego zadaniem była ochrona Pałacu Magów. Matka miała na imię Lifiyah. Była jedną z nas. Uczoną z Kręgu Oka.

Spod koszuli wyciągnął rzemień, na którym wisiała cienka drewniana plakietka. Bardzo delikatnie pogładził palcami stylizowane oko wyryte w drewnie czerwonego dębu.

- Twoja matka była nie tylko magiem. Była jednocześnie pobłogosławiona drugą twarzą, choć czasem nazywała ten dar przekleństwem, bo wiedziała, co się wydarzy.

Wspomnienie przywołało na jego twarz smutny uśmiech.

- Na długo przed Wojną Mocy i Czasem Oczyszczenia przewidziała, co się wydarzy. Często mówiła o ognjach przyszłości, jednak nikt nie wierzył w jej słowa. Nikt nie mógł sobie wyobrazić, że sztuka magiczna będzie kiedyś ścigana, a magów zaprowadzi na stos. Lecz Lifiyah nie dała się zbić z tropu. Studiując stare pisma i przepowiednie, utwierdzała się w

swojej wizji przyszłości. Tuż po twoich narodzinach, jeszcze w połogu, rzuciła zaklęcie, które przeniosło całą jej magię na ciebie.

- Na mnie? - powtórzyła z niedowierzaniem Elyria. Jak to możliwe? Nigdy nie dysponowała magiczną mocą. To Ardan dał jej tę siłę.

Jednak Jalandar potwierdził swoje słowa skinieniem głowy.

- Wraz z jej magią wypłynęły z niej także życiowe siły. Na łożu śmierci kazała mnie i Toranowi złożyć świętą przysięgę, że umieścimy cię w bezpiecznym miejscu. Z daleka od wszystkiego, co ma cokolwiek wspólnego z magią. Podała Toranowi zapisany pergamin. „To jest zaklęcie, które odbierze mojej dziewczynce magię. Wypowiedzcie je”, powiedziała. „Świat się zmieni, jednak jeśli zrobicie, co powiem, przyszłość będzie istnieć”.

Nie do pojęcia było dla mnie to, czego od nas oczekiwała. Jak mogła żądać odebrania ci magii, za której przeniesienie oddała życie? Jednak Lifiyah upierała się przy swoim. Powiedziała tylko, że magia wie, do kogo należy, i że sama powróci. Gdyby dziecko ją zachowało, oznaczałoby to dla niego wyrok śmierci.

Przesunął dłonią po oczach, jakby chciał strząsnąć złe wspomnienie, które jak pajęczyna oblepiło mu twarz.

- Wiedziała, co się wydarzy podczas Wojny Mocy i w Czasie Oczyszczenia. I uchroniła cię przed śmiercią na stosie, Elyrio.

Elyria nie była w stanie odpowiedzieć. Słowa Jalandara wżarły się w jej serce, wślizgiwały się jej do świadomości jak węgorz. Micheils nie był jej ojcem. Gwynn nie był jej bratem. Jej całe życie nie było niczym innym niż kłamstwem. Ludzie, których uważała za swoją rodzinę, byli obcy. Jej palce zacisnęły się na oparciu fotela, wbijały się w aksamitne pokrycie, zostawiając głębokie ślady. Dotknięcie na jej ramieniu wyrwało ją z zadumy. Spojrzała w górę. Ardan przyglądał się jej badawczo. Poruszał ustami, ale przez dłuższą chwilę jego słowa nie docierały do jej umysłu.

- Źle się czujesz? - W jego głosie pobrzmiwała troska. - Może chcesz się położyć? Jesteś blada jak ściana.

Potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję - odparła - Nic mi nie jest.

Dłoń Ardana przesunęła się wzdłuż jej ręki w dół. Splótł swoje palce z jej palcami, przyciągnął jej dłoń do ust i delikatnie pocałował.

- Mów dalej - powiedział wreszcie zwrócony do Jalandara. Nie wypuszczał dłoni Elyrii. W poszukiwaniu ciepła i pocieszenia, Elyria zacisnęła zziębnięte palce na jego dłoni.

- Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. Jak dla każdego z nas. - Jalandar westchnął. - Z

ostatnim tchnieniem Lifyah podała twoje imię: Elyria. Przerwał na chwilę, a potem powiedział: - Tyle już lat minęło, odkąd nie wspominałem tego dnia. Zapomniałem o zdziwionym spojrzeniu Torana, gdy usłyszał to imię. Kiedy po pogrzebie Lifyah zapytałem, co go tak zadziwiło w twoim imieniu, uśmiechnął się i odparł, że Lifyah wybrała dla swojego dziecka imię elficzne, dobre, znaczące: Świetlista.

Elyria podniosła się tak gwałtownie, że omal nie przewróciła fotela. Wszystko wirowało w jej głowie.

- Nie mówicie tego poważnie! Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że mnie dla... dla...

Wszystkie wyjaśnienia i zdarzenia ostatniego czasu ułożyły się w całość jak dywanik zszyty ze skrawków i ukazały przerażającą prawdę.

- To śmieszne! - wykrzyknęła bliska leż. - Nie jestem martwym atrybutem! Nie jestem waszym Świetlistym Naczyniem! Jestem człowiekiem!

Odwróciła się i podbiegła do drzwi. Zanim zdążyła złapać za klamkę, drogę zastąpił jej Ardan.

- Przepuść mnie!

- Powinniśmy usłyszeć, co jeszcze ma nam do powiedzenia - odparł spokojnie.

- Czyżbyś nie zauważył, do czego zmierza? Już zapomniałeś, co chcieliśmy zrobić, zanim zaczęliśmy go słuchać? - „Jeśli go wysłuchamy, zrozumiemy, że nie możemy po prostu zwyczajnie odejść! Zniszczy nasze plany! Naszą przyszłość!”, chciała na niego krzyczeć, ale nie potrafiła. Jej niepokój i myśli odzwierciedlały się w jego oczach. Zdrowy rozsądek wojownika skłonił go jednak do pozostania.

- Ardan, proszę. Odejdźmy stąd - błagała. - Nieważne, co ten człowiek ma do powiedzenia. Nie chcę tego słuchać!

- Obawiam się, że nasz los nie leży już w naszych rękach.

- Bzdura! To tylko imię, nic więcej! Dlaczego zachowujecie się tak, jakby to było jakieś zobowiązanie?

Wiedziała jednak, że Ardan miał rację. Gdy podprowadził ją do krzesła, poddała się.

Jalandar nadal siedział w swoim fotelu. W milczeniu czekał, aż oboje zajmą miejsca.

- Bardzo mi przykro, Elyrio.

Tak bardzo zapadł się w sobie, że tylko oparcie fotela podtrzymywało jego sylwetkę.

- Wojna Mocy i Czas Oczyszczenia spowodowały, że na długo zapomniałem o słowach Lifyah. Dopiero gdy zobaczyłem cię w karczmie i usłyszałem twoje imię, wszystko mi się nagle przypomniało. Oczywiście, mogę się mylić. Być może nie jesteś szóstym atrybutem, bez którego nie da się zniszczyć demona. Być może to przypadek, że twoje imię

oznacza w naszym języku Świetlistą. Tego nie wiem. Wszystko, co wiem, to fakty, które przemawiają za moimi przypuszczeniami.

- Ach tak? Czy przypadkowe przecięcie się naszych dróg też potwierdza waszą teorię?

- potrząsnęła głową. - Bogowie! Przecież nawet nie wiem, czy jestem córką Lifiyah!

- Masz co do tego wątpliwości?

„Ani trochę...”.

- Tak.

- Więc skąd znałbym imię twojego zastępczego ojca, gdybym nie był tym człowiekiem, który cię do niego zaniósł? Skąd wiedziałbym o twojej magii?

- Skąd? Budujecie sobie szkielet z kłamstw! Każdy, kto choć raz zetknął się z naszą trupą, zna jego imię. A o magii nic nie wiecie, ponieważ jak każdy normalny człowiek jej nie mam! „Nie miałam, dopóki nie spotkałam Ardana...”.

- W Święto Zmarłych odprawiliśmy z Toranem rytuał, który odebrał ci magię. Runy wskazały nam drogę do chłopca, który był wystarczająco silny, by unieść ten ciężar - wyjaśnił Jalandar, jakby nie słyszał jej kontrargumentów. - To wy jesteście opiekunem jej magii, dopóki do niej nie wróci. Wasze życie jest z nią ściśle powiązane - powiedział wpatrzony w Ardana.

Elyria parsknęła gniewnie.

- Ile masz lat, Elyrio?

- Słucham? - pytanie Ardana ją zaskoczyło. - Co to ma wspólnego z...

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Osiemnaście.

Skinął głową z powagą.

- W takim razie jestem od ciebie starszy o dziesięć lat.

Bardzo powoli zrozumiała znaczenie: jego słów. „W dniu Święta Zmarłych, kiedy miałem dziesięć lat” - to były jego słowa. „Od tego momentu dar był częścią mojego życia”. Elyria zamknęła oczy. Słowa Micheilsa zapadły jej w pamięć: „Od kiedy ten mężczyzna przyniósł mi dziewczynkę, wiedziałem, że ona jest kimś szczególnym”.

- Dobrze - powiedziała, kiedy znów otworzyła oczy. - Załóżmy, że mówicie prawdę. Czego ode mnie oczekujecie? Że pójde i zniszczę demona?

Próbowała nadać swoim słowom żartobliwe brzmienie, nie mogła jednak opanować lodowatego dreszczu, który przebiegał po jej plecach. Gdy Jalandar nic nie odpowiedział, zapytała:

- Co się stało z Deoberthem? Z moim ojcem... - ostatnie słowo z trudem przeszło jej

przez gardło. To Micheils, a nie jakiś nieznajomy, był jej ojcem i zawsze nim będzie.

- Delbaethem - poprawił ją Jalandar. - Nigdy nie pogodził się ze śmiercią Lifiyah. Mimo że uznał jej wolę i oddał cię innej rodzinie na wychowanie, nic z niego nie pozostało. Był jak pusta skorupka. Zmarł podczas Czasu Oczyszczenia, kiedy bronił grupy uczonych przed napaścią Bractwa. Był dobrym człowiekiem.

„Mój ojciec nie jest moim ojcem, a moja matka zmarła, żebym mogła żyć. Magia nie należy do Ardana, tylko do mnie i powinnam... Tak, co powinnam?”. Tysiące myśli przebiegało przez jej głowę. Na to pytanie Jalandar wciąż jej nie odpowiedział. Elyria czuła się tak, jakby ktoś usunął jej grunt spod nóg. Teraz znajdowała się w stanie lekkości, który odczuwa się tuż przed upadkiem na ziemię.

Ardan przerwał jej splątane myśli.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego ten demon stanowi jeszcze zagrożenie. Świat myśli, że został unicestwiony. I niech tak zostanie.

- Bardzo bym chciał, żeby to było takie proste. - Jalandar uśmiechnął się smutno. - Czarny Król miał zawsze wielu zwolenników. Ludzi, którzy nie widzieli w nim demona, lecz boga. Odrzuconego przez innych bogów, którzy bali się, że jest od nich dużo lepszy, potężniejszy. Określenie „demon” jest tym ludziom obce. Dla nich jest Czarnym Królem lub Ciemnym. Czczą go do dzisiaj w ukryciu, mając nadzieję na jego powrót. Traktują go jak wybawcę, który sprawi, że magia powróci. Co będzie, gdy się dowiedzą, że nie został unicestwiony? Za pomocą odpowiedniego rytuału z łatwością mogą go przywołać. - Spojrzał przelotnie na Elyrię. - Obawiam się, że konfrontacja jest nieunikniona.

- Więc naprawdę powinnam go zniszczyć? - spytała z niedowierzaniem. - Jak to sobie wyobrażacie?

- Nie wiem. Zapytam runy o radę. Dopiero wtedy będę mógł powiedzieć ci coś więcej.

Jalandar przeciągnął palcem po powierzchni kuli, która wciąż leżała na stole. Mgła wirowała, kurczyła się i rozciągała na przemian. Nieobecny duchem starzec stukał w nią palcem.

Elyria zapadła się w fotelu.

- Jakby magia, Peristaes i ślepi mnisi nie wystarczyli, teraz muszę się jeszcze martwić z powodu jakiegoś demona - jęknęła.

Jalandar poderwał głowę.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że mam już dość zmartwień, również bez tego...

- Ślepi mnisi? O kim ty mówisz?

Wzruszyła ramionami.

- O kilku szaleńcach z wylupionymi oczami, którzy usiłowali... - zamilkła niespodziewanie.

„Czeka na ciebie”, przypomniała sobie słowa ślepeca. On.

Jalandar skoczył na równe nogi. Wsparł dłonie na blacie stołu, pochylił się do przodu, aż zbliżył się do Elyrii na odległość łokcia.

- Czy mieli na sobie zniszczone habity i skrzyżowane blizny na oczodołach? Poruszali się tak, jakby wcale nie byli ślepcami? Opowiadali zagadkowe rzeczy? Czy cię dotknęli? Co przy tym czułaś?

- Znacie ich?

Mimo że dzielił ich stół, Elyria wcisnęła się jeszcze głębiej w fotel.

- Kim są ci mężczyźni? Czego ode mnie chcą?

- Nie mam pojęcia, czego chcą - Jalandar wyprostował się i uderzył pięścią w stół. - Za to wiem bardzo dobrze, kim są. To wyznawcy Czarnego Króla. Fanatycy, którzy sami wykluwają sobie oczy, żeby lepiej widzieć! - Znów opadł na krzesło. - Wszystko wskazuje na to, że od dawna podążają twoim tropem.

Elyrii zakręciło się w głowie. Świadomość, że ścigają ją wyznawcy tego straszego demona, gdy tymczasem ona nawet nie wiedziała o jego istnieniu, była ponad jej siły. Podniosła się ciężko z fotela. Zrobiło jej się czarno przed oczami i musiała się przytrzymać stołu. Ardan chwycił Elyrię, żeby ją podtrzymać, ale odsunęła jego dłoń. Kiedy tylko mgła zniknęła przed jej oczu, podeszła do stoliczka, na którym stała karafka z winem. Wzięła kubek, nalała do pełna i wychyliła duszkiem. Napój rozpałił w jej żołądku ciepły ogień. Po drugim kubku poczuła się odrobinę lepiej. W każdym razie na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na pytania Jalandara. Ale zamiast wrócić na swoje miejsce, oparła się o stoliczek i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Oni... to znaczy wyznawcy Czarnego Króla, powiedzieli, że on na mnie czeka. Ich dotknięcie było... - zastanowiła się krótko - miałam uczucie, że zabierają mi całą siłę.

Jalandar słuchał z napięciem.

- On... - powtórzyła powoli - czy mieli na myśli Czarnego Króla? Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego chcieli mnie do niego zaprowadzić, jeśli moja magia może go zniszczyć? To nie ma sensu!

Przez długi czas panowała cisza. Elyria unikała wzroku Ardana, który uważnie jej się przypatrywał. Wiedziała, że chce tylko wy badać, czy dobrze się czuje. A ona nie czuła się dobrze. Mógłby to rozpoznać, gdyby spojrzęła mu w oczy. Wiedziała, co może odnaleźć w

jego spojrzeniu. Uwagę i troskę. Nie była w stanie znieść właśnie tej troski. Obawiała się, że jej z trudem utrzymywana fasada spokoju rozpadnie się ostatecznie, gdy na niego spojrzy.

- Przepowiednia - powiedział wreszcie Jalandar.

Nagle poczuła nieodpartą ochotę, żeby wybuchnąć śmiechem. Łowcy Czarownic. Magia. Demon i jego ślepi wyznawcy. A teraz jeszcze przepowiednia. Co będzie w następnej kolejności? Królewska korona?

Stłumiła chichot. „Bogowie, powoli ogarnia mnie szaleństwo! Wariuję!”, pomyślała w duchu.

Potrząsnęła głową. To wszystko było koszmarem i niedługo obudzi się w ramionach Ardana, zetrze sobie sen z oczu i zapomni o nocnych udrękach ostatnich godzin. Uszczypnęła się w grzbiet dłoni i poczuła palący ból, który rozchodził się aż do czubków palców. To nie był sen. To wszystko działo się naprawdę! W okamgnieniu przeszła jej ochota na śmiech.

- Istnieje pradawny pergamin - głos Jalandara brzmiał miękko, jakby opowiadał baśń.
- Twoja matka natknęła się na ten zwój podczas swoich studiów. Nie przypominam sobie całego tekstu, lecz jest w nim mowa o wyznawcach Czarnego Króla. Mężczyźni i kobiety, oślepieni, a jednak widzący, którzy szukają Świetlistej. Tego naczynia, które jest zdolne przywrócić do życia ich pana i władcę.

Elyria słuchała w napięciu. Jalandar wbił wzrok w sufit, a potem wyrecytował:

- Ona, w której złotych oczach płoną ognie Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magię w postaci wszystko niszczącej pożogi i tym samym przyniesie światu wybawienie lub pogrzyży go w wiecznej ciemności.

- Dziewczyna o złotych oczach - powtórzyła, wstrząsając się mimowolnie. - Tak nazwał mnie Peristaes. Musi więc znać waszą przepowiednię.

- Niekoniecznie - wtrącił szybko Ardan. - Gdyby tak było, wiedziałby, że... że... - szukał odpowiednich słów.

Jalandar go uprzedził.

- Ze twoja magia jest w stanie zarówno przywołać Czarnego Króla na ten świat, jak i uwolnić go od niego. Bez ciebie nie może zostać wypędzony. Możesz nawet zniszczyć go na zawsze.

Elyria z trudem rozumiała jego wypowiedź. Pogrzyży świat w wiecznej ciemności. Słowa Jalandara wypaliły się w jej mózgu jak piętno.

- Kiedy się was słucha, można pomyśleć, że jestem poważnym zagrożeniem.

Jalandar nic nie powiedział, jednak jego oczy zdawały się mówić: „Tak, jesteś”.

- I naszym wybawieniem.

Odwróciła głowę, bo nie mogła dłużej znieść strachu w jego spojrzeniu.

- Ale moje oczy... wcale nie są złote.

Nie chciała się poddać. Nie zamierzała grać roli, która tak bardzo jej się nie podobała.

Ardan spojrzał na nią wymownie. Przypomniała sobie niezliczone sytuacje, w których Gwynn, Micheils lub ktoś inny mówił, że jej oczy mają czasem niezwykle złoty blask. Wcześniej była z tego dumna. Czuła się kimś szczególnym. „A teraz marzę o tym, żeby były po prostu brązowe...”, westchnęła w duchu.

Wędrowała wzrokiem od Jalandara do Ardana. Nie chciała dłużej prowadzić tej rozmowy. Podeszła do okna i wyjrzała na dziedziniec, zatopiona w myślach. Uprzytomniła sobie, że Peristaes i magia zmienili całe jej życie. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak głębokie, jak radykalne były te zmiany.

Nagle stanął przy niej Ardan.

- Może połóż się na chwilę. Odpocznij.

- Nie jestem chora! - odparła ze złością. - Tylko mam za dużo na głowie.

- Wiem.

Spojrzała na stół ponad ramieniem Ardana. Jalandara już nie było.

- Gdzie jest...?

- Sądził, że będziesz potrzebowała trochę czasu, aby to wszystko przetrawić. Poleciałem służącemu, żeby przygotował mu pokój.

Ardan wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie. Nie powiedział ani słowa, trzymał ją tylko mocno. Dawał jej uczucie spokoju i bezpieczeństwa, których tak bardzo potrzebowała. Oparła głowę na jego piersi, przysłuchiwała się miarowemu biciu jego serca i próbowała uciszyć słowa Jalandara, które wciąż brzmiały echem w jej głowie. Cały czas słyszała, jak powtarza słowa przepowiedni. „Ona, w której złotych oczach płoną ognie Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magię w postaci wszystko niszczącej pożogi i tym samym przyniesie światu wybawienie lub pogrzeży go w wiecznej ciemności”.

Nie wysuwając się z objęć Ardana, spojrzała na niego.

- Dzisiaj rano chciałeś, żebym ci obiecała”, że nie użyję już więcej magii. Teraz ja chcę, żebyś mi coś obiecał. - Zachowywała się tak, jakby nie zauważyła iskry nieufności w jego oczach, i powiedziała: - Nie chcę stać się zagrożeniem. Przysięgnij mi, że to uniemożliwisz!

Chwycił ją za ramiona, odsunął od siebie i spojrzał jej w oczy.

- Już raz ci przyrzekłem, że cię nie opuszczę. Chętnie powtórzę tę przysięgę. Wierz mi, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię ochronić.

Potrząsnęła głową.

- Nie to miałam na myśli. Chcę, żebyś chronił innych przede mną. Obiecuj mi to.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Czekam na twoje słowo, Ardanie.

Jego wzrok wwiertł się w jej oczy, jakby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał cicho z cieniem złego przeczucia w głosie.

Elyria z trudem przełknęła ślinę. Nie miała wiele czasu, żeby przemyśleć swoją decyzję. Przepowiednia Jalandara odbijała się niecichnącym echem w jej głowie. Choć jej serce знаło dużo wcześniej odpowiedź na pytanie Ardana, ciężko jej przyszło ją wypowiedzieć.

- Jeśli będziesz musiał, zabij mnie.

Puścił ją nagle, aż zatoczyła się do tyłu.

- Oszalałaś? - Wciągnął gwałtownie powietrze, a kiedy znowu zapanował nad głosem, dokończył:

- Rozumiem, że jesteś wstrząśnięta i wytracona z równowagi, ale... Posuwasz się za daleko, Elyrio! Nie możesz ode mnie wymagać, że złożę ci taką obietnicę! To czyste szaleństwo!

- Nie powiedziałam przecież, że masz mnie zamordować przy pierwszych oznakach trudności. - Chwyciła jego dłoń. - Widziałam spojrzenie Jalandara, gdy go spytałam, czy uważa mnie za naprawdę niebezpieczną. Odczułam reakcję Peristaesa na własnym ciele, gdy powiązał moją osobę z tą przepowiednią. Peristaes bał się mnie. I Jalandar także.

- Wierzysz w jego opowieść?

- Chciałabym powiedzieć, że nie. Ale wszystko układa się w całość... Słowa Micheilsa. Utrata mojej magii - w Dzień Zmarłych, w ten sam, w którym ty ją otrzymałeś. Zachowanie Peristaesa. I fakt, że przy naszym pierwszym spotkaniu otrzymałam twoją magię. Jakby...

-...tylko czekała, aby wreszcie do ciebie wrócić.

Elyria skinęła głową.

- Czy nie uważasz, że to wszystko naprawdę ma sens?

Gdy nie odpowiedział, rzekła:

- Wszystko to idealnie pasuje do wyjaśnień Jalandara. Dlaczego cała reszta nie miałyby być prawdą?

- Ponieważ przy przepowiedniach chodzi o pradawny przekaz! Mógł być źle przetłumaczony z jakiegoś dawno zapomnianego języka lub wrywkowo albo po prostu źle

przekazany dalej. Nie wiemy, czy to wszystko rzeczywiście układa się w całość.

- Jeśli tak nie jest - odparła i spojrzała mu zdecydowanie w oczy - nie musisz się martwić, że dojdzie do ostateczności. Jeśli natomiast przepowiednia mówi prawdę i sprawy potoczą się źle, moje życie nie będzie miało znaczenia. Rozumiesz? Tu chodzi o większe rzeczy niż ja czy ty.

Rozumiał. Poczula to po drzeniu jego dłoni, która nadal spoczywała w jej własnej.

- Daj mi słowo, Ar danie.

Nie odpowiedział nic przez dłuższy czas. Jego palce zacisnęły się na jej palcach - nieme błaganie, które nie zostało przyjęte. Wreszcie kiwnął głową.

- Masz moje słowo - odparł ostatecznie. - Ale nie myśl, że cię... że zrobię to, czego ode mnie oczekujesz, ponieważ ty tego chcesz. Sam zdecyduję, kiedy trzeba działać. I przede wszystkim, co trzeba zrobić.

Elyria zamknęła z ulgą oczy. W tym momencie strach i rozpacz spłynęły na nią jak wodospad. Wszystkie plany, które razem stworzyli, i życie, które czekało na nich jeszcze dzisiaj rano, zostały stracone. Jakby nigdy nie istniały. Myślała, że zemdleje, że nie zniesie już więcej tego obciążenia. Drżała na całym ciele, osunęła się na kolana.

- Elyrio!

Ardan ukucnął przed nią. Złapał ją za ramiona i utrzymał w pionie. Z jego ust płynęły słowa, których znaczenia nie rozumiała. Rozpacz wchłaniała wszyst-

- Wszystko to idealnie pasuje do wyjaśnień Jalandara. Dlaczego cała reszta nie miałyby być prawdą?

- Ponieważ przy przepowiedniach chodzi o pradawny przekaz! Mógł być źle przetłumaczony z jakiegoś dawno zapomnianego języka lub wrywkowo albo po prostu źle przekazany dalej. Nie wiemy, czy to wszystko rzeczywiście układa się w całość.

- Jeśli tak nie jest - odparła i spojrzała mu zdecydowanie w oczy - nie musisz się martwić, że dojdzie do ostateczności. Jeśli natomiast przepowiednia mówi prawdę i sprawy potoczą się źle, moje życie nie będzie miało znaczenia. Rozumiesz? Tu chodzi o większe rzeczy niż ja czy ty.

Rozumiał. Poczula to po drzeniu jego dłoni, która nadal spoczywała w jej własnej.

- Daj mi słowo, Ardanie.

Nie odpowiedział nic przez dłuższy czas. Jego palce zacisnęły się na jej palcach - nieme błaganie, które nie zostało przyjęte. Wreszcie kiwnął głową.

- Masz moje słowo - odparł ostatecznie. - Ale nie myśl, że cię... że zrobię to, czego ode mnie oczekujesz, ponieważ ty tego chcesz. Sam zdecyduję, kiedy trzeba działać. I przede

wszystkim, co trzeba zrobić.

Elyria zamknęła z ulgą oczy. W tym momencie strach i rozpacz spłynęły na nią jak wodospad. Wszystkie plany, które razem stworzyli, i życie, które czekało na nich jeszcze dzisiaj rano, zostały stracone. Jakby nigdy nie istniały. Myślała, że zemdleje, że nie zniesie już więcej tego obciążenia. Drżała na całym ciele, osunęła się na kolana.

- Elyrio!

Ardan ukucnął przed nią. Złapał ją za ramiona i utrzymał w pionie. Z jego ust płynęły słowa, których znaczenia nie rozumiała. Rozpacz wchłaniała wszystko, odbierała sens jego słowom, tak jak pojawienie się Jalandara zabrało ich przyszłość. Wszystko się rozpląwało i było bezbarwne.

- Elyrio!

Silne dłonie wbiły się w jej przedramiona i potrząsnęły nią. Kontury i kolory otaczającego ją świata powróciły. Zamrugła i spojrzała na Ardana. Prawie obojętnie dostrzegła w jego spojrzeniu zmartwienie. Spuściła wzrok.

- Nie wytrzymam tego.

Marzyła o tym, żeby wydobyć z Ardana inną przysięgę. Ucieknij ze mną, Ardanie. Teraz, natychmiast. Obiecuj mi, że zignorujesz całe to gadanie o przeznaczeniu i losie, i ucieknij ze mną!

Chwycił ją pod brodę i podniósł głowę. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jesteś niewiarygodnie silna, aż czasami się o ciebie boję. Jeśli teraz się poddasz, będzie to oznaczać, że twoja 'matka umarła na darmo. Oddała życie, żebyś mogła spełnić swoje przeznaczenie i uwolnić świat od tego demona. Jeśli nie zrobisz tego dla siebie lub dla mnie, zrób to dla niej. Uczcij jej pamięć i spełnij swoje przeznaczenie.

- Przecież w ogóle nie znałam tej kobiety!

Łza spłynęła po jej policzku, gorąca i paląca. Nagle zawstydziła się swojej słabości.

- Na sto kartaczy, nie wiem, co się ze mną dzieje! Najpierw wymuszam na tobie obietnicę, której nie chcesz dać, i nagle chcę po prostu uciec! Ja...

- Boisz się. Tak jak ja. - Pomógł jej się podnieść i przyciągnął do siebie. - I mimo to poradzimy sobie.

17

Eddan Peristaes powstrzymał konia. Podniósł dłoń i wytarł sobie kurz z oczu. Mrugając powiekami, rozglądał się dokoła. Jego wzrok padł na korony drzew, nad którymi niczym kopuła rozpościerało się złote światło zachodzącego słońca. Odkąd ta czarownica

opuściła zamek ze swoimi ludźmi, Peristaes podążał ich śladem. Niemordowanie popędzali konie, ale nie zbliżali się do uciekinierów. W rzeczywistości miał wrażenie, że odległość między nim a łupem rosła.

Z niecierpliwością obserwował tropiciela, który zeskoczył z konia, by dokładniej przyjrzeć się śladom. Mężczyzna wędrował po leśnym poszyciu, przechodził z jednej strony na drugą, badał ślady, wypatrywał ich pomiędzy drzewami w tym samym kierunku, który obrali jeźdźcy. Wreszcie kucnął, przesunął palcami po ziemi, jakby chciał coś wyczytać z zagłębień.

- Co jest? - krzyknął Peristaes, gdy mężczyzna od dłuższego czasu nadal nic nie powiedział. - Dokąd zmierzają? Powiedz mi, zanim zapadnie noc!

Tropiciel podrapał się w zamyśleniu po brodzie. Jeszcze raz przesunął wzrokiem po miękkim podłożu, a potem się podniósł.

- Wygląda na to, że się rozdzielili.

- Czy możesz rozpoznać, który z koni był lżejszy, ten z dziewczyną?

- Nie, panie - ponownie popatrzył na ślady. - Wygląda na to, jakby każde z nich pojechało w innym kierunku.

- Każde?

Gdy tropiciel potwierdził skinieniem, Peristaes potrząsnął głową z irytacją. Czy Ardan z Daormiru zostawiłby rzeczywiście dziewczynę samą? Wojownik wbił sobie do głowy, że będzie ją chronił. Z pewnością nie pozwoliłby jej jechać w pojedynkę przez las z oddziałem Synów Eaghana na karku.

- Co zamierzasz, Ardanie z Daormiru? - wymruczał.

Ponieważ ani tropiciel nie mógł udzielić mu odpowiedzi, ani on nie był w stanie przewidzieć planów wojownika, ściągnął z lewej dłoni skórzaną rękawiczkę i odsłonił prosty srebrny pierścień ze skromnym białym kamieniem, całkowicie nierzucającym się w oczy, a jednocześnie bezcennym. Oprócz tego, który miał na palcu, istniał jeszcze jeden taki egzemplarz. I właśnie Crean go posiadał. Zdrada zastępcy paliła go jeszcze w głębi duszy. Chęć zemsty płonęła jak pochodnia w sercu Peristaesa. Buzująca i gorąca. „Nadejdzie jeszcze mój czas. A wtedy jedyne, czego będziesz żałował, to wbicie mi ostrza zdrady między żebra”.

Odsunął myśl o Creanie i zwrócił uwagę na pierścień. Zaskoczony sapnął. Zamiast oczekiwanego jasnego pulsowania, kamień ledwie się jarzył. Jak to możliwe? Nie dzielił ich nawet dystans dwóch godzin. Pierścień powinien wyłapać magię i wskazać drogę. Zeskoczył z siodła i podszedł do miejsca, w którym tropiciel po raz ostatni wypatrywał śladów. Przyjrzał się uważnie podłożu, ale nie zobaczył nic więcej oprócz rozoranej licznymi śladami ziemi.

- Pokaż mi, jakie drogi obrali jeźdźcy - zażądał.

Tropiciel stanął obok niego.

- Jeden pojechał tędy, drugi tutaj, między drzewami. Kolejny - kawałek w lewo, a ostatni... Widzicie tę skałę między dębami? Tam pojechał ostatni.

Peristaes przytaknął i skupił się na piefwszym śladzie. Podniósł dłoń i zwrócił pierścień w kierunku drogi. Słabe jarzenie nie zmieniło się. Spróbował przy drugim śladzie. Nic. Tak samo stało się przy trzecim i czwartym. Wreszcie poszedł śladem tropów kilka kroków dalej i spróbował jeszcze raz. Pierścień milczał.

Z przekleństwem na ustach odwrócił się i podszedł do swojego konia. Gdy sięgnął do kuli u siodła, by się wspiąć, jego spojrzenie padło na pierścień. Czyżby się zmienił? Czy było to lekkie, ledwo zauważalne pulsowanie? Bardziej przeczualne niż widoczne?

Cofnął dłoń i się rozejrzał. Ślady były teraz po jego lewej stronie. Wyciągnął dłoń i poruszył nią w lewo. Nic. Prosto. Żadnej reakcji. Na prawo. Znowu się pojawiło. Ledwie dostrzegalne. Z podniesioną ręką poszedł kilka kroków w tym kierunku. Rzeczywiście, znalazł ją.

„Ta sprytna łajdaczka nie opuściła zamku”. Wrócił do swojego konia i wskoczył na siodło.

- Panie, powinniśmy się rozdzielić, żeby podążać ich śladami - zaproponował tropiciel.

Peristaes potrząsnął głową.

- Sprowadzimy nowe posiłki i pojedziemy z powrotem do Daormiru.

18

Kolejne dni ciągnęły się Elyrii, jakby były ukryte za gęstą mgłą. Jedyne chwile, które przeżywała świadomie, były te spędzone sam na sam z Ardanem. Zawarli niepisane porozumienie, że w tym cennym dla nich czasie nie będą rozmawiać o problemach, które za dnia ciążyły nad nimi jak cienie. Zamiast tego rozkoszowali się spokojem i poczuciem bezpieczeństwa, snując plany na przyszłość. Przyszłość, która odsunęła się daleko przez pojawienie się Jalandara.

Po wymuszeniu na Ardanie przysięgi, że nie dopuści, by stała się dla nikogo zagrożeniem, Elyria porozmawiała jeszcze raz z Jalandarem w cztery oczy. Długo i wnikliwie roztrząsali znaczenie przepowiedni. Niezależnie od tego, pod jakim kątem analizowali słowa, jej sens pozostawał zawsze taki sam.

Jalandar ostrzegał ją przed ślepymi mnichami. Dysponowali zdolnością odbierania siły magicznej obdarzonym nią ludziom. Zdolnością, którą Elyria odczuła na własnej skórze.

Myślała o tym, żeby uciec z Cartomien i gdzieś z dala od tego wszystkiego rozpocząć nowe życie, takie, jakie planowała z Ardanem, ale Jalandar potrząsnął jedynie głową i dał jej pod rozwagę, że nie może uciec przed własnym przeznaczeniem. Ślepcy nie ustaną w swoich poszukiwaniach.

W końcu musiała przyznać, że nie ma wyboru i musi stawić czoło swojemu przeznaczeniu.

Przy zadaniu, które na nią czekało, stało się niezbędne, żeby panowała nad magią. Musiała ćwiczyć i teraz nie chodziło już tylko o to, by umieć powstrzymać moc. Teraz miała nad nią zapanować i nauczyć się nią sterować. Elyria nie miała zamiaru opowiadać o tym Ardanowi, przynajmniej dopóki nie było to konieczne. Zbyt wielka była jej obawa, że cofnie dane jej słowo, jeśli odkryje, że ona nie dotrzymuje swojej obietnicy.

Podczas spaceru po zamku natknęła się przypadkowo na opuszczoną piwnicę winną. Wspaniałe miejsce na ćwiczenia. Kamienne obmurowanie, w oddaleniu, głęboko pod ziemią. Jeśli tylko zostawało jej trochę czasu, szła tam. Zdziwiła ją, jak szybko robi postępy. Na początku miała trudności w opanowaniu magicznej siły. Wyglądało na to, że jej ostatni wybuch zniweczył wszystko, czego Elyria z takim trudem się nauczyła. Za każdym razem pioruny wyładowywały się, czerniąc kamienne mury. Potem jednak, mimo zmęczenia, udało się jej lepiej dawkować siłę. Znalazła sposób, by uchylać wieko skrzyni tylko na tyle, by zaczerpnąć z niej taką ilość mocy, jakiej akurat potrzebowała. Musiała znieść kilka mocnych uderzeń, jednak w miarę upływu czasu sytuacja się poprawiała. Do tego stopnia, że któregoś dnia odważyła się nawet przywołać magię poza piwnicą, kiedy nikt jej nie obserwował.

Najtrudniej było jej ukryć swoje wyczerpanie przed Ardanem. Początkowo z trudem opanowywała przemożną chęć położenia się i natychmiastowego zaśnięcia, kiedy tylko wchodziła do swojej komnaty. Oczy same się jej zamykały, co tłumaczyła nerwowością ostatnich tygodni i dni. Wydawało się, że Ardan jej wierzy.

Gdy wykradała się potajemnie, żeby ćwiczyć, mężczyźni byli pochłonięci bez reszty nadzorowaniem obsady murów, przydziałem wart i wydawaniem broni. Ardan myślał nieustannie o Peristaesie. Z dnia na dzień robił się coraz bardziej niespokojny. Zdawał sobie sprawę, że nie mogą opuścić zamku Daormir, póki nie dowiedzą się, dokąd mają się udać.

Już w dniu swojego przybycia Jalandar podjął w samotności wszelkie konieczne przygotowania. Chciał zapytać runy, bo ufał, że wskażą mu drogę. W innych okolicznościach Elyria śmiała się z tego, ponieważ miała doświadczenia z przepowiadaczami Wędrującego Ludu. Jednak po wszystkim, co w ostatnim czasie usłyszała i zobaczyła, wcale nie było jej do śmiechu. Jeśli ktoś znał się na runach, z pewnością był to Jalandar. Już same przygotowania

zajął mu kilka dni. Przeprowadzenie rytuału miało potrwać całą noc.

Najbardziej zaskoczyła Elyrię reakcja Creana i Gwynna na historię Jalandara. Siedzieli z Ardanem przy kolacji i opowiadali swoim dwóm przyjaciołom, czego się dowiedzieli, nie szczędząc szczegółów. Jalandar przysłuchiwał się w milczeniu, tylko od czasu do czasu coś uzupełniał lub poprawiał.

Crean tylko raz im przerwał. Kiedy Ardan opowiadał o przepowiedni i zamysłach ślepych mnichów, były Łowca uderzył dłonią w blat stołu i krzyknął:

- To jest to, czego szuka Eddan! Zło ukryte pod złem! Zawsze mówił, że za Elyrią musi stać coś innego, większego. Nigdy nie rozumiałem, co ma na myśli. Teraz wreszcie to pojmuję.

- Kiedy tylko poznam nasz cel, będę gotów do wyruszenia! - oświadczył Gwynn.

Crean przytaknął:

- Ja także.

Podczas kolejnych dni posiłki upływały im w głębokiej ciszy. Jalandar często opuszczał towarzystwo, bo był w pełni zaangażowany w przygotowania do rytuału.

- Jak myślicie, ile jeszcze będziemy musieli czekać? - zapytał Crean, gdy znowu jedli obiad bez Jalandara. Mieszał łyżką w swojej misce, nie kosztując potrawy.

Ardan wzruszył ramionami.

- Jalandar myślał, że może dzisiaj skończy przygotowania do runicznej przepowiedni.

- Nie rozumiem, dlaczego to trwa tak długo - mówił Gwynn, przeżuując. - Gdy Dhori przepowiadała, brała kości w rękę, kazała zadać pytanie i po prostu je rzucała.

Łyżka wysunęła się z rąk Elyrii. Poczowała bolesne ukłucie, gdy Gwynn wspomniał o Dhori. Jej myśli podążyły bezwiednie do Micheilsa i reszty trupy. „Czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczę?”. Zmusiła się do skrzywionego uśmiechu.

- Dhori opowiadała ludziom to, co chcieli usłyszeć. A ja mam nadzieję, że Jalandar opowie nam to, co musimy wiedzieć.

- O ile go dobrze zrozumiałem - wmieszał się Ardan - potrzebne mu są jakieś specjalne sproszkowane mikstury, które musi sporządzić własnoręcznie, by posypać nimi kości runiczne. Ich wytworzenie jest, zdaje się, skomplikowane.

Gwynn podniósł głowę.

- Zadaliście sobie kiedykolwiek pytanie, czy możemy mu wierzyć? A przede wszystkim: czy możemy mu zaufać?

- Zna zbyt wiele szczegółów. Niezależnie od tego, gdyby zamierzał coś złego, zdradziłby nas Peristaesowi, zamiast przyjść do nas.

Gwynn zadowolił się odpowiedzią.

- Jeśli to już niedługo, powinniśmy się chyba zastanowić nad uzbrojeniem - zauważył Crean. - Może będziemy zmuszeni do szybkiego wyruszenia.

Ardan przytaknął.

- Dlatego tuż po posiłku się tym zajmijmy. A ty - wskazał łyżką na Elyrię - wypoczniesz. Wyglądasz na zmęczoną.

Elyria unikała jego wzroku, żeby nie mógł z jej spojrzenia wyczytać, dlaczego jest zmęczona. Magia. W rzeczywistości nie miała zamiaru się kłaść. Przeciwnie. Chciała skorzystać z okazji, żeby kontynuować ćwiczenia. Zrobiła duże postępy i nauczyła się rzeczy, o których nie sądziła, że są możliwe.

- Myślę, że zaraz się położę - odsunęła od siebie miskę z zupą i podniosła się. Nagły zawrót głowy, danina, którą musiała zapłacić za swoje ćwiczenia, zmusił ją do przytrzymania się blatu stołu, żeby nie upaść.

Ardan natychmiast znalazł się obok niej i ją podtrzymał.

- Czy źle się czujesz? - zapytał z troską w głosie.

Szybko pokręciła głową.

- Wstałam po prostu za szybko i straciłam równowagę. Już dobrze.

Odsunęła od siebie jego dłonie, pocałowała go w policzek i opuściła salę, zanim zdążył zadać kolejne pytania.

Ponieważ obawiała się, że może do niej zajrzeć, zanim dołączy do reszty, by zająć się uzbrojeniem, po-szła do swojej komnaty i położyła się. Ledwie dotknęła głową do poduszki, zasnęła.

Gdy się obudziła, była przykryta, a kotary zaciągnięte. Wstała i podeszła do okna, żeby je odsunąć. Pomieszczenie zalało słoneczne światło. Przetarła oczy i otworzyła skrzydło okienne, żeby wpuścić świeże powietrze. Przez chwilę stała przy oknie, rozkoszując się łagodnym podmuchem, który przepędził jej zmęczenie. Potem przyciągnęła krzesło i usiadła.

Podniosła dłoń i obserwowała jej powierzchnię. W zamyśleniu przesuwiała wzrokiem po cienkich liniach. Potem przywołała magię. Ze zmarszczonym czołem obserwowała, jak we wnętrzu dłoni tworzy się płomień, nie większy od małego palca. Nie dziwiła się już, że jest chłodny. Podskakiwał, a następnie wystrzelił do góry. Koncentracja Elyrii rosła. W swoim wnętrzu kształtowała magiczną moc, nadała jej inny kształt, obserwowała, jak płomień zamienia się w niewielką ognistą kulę.

Na twarzy Elyrii pojawił się uśmiech, gdy udało się jej sprawić, że kula tańczyła na jej dłoni i ją okrążała. Szybki ruch ręki - kula zgasła. Elyria spojrzała na stolik i skupiła się na

świeczce, która tam stała. Z najwyższą uwagą objęła ją swoją mocą. Ogarek poruszył się lekko. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie wydarzy. Potem świeczka uniosła się z lichtarza w powietrze, utrzymywana siłą woli. Skacząc w górę i w dół świeczka szybowała w jej kierunku. Jedno skinienie głowy i ogarek obrócił się wokół własnej osi, po czym pofrunął dalej.

Elyria patrzyła jak zaczarowana na świeczkę. W ostatnich dniach nauczyła się, jak panować nad mocą i jak nią sterować. Była coraz lepsza. Mimo że najmniejsze wyzwolenie magicznej siły bardzo ją męczyło, udało się jej utrzymać koncentrację.

- Widok twojej magii do tej pory przeszywa mnie dreszczem.

Elyria odwróciła się szybko. Nie słyszała, kiedy wszedł Gwynn. Jej skupienie nagle zniknęło. Świeczka upadła na podłogę.

Poczuła się tak, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Nic o tym nie mów Ardanowi, proszę.

Gwynn zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej.

- Dlaczego?

- Musiałam mu obiecać, że nie będę więcej posługiwać się magią. Jeśli się o tym dowie... Bardzo się martwi. Zupełnie niepotrzebnie, jak sam przed chwilą widziałeś.

Gwynn schylił się po świeczkę, podniósł ją i usiadł na parapecie. Powoli przesunął ogarek między palcami.

- Dotychczas widziałem tylko błyskawice i ogniste kule wydostające się z twojej dłoni - mówił, nie odrywając wzroku od świeczki. - Sporo się nauczyłaś.

- To prawda. Lepiej nad nią panuję - zgodziła się z bratem.

Gwynn spojrział na nią bystro.

- W dalszym ciągu jednak posługiwanie się magią wyczerpuje cię jak dawniej.

- To tylko małe wprawki. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Ach tak? - zmarszczył czoło. - Przed kim chcesz udawać? Widziałem, jak się zatoczyłaś, kiedy wstawiałaś od stołu.

- No dobrze - odparła naburmuszona. - Ale jest już dużo lepiej niż kiedyś. Naprawdę.

- Nie jestem pewien - nadal patrzył na nią badawczo. - Nie podoba mi się to wszystko. Według mnie Ardan martwi się nie bez powodu.

- Jeśli choć połowa z tego, co mówi Jalandar, jest prawdą, będę potrzebowała magicznej siły - westchnęła ciężko - Ona jest kluczem. Inaczej po co matka miałaby mi ją przekazywać?

- Słusznie. - Gwynn zmienił nieoczekiwanie front. -1 myślę, że nie zaszkodzi, jeśli

nauczysz się panować nad swoją siłą.

- Więc mnie nie zdradzisz?

Potrząsnął głową.

- Jesteś mądrą dziewczyną. Ufam, że wiesz, co robisz.

- Dziękuję - pochyliła się i sięgnęła po jego dłoń. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo zanieczyściła go w ostatnim czasie.

- Przykro mi - powiedziała cicho. - Wybacz, że wciągnęłam cię w to wszystko. Podczas ostatnich dni i tygodni nawet nie miałam dla ciebie czasu.

Smutny uśmiech przemknął po jego twarzy.

- Gdybym nie pozwolił ci wtedy odnieść medalionu...

- To wszystko stałoby się tak czy inaczej. Słyszałeś Jalandara. Powiedział, że to moje przeznaczenie. A teraz jesteś w środku wydarzeń i to napawa mnie przerażeniem.

Wzruszył ramionami.

- Jestem szczęśliwy, że mogę być przy tobie i pomagać ci najlepiej jak potrafię. Możliwe, że nie jestem twoim rodzonym bratem, ale jakie to w końcu ma znaczenie? W moim sercu zawsze będziesz częścią mnie. Jesteś moją siostrą i pozostaniesz nią bez względu na to, co się wydarzy. Nieważne, co mówi Jalandar. A jeśli chodzi o brak czasu, to powiem ci jedno - cieszę się na myśl o tobie i Ardanie. Pamiętasz, jak do was dołączyłem? Jak Ardan chciał się mnie pozbyć? Miał w oczach ten ogień, kiedy na ciebie patrzył. Już wtedy miałem przeczucie, że należycie do siebie, chociaż wy jeszcze tego nie przypuszczaliście. Wykorzystajcie ten wspólny czas, który pozostał wam do chwili naszego wyjazdu. Szczerze wam tego życzę.

Wzruszona słowami brata podniosła się i objęła go serdecznie.

Stukanie do drzwi obudziło jej czujność. Gdy puszczała Gwynna, do komnaty wpadł Crean.

- Ardan chce nas widzieć, natychmiast!

Ardan stał przy oknie swojego gabinetu i patrzył w dal, gdzie zmierzch wyciągał długie sine palce nad krajobrazem. Cienie stawały się coraz dłuższe i dłuższe. Jego wzrok spoczął na murze, jednak nie dostrzegał ani strażników pełniących służbę na chodnikach strzelniczych, ani kamieni czy blanek. Oczy jego duszy kierował się w inną stronę - ku Peristaesowi i Synom Eaghana.

Jeden z mężczyzn przybiegł z wieścią, że coś się dzieje na zewnątrz. Ardan podążył za nim na mury, poczuł ukłucie w sercu. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczył Peristaesa. Z pięciokrotnie większą liczbą ludzi niż przedtem. Żwawym krokiem udał się do

swojego gabinetu i kazał zawołać resztę towarzyszy.

Drzwi otworzyły się z hukiem. Ardan odwrócił się szybko. Do środka wpadł Crean razem z Elyrią i Gwynnem.

- Bogowie, Ardan! Co się dzieje? - wykrzyknął Crean już w progu.

- Peristaes wrócił.

Elyria zbladła.

- Co takiego? - wyszeptała ledwie słyszalnym głosem. Ominęła Creana i podeszła do okna. Przysłoniła dłonią oczy i spoglądała na mury.

- Gdzie rozbili obóz? - zapytała.

- Jeszcze nigdzie. Na razie rozdzielają się na mniejsze grupy. Wygląda na to, że chcą nas otoczyć.

- Otoczyć? - Crean wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. - Przeklęty pierścień! Ilu ich jest?

- Cała setka.

Ardan opanował się z największym trudem. Najchętniej z miejsca chwyciłby za łuk czy kuszę, wskoczył na mury i powystrzelał ludzi Peristaesa, jednego po drugim. Szkopuł w tym, że nie był tu jedynym wojownikiem. Ludzie Peristaesa też znali się na swoim rzemiośle. Byli zbyt sprytni, żeby podchodzić na odległość rażenia broni. Na razie zadowalali się faktem, że są dostrzegani, podczas gdy nadal się rozdzielali, tworząc pierścień wokół zamku.

- Dalsze posiłki są już pewnie w drodze. Tylko ich patrzeć!

- Chce nas oblegać? - jęknął Gwynn. - Ja chyba śnię!

Elyria wciąż wyglądała przez okno. Nic nie mówiła.

Crean spojrzał na Ardana.

- Ilu mamy ludzi? Musimy podzielić ich na wachty. Czy zamek ma jakieś słabe miejsca, które Peristaes mógłby wykorzystać? Jak wygląda sytuacja z bronią? Czy mamy jej pod dostatkiem? Olej i smoła? Pochodnie! Zapasy? Woda? Trzeba również dopilnować, żeby...

- Musimy jakoś się stąd wydostać! - wpadł mu w słowo Ardan. - Ten zamek nie jest przygotowany na oblężenie. Psiakrew! - Uderzył pięścią w ścianę. - Ja i mój wspaniały pomysł pozostania tutaj, zamiast ucieczki! Jestem wojownikiem! Jak mogłem być tak głupi, żeby dać się wciągnąć w zasadzkę? Na własne życzenie!

Zamierzył się po raz kolejny. Wtedy Elyria położyła mu dłoń na ramieniu. Jej dotknięcie uspokoiło go na chwilę.

W jej oczach ujrzał zmęczenie i strach. Zrozpaczony wziął ją w ramiona i przytulił,

jakby bał się ją stracić, jeśli nie przygarnie jej do siebie dostatecznie mocno.

- Tak mi przykro.

Elyria objęła go za szyję.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedziała cicho. - Przetrzyliśmy już dużo gorsze rzeczy.

„Gorsze niż stu wojowników, którzy nas oblegają?”, pomyślał z goryczą. Jego myśli powróciły mimowolnie do dnia, w którym uratował ją przed stosem. Wtedy o mały włos jej nie stracił. Na samą myśl, że mogłoby przydarzyć się jej coś podobnego, przerażenie sznurowało mu usta. Ponieważ nie był w stanie odpowiedzieć, pocałował ją delikatnie u nasady włosów. Potem zwrócił się do reszty.

- Musimy coś wymyślić, żeby stąd uciec.

- Przełamać ich pierścień?

- Wykluczone - Ardan potrząsnął głową. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak znikomą liczbą ludzi dysponuje. Wystarczającą, by obstawić mury, i jeśli trzeba, utrzymać je przez jakiś czas, lecz zbyt małą do otwartej walki.

Dopał do jednej w wielkich szaf, otworzył ją na oścież i wyciągnął zwój pergaminu. Zsunął z biurka wszystko, by go rozwinąć. Mrużąc oczy, próbował spojrzeć na niego, jednak nie mógł rozpoznać szczegółów. Było zbyt ciemno. Podczas gdy usiłował nadać kreskom tuszu jakiś sens, Elyria postawiła latarnię na stole i zapaliła knot. Pomarańczowozłota poświata zalala mapę. Biegnące przez nią linie odzwierciedlały mury, izby i korytarze zamku Daormir. Widział te mapy już wcześniej, lecz nigdy nie studiował ich z uwagą. Dzisiaj miał nadzieję, że odnajdzie w tym labiryncie atramentowych kresek jakieś sekretne wyjście.

- Sekretne przejścia? - Crean stanął obok niego i spojrział na pergamin. Gwynn i Elyria także się nad nim pochylili.

- Miejmy nadzieję.

Ardan nigdy nie przebywał w zamku na tyle długo, by zająć się szczegółowo planami budynku. Teraz tego żałował. Przebiegał spojrzeniem po wyblakłych liniach na pergaminie, jednak nigdzie nie dostrzegł tajemnego przejścia. W końcu zadał sobie kluczowe pytanie: czy budowniczy tego zamku zaznaczyłby je w planach?

Zastanawiał się gorączkowo, jakie miejsca byłyby najbardziej dogodne, żeby ukryć tajemne przejście, więc nie zauważył, że tymczasem dołączył do nich Jalandar. W dłoni trzymał woreczek, który Ardan już wcześniej widział. Mała skórzana sakiewka zawierała komplet misternie rzeźbionych kości runicznych. Bez wątplenia to Jalandar własnoręcznie zaopatrzył kości w tajemnicze symbole, których Ardan nie rozumiał, a z których można było

rzekomo wyczytać przyszłość.

- Słyszałem, co się stało.

Długa obszerna szata otulała jego kościstą postać jak fale lichą łódkę na niespokojnym morzu.

- I niestety, niestety muszę dołożyć do tego kolejne złe wieści.

Z wściekłością rzucił na stół woreczek, który zagrzecotał złowrogo.

- Nie wiem, gdzie leży przyczyna! Byłem tak dobrze przygotowany. Wszystkie proszki dokładnie wymieszałem i odważyłem z największą starannością, a jednak... - Potrząsnął głową. - Rzuciłem kości, lecz wszystko, co mogłem z nich wyczytać... To nie miało żadnego sensu. Jeszcze raz postawiłem pytanie i powtórzyłem procedurę, ale wynik był wciąż ten sam. Bezsensowne gadanie!

- Co mówią runy? - Elyria spojrzała na niego pytająco.

- Coś o wirujących siłach i zamkniętych oczach. - Jalandar znów potrząsnął głową. - To tak, jakby coś blokowało przepływ energii i uniemożliwiało mi kontakt z energiami wieczności. Wirujące siły - mruknął. - Co za bzdura.

Westchnął ciężko i przetarł zmęczone oczy.

- Cały ten czas zmarnowany! Gdybym się tak nie upierał, żeby poradzić się runicznej wyroczni, moglibyśmy być już daleko stąd. A teraz siedzimy w potrzasku!

Gwynn uderzył pięścią w stół.

- Czy w tym towarzystwie jest jeszcze ktoś, kto chce przypisać sobie winę za położenie, w którym się znaleźliśmy? - Potoczył wzrokiem po zebranych. - Każdy z was zrobił to, co uważał za słuszne. Ardan ochronił nas przed ludźmi Peristaesa. A wy, Jalandarze, chcieliście zasięgnąć rady wyroczni. Co byśmy robili na zewnątrz? Błądzilibyśmy tylko bez celu!

- Królestwo Elfów byłoby na początek dobrym celem - mruknął stary.

Gwynn miał rację. Wyrzuty im nie pomagały. To, co w tej chwili miało znaczenie, to sprawy, z którymi musieli się zmierzyć.

- Porozmawiam z Fergalem. Zna ten zamek od podszewki.

Ardan chciał już po niego posłać, koniec końców zdecydował jednak inaczej.

- Zaraz wracam.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Ostatnie smugi światła wpadały przez okno na drugim końcu korytarza, zanurzając go w półmroku. Coraz dłuższe cienie pełzały po ścianach. Ardan zdążał w kierunku schodów. Podmuch zimnego powietrza przeszył go dreszczem. Może to tylko nieprzyjemne uczucie głaszczące go chłodnymi palcami po karku?

Jednak było tam coś jeszcze. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Ardan zastanawiał się, czy to przypadkiem nie skutek napięcia, na wszelki wypadek jednak zwolnił kroku. Uczucie, że nie jest sam, wzmogło się i Ardan postanowił się zatrzymać. Poczuł przemożną potrzebę odwrócenia się, a jednocześnie uważał, że to głupie. Może to Elyria, która za nim pobiegła, żeby pobyć z nim sam na sam. Ale dlaczego nic ni'e mówi? Ktoś tu jest! Powoli się odwrócił. Spojrzał na cienie bardzo uważnie, szukał w nich czegoś, co mogło się za nimi skrywać. Nic. Tylko te cienie i uczucie zagrożenia, które wywołał Peristaes i jego ludzie. Troska o Elyrię najwyraźniej sprawiła, że widzi duchy. Zdecydowanym ruchem odwrócił głowę i w tej samej chwili głuche uderzenie pozbawiło go przytomności.

*

Elyria siedziała na parapecie i wpatrywała się zamyślona w swoje kolana.

W ostatnich dniach uważała, że jedynym jej problemem jest zastanawianie się nad konfrontacją z demonem, jak przepowiadał Jalandar. Od tamtej pory przestała myśleć o Peristaesie i jego ludziach. Wizja, że

Łowcy Czarownic w dalszym ciągu mogą jej zagrażać, przesunęła się na dalszy plan aż do tej chwili. Elyria zamknęła oczy i masowała sobie skronie. Dotyk ciepłych dłoni przyniósł jej ulgę. Kiedy znów otworzyła oczy, stał przed nią Crean.

- Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała. - Nie, właściwie nie. Nie wiem, dokąd to prowadzi. Każdy z nas obwinia się za to, że utknęliśmy w tym zamku. A przecież, gdyby nie ja, to żaden z was...

- Nie znalazłby się w niebezpieczeństwie?

Skinęła powoli głową. Crean usiadł obok niej na parapecie.

- Gdyby nie ty, wciąż byłbym jednym z Synów Eaghana i każdego dnia zadawałbym sobie pytanie, dlaczego mnie to nie uszczęśliwia. Tak samo, jak to się działo od miesięcy, zanim przybyłaś. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim zrozumiałem, chociaż na początku było to jedynie współczucie, które kazało mi ci pomóc. Potem uświadomiłem sobie przyczynę mojego niepokoju. W głębi duszy od dawna nie byłem przekonany, że jest rzeczywiście słuszne wytrzebiecie całej magii. Było to jedynie uczucie, nic konkretnego. - Spojrzał na nią.
- Twoja magia i przepowiednia Jalandara pokazały mi, jak bardzo się myliłem. Synowie Eaghana nie mieli racji. Gdyby cała magia została wytępiona, nie byłoby już nikogo, kto mógłby stawić czoło Czarnemu Królowi. Musielibyśmy bezradnie przyglądać się temu, co się dzieje. Magia od zawsze była ważną częścią naszego życia. Druidzi to wiedzieli. Mam nadzieję, że Bractwo też to zrozumie pewnego dnia.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ta świadomość może zadośćuczynić naszym

wszystkim niebezpiecznym przygodom i zagrożeniu!

Elyria patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przecież nie wiemy, co się jeszcze wydarzy!

- Oczywiście, że nie.

Oczy mu załśniły, jakby dostał gwiazdkę z nieba.

- Co byłoby warte jakieś przekonanie, gdyby człowiek nie był gotów do poświęceń?

Wierzę, że magia jest ważna. Ty jesteś ważna. I jak każdy z nas zrobię wszystko, by cię chronić.

- Czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć za to, co dla mnie zrobiłeś? Wy wszyscy...

- Nie oczekuję podziękowań. - Crean uścisnął jej dłoń. W tym drobnym geście było tyle troskliwości, że na chwilę poczuła się lepiej. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Świadomość, że jest otoczona przyjaciółmi, przyniosła jej ulgę. Nadzieja wstąpiła w serce Elyrii. Do tej pory zawsze udawało się im znaleźć jakieś” wyjście. I tak będzie tym razem.

- Uciekniemy Peristaesowi - powiedział Crean, jakby czytał w jej myślach.

- Przepowiednia byłaby bezwartościowa, gdyby można ją było zaprzepaścić przez byle obłąkanie, prawda? - stwierdziła z przekonaniem.

- Oto Elyria, jaką znam. Wojownicza. - Uśmiechnął się. - Niezależnie od tego byłem przez wiele lat zastępcą Peristaesa. Znam go. Wiem, jak myśli i co nim powoduje. A to lepsze niż jakakolwiek armia. Pobjemy go jego własną bronią. Wszystko, czego potrzebuję, to trochę czasu.

I rzeczywiście. Crean był najlepszym sprzymierzeńcem, jakiego mogła sobie wymarzyć, w walce z Peristaesem i jego Łowcami Czarownic. Znajdą jakieś wyjście, to pewne!

Drzwi zostały tak gwałtownie otwarte, że Elyria zeskoczyła przestraszona z parapetu. Do komnaty wpadł jak bomba Fergal.

- Chodźcie ze mną! Natychmiast - krzyczał, łapiąc z trudem powietrze. - Coś się stało!

- Gdzie twój pan? Czy wie o wszystkim?

Niejasne przecucie chwyciło ją za serce. Wiedziała, że nie jest gotowa na odpowiedź.

- Tam, na zewnątrz... na dziedzińcu... - szukał słów, wpatrując się w Elyrię. - Pojmali pana i grożą, że go zabiją, jeśli nie oddacie się w ich ręce.

Elyria zasłoniła usta dłonią. Nadzieja, którą jeszcze przed chwilą odczuwała, rozprysła się na tysiące kawałków. Czy to się nigdy nie skończy? Oczekiwała, że wpadnie w czarną

rozpacz, aż ogarnie ją słabość. Ale poczuła tylko nieprawdopodobną pustkę.

- Jak się tu dostali?

Słowa Gwynna wpadły przez jej uszy i przeleciały przez duszę. Wszystko jedno, jak się dostali. Teraz byli tutaj. Powoli wypełniało ją zdecydowanie. Nie dopuści, żeby coś się stało Ardanowi. Zapłacisz mi za to, Eddanie Peristaesie. Stanowczym krokiem podeszła do drzwi.

Crean zastąpił jej drogę.

- Dokąd się wybierasz?

- Na dziedziniec - chciała go wyminąć, ale złapał ją za rękę.

- Ale...

- Mają Ardana, a teraz chcą mnie. Co tu jest jeszcze do planowania? - Usiłowała się oswobodzić, lecz on jej nie puścił.

- Nie rób głupstw, Elyrio - wtrącił się Gwynn.

- Głupstw? - warknęła. - Nie dopuszczę, żeby mu coś zrobili z mojego powodu! - Spróbowała wyrwać się kolejny raz.

- Nie! - Gwynn odepchnął Creana, chwycił Elyrię za ramiona i zmusił ją, żeby na niego spojrzała. - Wiesz, co się stało ostatnim razem, kiedy stanęliśmy oko w oko z Peristaesem i jego ludźmi. Całkowicie straciłaś kontrolę, otoczyłaś ich całą swoją magią aż do samozatrącenia. Potem nie miałaś już nic, czym mogłabyś się obronić. A twoja magia nie wyrządziła im żadnej krzywdy! Pamiętasz to jeszcze?

„Myślisz, że mogłabym zapomnieć, że zaprowadził mnie na stos?”, pomyślała.

- Teraz lepiej panuję nad magią.

Jalandar chrząknął.

- Może powinniśmy najpierw zejść na dół i zobaczyć, co się tam dzieje, zanim zastanowimy się wspólnie, co dalej robić.

Crean przytaknął.

- Co racja, to racja.

Gwynn puścił Elyrię i zwrócił się do Fergala.

- Zaprowadź nas tam.

Biegli za Fergalem, mknąc długimi korytarzami. Zanim dotarli do portalu, zarządca stajni zatrzymał się.

- Czeka ją tam na zewnątrz.

Crean skierował się do wyjścia i tym razem zatrzymała go Elyria.

- Czeka. - Wskazała na okno obok drzwi. - Teraz nadszedł czas, by zbadać sytuację.

Jalandar pierwszy znalazł się przy oknie. Ostrożnie przysunął się do szyby i wyjrzał na zewnątrz.

Zbladł.

- Na wszelkie moce!

Elyria nie była na tyle blisko, by móc wyjrzeć na zewnątrz. Zachowanie Jalandara obudziło w niej najgorsze koszmary. Jest martwy! Przed jej oczyma pojawiły się straszne obrazy. Twarz Ardana zastygła w śmiertelnym grymasie. Krew. Wszędzie krew. A nad tym wszystkim stał Peristaes i śmiał się szyderczo. Szybko odsunęła od siebie tę straszną wizję. Peristaesa nie byłoby tutaj, nie naraziłby się na takie niebezpieczeństwo. Od tego miał swoich ludzi.

Wreszcie dotarła do okna. Jalandar odsunął się na bok, żeby zrobić jej miejsce. Poszybowała wzrokiem ku pochodniom otaczającym dziedziniec pomarańczowym pierścieniem ognia, potem spojrzała na górną część muru. Ciemne zarysy wskazały jej pozycje zajmowane przez ludzi Ardana. Stali tam z łukami gotowymi do strzału i kuszami. Postacie utkane z ciemności, broń skierowana na dziedziniec.

W środku ognistego kręgu stał jakiś człowiek. Wiatr szarpał jego zniszczoną togę, wzdymał ją i wyolbrzymiał jego cień. Ale to jego oczy przykuły wzrok Elyrii. Tam, gdzie powinna lśnić tęczówka, zobaczyła jedynie czerń. Głębokie cienie nad pustymi oczodołami.

Wyznawca Czarnego Króla podniósł dłoń i przywołał ją do siebie skinieniem. Elyria stała jak zaczarowana, wpatrując się w niego. Gdy się nie poruszyła, ślepiec dał znak. W tym samym momencie w krąg światła wszedł jeszcze ktoś. Serce Elyrii zamarło, gdy rozpoznała Ardana. Ze związanymi rękoma na plecach, całkowicie we władaniu ślepeca. Powłóczył nogami, jakby nie był sobą. Rozbieganymi oczami starał się rozpoznać otoczenie, podczas gdy ślepiec popychał go przed sobą jak żywą tarczę, ze sztyletem przytkniętym do gardła, co miało przekonać strzelców na murze, żeby nie zrobili żadnego nieprzemyślanego ruchu.

- Jego życie w zamian za ciebie!

Nie była pewna, czy głos pochodził z jej głowy, czy wyznawca Czarnego Króla powiedział to głośno. Wystarczająco głośno, żeby być usłyszanym wewnątrz murów.

- Nie dostaniesz nikogo z nas - mruknęła.

- Elyrio, co zamierzasz?

Dopiero teraz zauważyła Gwynna, który stanął obok niej. Za nim stał Crean.

- Pozbędę się ich!

Gwynn spojrzał jej w oczy.

- Wiem, że ćwiczyłaś. Małe wprawki szły ci bardzo dobrze. Mają jednak Ardana. Gdy

ich zaatakujesz, zrobią...

Potrząsnęła głową.

- Bez obaw, nic mu nie zrobią. Nie mogą nic zrobić, bo w momencie, gdy go zabiją, zostaną naszpikowani strzałami i pociskami.

„Bogowie nie dopuście, żebym się myliła!”, dodała w myślach.

Odeszła od okna i skierowała się do drzwi.

- Poczekaj! - krzyknął Crean. - Porozmawiajmy o tym w spokoju.

- Masz jakiś lepszy pomysł?

- Nie. Jeszcze nie - odparł. - Ale jestem pewien, że znajdziemy inne rozwiązanie, jeśli tylko wspólnie ruszymy głowami.

„Jeśli zbyt długo będziemy się zastanawiać, opuści mnie odwaga”. Nawet teraz nie mogła zapomnieć swojego pierwszego spotkania ze ślepcami. Słabość, którą odczuła po dotknięciu tych mężczyzn, do tej pory przeszywała ją dreszczem. „Muszę dopilnować, żeby nie podeszli zbyt blisko. A co będzie, jeśli wcale nie będą musieli podchodzić, żeby zabrać mi całą siłę? A co będzie, jeśli wystarczy jedna myśl, żeby mnie sparaliżować?”. Odsunęła od siebie wszelkie wątpliwości i wyciągnęła dłoń w kierunku klamki.

Zacisnęła palce na zimnym metalu. Jeszcze raz odwróciła się do Creana i reszty. Na ich twarzach malowała się bezradność. Crean wyglądał tak, jakby lada chwila miał chwycić za miecz i wypaść na dziedziniec.

- Więcej wiary! Uwolnię go. Zaufajcie mi.

Potem otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

Kiedy Ardan zobaczył Elyrię, próbował wyrwać się ślepcowi. Sztylet na jego szyi załśnił, gdy ten wzmocnił chwyt i zmusił Ardana do posłuszeństwa.

- Elyrio, wracaj do zamku!

- Bez ciebie nie wrócę.

Nadeszła chwila prawdy. Teraz się okaże, czy te wszystkie godziny ćwiczeń na coś się przydały.

Skupiła swoją uwagę na sztylcie. Magiczna moc sunęła, szukając drogi przez dziedziniec, i wpełzła po ciele Ardana w górę. Elyria kierowała siłą, prowadząc ją do celu, jakby jej własne palce dotykały ostrza. Chłodna stał, gładka i ostra. Chwyciła ją. Jednym szarpnięciem wyrwała sztylet ślepcowi. Kiedy tylko ostrze znikło z gardła Ardana, ten wyswobodził się z uchwytu. Drugi ślepiec próbował go złapać, Ardan pchnął go jednak z całej siły, aż tamtem upadł. Spętany stracił równowagę i przewrócił się na ziemię. Elyria straciła go z oczu. Jej uwaga wciąż była skupiona na sztylcie. Zamiast pozwolić mu upaść,

podniosła go myślami i skierowała przeciwko wyznawcy Czarnego Króla.

W chwili gdy ostrze wystrzeliło wycelowane w ślepcę, powietrze zadrgało jak w upale, otoczyło go i ochroniło przed śmiertelnym uderzeniem. Pewnym ruchem ręki chwycił broń w powietrzu. Magia utrzymująca sztylet zerwała się, jakby przerwał nić, która łączyła sztylet z Elyrią.

Szybko spojrzała na Ardana. Mimo że nadal miał skrepowane dłonie, rzucił się z furią na wyznawcę

Czarnego Króla i powalił go uderzeniem głowy. Drugi cień stał za plecami Ardana ze sztyletem w dłoniach. Jego puste oczodoły były skierowane na Elyrię. Milczące ostrzeżenie. Albo wyzwanie.

Poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

- Daj spokój.

Głos Creana niewyraźnie przebił się do jej ucha. Elyria zsunęła delikatnie jego dłoń z ramienia i przywołała magię. Przeszyło ją gorąco i wpłynęło w jej rękę. Palce łaskotały, gdy kierowała dłoń na ślepcę. Wycelowwała i uwolniła magiczną siłę. Piorun przeleciał przez dziedziniec, strzała ze światła i czystej energii. Popędził w kierunku celu i uderzył. Wpadł w falującą ścianę, która wzniosła się przed wyznawcą i wchłonęła energię. Z rozzłoszczonym sykiem energia zgasła.

Elyria krzyknęła z wściekłością i posłała kolejny piorun. Potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż zachwiała się z osłabienia. Żaden z jej magicznych pocisków nie sięgnął celu. Wszystkie zgasły w nicości. Zrozpaczona usiłowała pochwycić ślepcę swoją mocą, lecz choć stał w miejscu, wyślizgiwał się jej niczym węgorz.

Wyznawca Czarnego Króla podniósł sztylet i skierował go na plecy Ardana.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie. - Nie!

Ręka podniesiona do śmiertelnego ciosu znieruchomiła w powietrzu. Ardan usiłował się przeturlać. Ślepiec wbił mu stopę w plecy i uniemożliwił jakikolwiek ruch.

- Czas negocjacji się skończył! - zawołał ślepiec. - Chodź, a daruję mu życie. Jeśli się sprzeciwisz, on umrze. Jesteś nasza, dziewczyno!

Elyria zlustrowała wzrokiem mury. Wojownicy wyglądali jak posągi. Żaden z nich nie odważył się poruszyć. Co się stanie, gdy odmówię? Zabiją Ardana. A potem wszystkich innych. Aż w końcu się podda.

- Wygrałeś! Puść go.

Ślepiec potrząsnął głową i poderwał Ardana na nogi.

- Najpierw ty.

Kiedy nadal się nie poruszyła, złapał Ardana za włosy i obnażył mu szyję. Przeciągnął ostrzem po jego gardle gestem dość mocnym, żeby zostawić na skórze krwawą pręgę.

- Przestań! - krzyknęła tak głośno, że głos się jej załamał. - Idę!

Odwróciła się. Crean, Gwynn i Jalandar stali tuż za nią z twarzami zamarłymi z przerażenia.

Jalandar potrząsnął głową.

- Nie rób tego, Elyrio - poprosił cicho. - Nie wolno ci wydać się w ich ręce.

Spojrzała na niego z powagą.

- Przecież sami mówiliście, że nie da się uniknąć konfrontacji, nieprawdaż? Jeśli mam zniszczyć Czarnego Króla, i tak muszę do nich pójść.

- Ale na naszych warunkach! - krzyknął zrozpaczony Gwynn. - Nie na ich!

Popatrzyła na Ardana i na krwawy ślad na jego szyi.

- Myślę, że nie mamy wyboru. Bogowie, jak mam walczyć z demonem, skoro nie potrafię rozprawić się z jego wyznawcami?

Zrobiła pierwszy niepewny krok. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Z każdym kolejnym rosła jej determinacja. Nikt nie umrze tej nocy z jej winy. A już na pewno nie Ardan. Znajdą jakieś wyjście. Dotąd zawsze jakieś znajdowali.

Kiedy już prawie dotarła do ślepego mnicha, poruszył się drugi, którego Ardan powalił na ziemię, i podniósł się z trudem. Elyria przystanęła. Była teraz tak blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby Ardana.

Sztylet nadal spoczywał na jego gardle. Strużka krwi spływała mu po szyi. Gdy podeszła jeszcze bliżej, ślepiec wzmocnił chwyt i wygiął głowę Ardana bardziej do tyłu, żeby ten nie mógł się poruszyć. Ostrze sztyletu muskało skórę. Ardan próbował na nią spojrzeć. Mięśnie szczęki napinały się z hamowanej wściekłości.

- Elyrio! - dyszał, zapominając o ostrzu tuż przy jego szyi. - Odejdź stąd! Uciekaj!

- Nie mogę... - wyszeptwała.

„Za bardzo cię kocham, żeby spokojnie patrzeć, jak cię zabijają”.

Oczy miała pełne łez.

- Złamałam moją obietnicę. Wybacz mi.

Kiedy wyciągnęła dłoń do Ardana, ślepiec powalił go na ziemię i ją złapał. Słabość przyszła gwałtownie. Elyria próbowała opierać się chwytającym ją rękoma, lecz ich dotyk pozbawił ją wszelkiej siły. Ziemia zachwiała się, a świat zakręcił wściekle. Nogi Elyrii zmiękły. Upadłaby, gdyby uścisk ślepeca nie był tak bezlitosny. Odszukała wzrokiem Ardana, który próbował się podnieść. Usiłowała zapamiętać jego twarz, gdy oczy zasły jej mgłą.

Bliska omdlenia osunęła się w uścisku ślepcy. Powieki zatrzepotały. Drżała na całym ciele i nie znalazła nawet siły na jęk.

Zerwał się wiatr. Pojawiło się rozlane światło, a potem wyrósł przed nią wir ciemności zmieszany z jasnością. Z początku był wielkości głowy dziecka, ale rósł stopniowo, aż osiągnął wielkość dorosłego człowieka. Wiatr zamienił się w nawałnicę, która szarpała jej włosy i suknię. Ogłuszające wycie wypełniło powietrze. Wyznawca Czarnego Króla wzmocnił uścisk i popchnął ją w kierunku wiru. Wichura przybierała na sile. Elyria weszła w nią chwiejnie, podtrzymywana przez ślepcę. Potem ją puścił.

- Czeka na ciebie.

Popchnięcie w plecy pozbawiło ją ostatecznie oparcia. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszała, zanim została porwana przez wir, był głos Ardana wykrzykującego jej imię.

19

- Elyria! - Ardan nadal wykrzykiwał jej imię. Ochryple i skrzekliwie, zanim jego głos zamarł. Cisza opadła na dziedziniec jak całun.

Kłęczał na ziemi, wpatrując się w miejsce, gdzie Elyria zniknęła porwana przez wir rozlanego światła. Wiru już nie było. Rozpłynął się w nicości razem z Elyrią.

Mimo że wiatr się uspokoił, Ardan nadal słyszał jego wycie. Wypełniał jego duszę jak tysiące głosów, szumiał w mózgu, odrywając go od rzeczywistości. Nie mógł zapomnieć jej zrozpaczonego spojrzenia i lęku na twarzy, gdy wyznawca Czarnego Króla popchnął ją w środek wiru.

„Złamałam moją obietnicę. Wybacz mi”. Słowa Elyrii grzmiały mu w uszach jak salwy armatnie. Wciąż na nowo i na nowo, i na nowo, jak niekończące się echo. Magiczna siła, którą zastosowała, była inna. Elyria panowała nad nią. Chciałby, żeby teraz przy nim była. Wziąłby ją w ramiona i powiedział, że użycie magii nie ma dla niego żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, kiedy była przy nim. Ale teraz jej nie było.

Nawałnica w jego głowie nasilała się z każdym uderzeniem serca, szum narastał. Poczł, że ma wolne ręce.

Ktoś przeciął mu więzy. Ardan podniósł głowę i zobaczył Creana i Gwynna. Powoli zrozumiał, że to nie odgłosy wichury wypełniały mu czaszkę, lecz słowa, które ktoś do niego wypowiadał. Mrugając powiekami, patrzył na obu towarzyszy. Trwało dłuższą chwilę, zanim z tych słów udało mu się wydobyć jakiś sens.

- Jesteś ranny?

- Tylko... - podłużny cień za plecami Creana przykuł naraz jego uwagę. Jalandar stał przed kręgiem światła struchlały z przerażenia, ze wzrokiem wbitym w miejsce, w którym

zniknęła Elyria.

W wirze. Ta świadomość uderzyła w Ardana jak cios. Czy to nie runy Jalandara mówiły coś o wirujących siłach i zamkniętych oczach? Nie wiedział, co było gorsze: fakt, że kości rzeczywiście przepowiedziały przyszłość, czy widok grozy malującej się na twarzy starca. Ardan wbił w niego wzrok, jakby chciał przeniknąć jego myśli. Odsunął pomocną dłoń Gwynna i sam podniósł się z ziemi.

- Jesteś ranny? - powtórzył Gwynn.

Ardan wyminął go bez słowa i podszedł do Jalandara.

- Dokąd ją zabrali?

- Nie wiem - wyszeptał zbielełymi wargami, nie patrząc na niego.

- Nie wiecie?! Jak to możliwe? - ryknął Ardan i złapał go za kołnierz. - Przecież wasze kości to przepowiedziały, więc nie opowiadajcie mi teraz, że nie wiecie, dokąd ją zabrali ci szubrawcy!

Przez chwilę miał wrażenie, jakby stanął obok siebie i obserwował, jak wrzeszczy na tego nieszczęsnego starca i potrząsa nim jak grzechotką. Potężny wojownik, wyćwiczony w bojach, rzuca się niczym drapieżnik na bezbronnego starego człowieka. Przestraszony i zawstydzony puścił Jalandara i cofnął się o krok. Przesunął dłonią po czole i zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, był spokojniejszy.

- Wybaczcie mi. Nie chciałem... - bąknął ze skrucą. - Czy moglibyście jakoś się dowiedzieć, gdzie ona jest?

W oczach Jalandara wciąż malowała się zgroza. Ardan domyślał się nie bez racji, że ma ona ścisły związek z wirem energii, który porwał Elyrię.

- Przyjdę do was, jak tylko będę znał odpowiedzi, na których wam zależy. - Skrzywił się lekko. - Nie łudźcie się jednak, że przypadną wam one do gustu.

*

Jalandar patrzył w zadumie na płomień tańczący w kominku. Żar lizał mu skórę gorącym jęzorem, smaląc delikatne włoski na rękach. Mimo to jednak Jalandar nie odsunął się od kominka. To on rozpalił ogień, a teraz z niego skorzysta.

Skupił myśli na Elyrii. Od początku miał przecucie, że ta dziewczyna jest kimś szczególnym, lecz nie docenił jej miłości do Ardana. Nigdy by nie pomyślał, że posunie się tak daleko, żeby poświęcić siebie dla ratowania jego życia. „Czego się spodziewałem? Że będzie się przyglądać z założonymi rękami, jak oprawcy Czarnego Króla będą go zabijać? Nie, nigdy nie byłaby zdolna do czegoś takiego”.

Książę z Daormiru był mądrym mężczyzną i wspaniałym wojownikiem, Jalandar

wolałby jednak, żeby to Elyria była tutaj, nawet gdyby miało to oznaczać śmierć jej ukochanego.

Jalandar westchnął ciężko. Nie było jego zadaniem decydować o czyjejs śmierci bądź życiu. Nie tym razem. Wszystko, co mógł zrobić, to wskazać im drogę i mieć nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Sięgnął do swojego woreczka i wyjął zeń garść proszku. Była to mieszanka, którą sporządził przed wieloma laty i wciąż przy sobie nosił. Wcześniej nawiązywał za jej pośrednictwem kontakt z Toranem i pozostałymi członkami kręgu. Od czasu Wojny Mocy odwoływanie się do druidów stało się niebezpieczne, mimo to nie zniszczył proszku.

Dzisiaj był szczęśliwy z tego powodu. Proszek umożliwiał mu podążanie tropem magicznej mocy Elyrii. Jalandar nie był czarownikiem. Toran często mu proponował, że nauczy go czarodziejskich sztuk, ale on nigdy tego nie chciał. Jego sztuką było uzdrawianie. Maści i wywary, które miały moc leczenia nawet śmiertelnych ran. Działalność czarownika nigdy nie była jego celem, chociaż znał kilka sztuczek.

Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Odetchnął głęboko, po czym wrzucił proszek w płomienie. Seria kolorowych wybuchów zmusiła go do cofnięcia się o kilka kroków. Iskry fruwały w powietrzu, trafiały w niego i wypalały dziury w jego todze. Jalandar znów przysunął się do ognia. Mrużąc oczy, patrzył w płomienie, które szybko zmieniały kolory, przeskakując od czerwieni do zieleni, od niebieskości po pomarańcz.

- Pokaż mi magię!

Wyciągnął ręce w kierunku tańczących płomyków, zatarł dłonie i rozsypał resztki proszku do ognia.

- Pokaż mi Świetlistą!

Płomienie zmieniły się. Drżące od gorąca powietrze spłynęło i ukazało kryjący się za nim obraz. Jednak zamiast płomieni Jalandar zobaczył ciemność. Za żarem była ciemność. Czerń zmieniła się pod wpływem jego wzroku i stała się szarością. Zaznaczyły się pierwsze kontury. Blask pochodni przeniknął ją i ukazał szorstkie, kamienne ściany. Morze ludzi, niespokojne i falujące. Ich podniecenie było prawie namacalne. Mężczyźni w zniszczonych szatach otaczający jakieś drzewo, którego zwęglone gałęzie wznosiły się na środku jaskini. Tak ich dużo. Tak niewiarygodnie dużo. Rozpacz ogarnęła Jalandara i groziła, że porwie go za sobą całkowicie. Zobaczył, co miał zobaczyć. Dowiedział się, czego musiał się dowiedzieć. Lecz zamiast zakończyć połączenie, wciąż wpatrywał się w grobowiec Mgielnego Lorda.

Oślepiła go świetlna błyskawica. Kolorowe punkty tańczyły mu przed oczyma i kiedy

obraz znów stał się wyraźny, wzrok Jalandara padł na posuwający się wir, który pojawił się za plecami tłumu. Obaj wyznawcy Czarnego Króla, niedawno znajdujący się jeszcze na dziedzińcu zamku, wyszli z niego. Jeden z nich niósł bezwładne ciało Elyrii. Jalandar wstrzymał oddech. Tłum podzielił się na dwie grupy. Jalandar wybiegł wzrokiem przed ślepców i dostrzegł postać oczekującą ich u stóp zwęglonego dębu. Mężczyzna jakby wyczuwał obecność Jalandara: podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. Oczy miał martwe i bezduszne.

Jalandar wciągnął powietrze przestraszony i cofnął się chwiejnie. Grobowiec się rozmył. Pozostały tylko pelzające języki ognia w kominku. Jednak postać, którą zobaczył na samym końcu wizji, migąła mu przed oczami jak zjawą, tańcząc w tę i z powrotem i jakby naśmiewając się z niego. To było oblicze trupa, którego widok wstrząsnął Jalandarem aż do szpiku kości. Amatan.

*

- Czy macie coś wreszcie, Creanie?

Ardan ledwie panował nad rosnącym zniecierpliwieniem i niechęcią. Bezczyenne siedzenie i czekanie doprowadzało go do szaleństwa, podczas gdy Elyria była w niebezpieczeństwie. Cokolwiek!

Crean wpatrywał się w pierścień na swoim palcu.

- Nic.

Potrząsnął głową i opuścił rękę.

- Nie rozumiem tego.

Postukał czubkiem palca w biały kamień, jakby w ten sposób mógł go nakłonić do ujawnienia miejsca pobytu Elyrii. Jednak świecenie, o którym mówił, nie nastąpiło.

- Ten pierścień może namierzyć jej magiczną moc. W ten właśnie sposób odnalazłem was nad jeziorem. Nie pojmuję, dlaczego teraz nagle przestał ją wyczuwać... Jakby ziemia ją pochłonęła.

Gwynn poderwał się z miejsca. Podczas ostatnich godzin nie mówił zbyt wiele. Teraz zbladł jak ściana.

- Czy to znaczy, że jest martwa?

- Nie! - Teraz Ardan skoczył na równe nogi. - Nie jest martwa! Nie wolno jej umrzeć!

- Nie mógł znieść nawet samej myśli o tym, że mógłby stracić Elyrię. Bardzo cicho dodał: - Przysiągłem jej, że zawsze będę stać u jej boku. Jak może... - Potrząsnął głową i opadł ciężko na krzesło.

- Ona żyje. - Jalandar wszedł niepostrzeżenie. - Ale grozi jej wielkie

niebezpieczeństwo.

Przemierzył salę, przysunął sobie krzesło i usiadł. Od momentu gdy wszedł, minęło kilka sekund. Ardanowi zdawało się jednak, że upłynęła cała wieczność, zanim starzec zajął miejsce.

- Gdzie ona jest? - Ardan z całą mocą powstrzymywał się, żeby ponownie go nie chwycić i nie wytrząsnąć z niego wszystkich odpowiedzi.

- Jest w jedynym miejscu, w którym może zostać przeprowadzony rytuał - zaczął wreszcie Jalandar. Mimo że jego dłonie leżały na stole, nie mógł ukryć ich drżenia. - W grobowcu Mgielnego Lorda. Tam rytuał się zakończył i tam się ponownie rozpocznie.

- Czy... czy ją widzieliście? Co z nią? Czy jest...?

Jalandar gestem ręki powstrzymał Gwynna.

- Widziałem, jak wyznawcy Czarnego Króla nadeszli z nią w tamto miejsce. Wyszli z wiru podobnego do tego, którym opuścili zamek.

Pod oczami Jalandara kładły się głębokie cienie, twarz mu się zapadła, a skóra nabrała woskowego odcienia. W tej chwili rysy jego twarzy przywodziły na myśl obraz trupiej czaszki.

Jalandar opowiadał dalej:

- Najwyższy Kapłan Czarnego Króla tam jest. - Jego wzrok błędził w nicości. - Przewodzi wyznawcom demona. Jestem pewien, że zgromadził ich wokół siebie i rozkazał, żeby doprowadzili do niego Elyrię. - Spojrzał na Ardana. - Jest ich wielu. Obawiam się, że zbyt wielu.

- Myślicie, że ją poświęcę? - Ardan potrząsnął głową. - Będę walczył dopóty, dopóki tli się we mnie choćby iskierka życia.

Brak wieści o tym, dokąd ją zabrano, był straszny. Teraz, gdy Ardan znał miejsce jej pobytu, nie był już skazany na bezczynne siedzenie i czekanie. Mógł wreszcie przystąpić do działania i było mu z tym lżej.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, głos zabrał Crean. Siedział na brzegu krzesła i wpatrywał się w Jalandara.

- Coś przemilczacie. Widzę to po was wyraźnie. Wasze zmartwienie prawie was zżera. Co to jest?

- To prawda. Nie wszystko wam opowiedziałem. - Jalandar potarł nerwowo policzek. - Elyrii przeznaczona jest szczególna droga. Jest brakującym atrybutem. Tylko ona jest zdolna do usunięcia demona z tego świata.

- To już wiemy. Do rzeczy - ponaglił go Crean.

- Myślę, że Czarny Król jest uwięziony w grobowcu Mgielnego Lorda. Znajduje się gdzieś pomiędzy światami naszym i swoim. Żeby go uwolnić, potrzebują Elyrii. Czarny Król nakarmi się jej magiczną mocą, będzie ją ssać jak mleko matki i wzmacniać się dzień po dniu, dopóki będzie w stanie rozsadzić więzy, które utrzymują go między światami. Wraz z utratą swojej magii Elyria umrze. Natomiast demon odrodzi się dzięki jej sile.

Ardan poderwał się z miejsca. Wzburzony, wielkimi krokami przemierzał komnatę. W głowie miał zamęt. Niezliczenie wiele myśli przelatywało przez jego umysł. Pojawiały mu się przed oczami obrazy - drżące i rozmyte, lecz na tyle wyraźne, by nie mogły ukryć grozy w nich zawartej. Elyria umierająca, podczas gdy demon wychodzi z jej ciała. Silny i już nie do pokonania. Ardan usiłował wyprzeć te myśli, a obrazy odsunąć na bok; jednak twarz Elyrii nie chciała zniknąć.

Zatrzymał się nagle i zwrócił do pozostałych towarzyszy.

- Walka z demonem może jest jej przeznaczona. A my zajmiemy się tym Najwyższym Kapłanem i jego wyznawcami! Dam jej całe wsparcie, na jakie mnie stać! Muszę ją ratować, zanim...

Crean podniósł głowę.

- Chcecie za nią pójść? Tam?

W

- Pójdę za nią nawet do Dziewiątego Piekła!

- W takim razie kiedy wyruszamy? - Crean wyprężył się jak struna.

Gwynn przypatrywał się ponuro reszcie.

- Zapomnieliście, że nadal jesteśmy mieszkańcami oblężonego zamku? I nawet jeśli znajdziemy stąd drogę ucieczki, musimy zmierzyć się z całą hordą tych... tych szaleńców czekających na zewnątrz! Jesteśmy we trzech przeciwko ilu? Stu? Ardanie, pomyśl tylko! Nawet jeśli weźmiesz wszystkich swoich ludzi, nie mamy żadnej szansy.

- Chcesz zatem ją poświęcić?

Gwynn potrząsnął energicznie głową.

- Jest moją siostrą! Nigdy jej nie zawiodę! Co nie zmienia faktu, że...

- Myślę, że mam pomysł, jak możemy załatwić dwa problemy za jednym zamachem - gniewny uśmiech jak grymas pojawił się na twarzy Creana. - Zgadzą się wszyscy, że potrzebujemy pomocy? - Kiedy Ardan skinął głową, Crean ciągnął dalej - Czy przed naszą bramą nie mamy chmary wojowników? Powinniśmy dać im okazję do sensownego wykazania się swoją siłą.

- Postradaliście rozum! - parsknął Gwynn.

- A ja to widzę. - Ardan podszedł bliżej do stołu. - Zło czai się za złem. Czyż nie tak to określiliście, Creanie? Peristaes postawi wszystko na jedną kartę, żeby zniszczyć Czarnego Króla, co oczywiście zabierze mu trochę czasu. W tym czasie ja mogę zabrać Elyrię w bezpieczne miejsce.

Gwynn wypuścił głośno powietrze z płuc.

- Ryzykowna gra.

- Wasz plan ma jedynie na celu zdobycie wystarczającej ilości czasu, żeby uwolnić Elyrię i zabrać ją w bezpieczne miejsce, zanim Peristaes znajdzie okazję, żeby się nią zająć. - Jalandar zmarszczył czoło. - Porywacie się na niemożliwe, Ardanie z Daormiru. Choć sam nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

Bez Peristaesa i jego wojowników nie byłoby dla Elyrii żadnej nadziei. Trzeba tylko umiejętnie przeciągnąć Łowców Czarownic na swoją stronę. Bez tego nie uda się nawet opuścić zamku. Ardan jeszcze nie wiedział, jak mógłby skłonić Peristaesa, żeby w ogóle ich wysłuchał.

- Czy ktoś ma jakiś lepszy pomysł?

Ponieważ nikt nie wypowiedział ani słowa, Crean kiwnął głową.

- Dobrze. Pójdę zatem do Eddana i porozmawiam z nim.

- To nie wchodzi w rachubę.

Ardan, który stał za jego krzesłem, położył dłonie na oparciu.

- Czy już zapomnieliście, że dla niego jesteście zdrajcą? Ja pójdę.

- Eddan był przez wiele lat moim przyjacielem. Znam go. Nic mi nie robi. Wysłucha mnie i pomoże nam, gdy pozna całą historię. - Crean podniósł się. - Nie jest złym człowiekiem, Ardanie. Dąży jedynie do innego celu niż my. Celu, który do niedawna był również moim. Wysłucha mnie i uświadomi sobie, że mamy rację. Zaufajcie mi.

*

Z każdym stąpieniem konia, którego Crean prowadził w kierunku obozu Peristaesa, ufność wojownika sukcesywnie malała. Kiedy już wspólnie uzgodnili, że nie mogą się obyć bez pomocy Peristaesa, zdecydowali, że poczekają do świtu. Wielogodzinne tortury ciągnące się w nieskończoność. Nie było już nic więcej do dodania, odkąd stało się pewne, że Crean uda się do obozu wroga. Ardan podjął jeszcze jedną próbę, żeby go odwieść od tego zamiaru, ale Crean upierał się, że tylko on może przekonać Najwyższego Łowcę o ważności tego przedsięwzięcia.

Kiedy wreszcie o wschodzie słońca na niebie pojawiła się pierwsza srebrna smuga, Crean dosiadł konia i wyjechał z zamku z wysoko podniesioną białą flagą.

Bez trudu znalazł namiot Peristaesa. Przyczepiony do niego proporzec Łowców Czarownic trzepotał na wietrze widoczny już z daleka. Crean nie ujechał nawet do połowy wolnej przestrzeni między bramą zamku a skrajem lasu, gdzie Łowcy ustawili swoich wartowników, gdy obóz obudził się do życia. Wykrzykiwano rozkazy. Głuchy tupot ciężkich butów mieszał się z brzękiem broni. Ponad dwunastu wojowników zebrało się przed namiotem Peristaesa. Wiele łuków było skierowanych na Creana, a ludzie, którzy ich nie mieli, czekali na niego z obnażonymi mieczami.

Dwadzieścia metrów przed pierwszymi wojownikami Crean zatrzymał konia, podniósł do góry białą flagę i pomachał nią.

- Muszę rozmawiać z Peristaesem!

Kilku wojowników podeszło bliżej z mieczami w dłoniach, a łucznicy nadal w niego mierzyli.

„Mogłem posłuchać Ardana”. Teraz było za późno. Wszystko, co Crean musiał zrobić, to przebić się do Eddana. Przedsięwzięcie, które z każdą chwilą stawało się trudniejsze.

- Patrzcie no tylko. Zdrajca powraca.

Kapitan Horan podeszedł bliżej.

- Albo jesteście zdumiewająco odważni, albo bezgranicznie głupi, żeby się tu pojawiać.

- Muszę zobaczyć się z Peristaesem - powtórzył z całym spokojem Crean. Zignorował zaczepny ton kapitana.

- Na co jeszcze czekacie? - zawołał ktoś z tyłu. - Łapcie tego zdrajcę!

Wśród Łowców Czarownic zapanowało poruszenie. Żądali jego głowy, jednak żaden z nich nie odważył się zrobić pierwszego kroku. Biała flaga powstrzymywała ich. Jak długo jeszcze? Nastrój wśród mężczyzn stawał się coraz bardziej niespokojny. Crean poczuł, że mógłby dotknąć gęstego z napięcia powietrza, gdyby tylko wyciągnął dłoń.

- Eddan! - krzyknął ponad ich głowami. - Mam ważne nowiny!

Jego koń zatańczył niespokojnie, gdy wojownicy się zbliżyli. Mocniej ściągnął wodze.

- Zagwiżdż na swoje psy, Eddanie, i wysłuchaj mnie!

Mijały sekundy, ciągnące się w nieskończoność płynącą powoli jak syrop. Niepewne chwile, w których Crean zadawał sobie gorączkowo pytanie, co ma zrobić, jeśli Peristaes nie będzie chciał go wysłuchać, a Łowcy postanowią go zabić. Myśli przeskakiwały z jednej możliwości na drugą, a jego wzrok w tym czasie badał otoczenie, rejestrując każde drzewo i każdy krzak w poszukiwaniu drogi ucieczki, gdyby okazało się to konieczne. Nareszcie płachta namiotu zakrywająca wejście odsunęła się. Najwyższy Łowca wyszedł na zewnątrz.

Nieskrywany gniew zapłonął w jego oczach, kiedy ujrzał Creana.

- Czego chcesz? Szybkiej śmierci? Łaski? Mów!

- Chcę ci zaproponować handel.

- Ty? Mnie? - Peristaes roześmiał się głośno. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale myślę, że to nie ja siedzę jak szczur w oblężonym zamku. I to ty mnie chcesz zaproponować handel!

Crean wbił białą flagę w ziemię z takim impetem, że tkanina naderwała się i zsunęła z siodła. Wojownicy Peristaesa natychmiast podnieśli miecze. Czekali jedynie na to, by Crean popełnił jakiś błąd i dał im pretekst, żeby zaatakować.

- Elyrii nie ma już na zamku.

- Doprawdy? Czy potrafi stawać się też niewidoczna? - Eddan przedrzeźniał go. - Pozwól mi zgadnąć: dzisiejszej nocy, gdy moi ludzie stali na straży, przebiegła obok nas? Prosto na naszych oczach.

Crean potrząsnął głową.

- Nie, została uprowadzona na naszych oczach.

Zbliżył się do Peristaesa. Horan natychmiast polecił swoim ludziom zatarasować mu drogę. Dopiero na skinienie Peristaesa zrobili mu miejsce. Crean podszedł jeszcze bliżej.

- Miałeś rację, Eddanie. Jest dziewczyną o złotych oczach. Ale to nie wszystko. Elyria jest kimś więcej. Może nas wszystkich uratować!

- Uratować? - warknął Peristaes. - Przed czym? Ona jest zagrożeniem. Bez niej nie ma niebezpieczeństwa!

- To nieprawda. - Stał wreszcie twarzą w twarz z Peristaesem. - Wysłuchaj mnie choćby ze względu na stare czasy.

Przez dłuższą chwilę Peristaes milczał. Wpatrywał się w oczy Creana. Wściekłość na jego twarzy jeszcze nie opadła.

- Przejdźmy się przez chwilę, to opowiesz mi swoją bajkę, przyjacielu czarownic. Lecz najpierw odłóżysz miecz. Wiem, że jesteś dobrym wojownikiem. Świadomość, że mam u boku zdrajcę z przypasowanym mieczem, trochę mnie denerwuje.

Crean zdjął swój pas i rzucił go w kierunku jednego z mężczyzn, zanim wszedł z Peristaesem pomiędzy drzewa. Mimo że podążała za nimi grupa uzbrojonych łowców, powoli spadało z niego napięcie. Doprowadził do tego, że Eddan był skłonny go wysłuchać. Tym samym pokonał największą przeszkodę.

Przez chwilę szli w milczeniu obok siebie, jak często to robili przed laty. Na moment Crean poddał się iluzji, że nic się nie zmieniło w ich przyjaźni, mieli jedynie inne spojrzenie na sprawę. Jednak chłód, który dostrzegł w oczach Eddana, stanął jak mur między nimi.

- Wiem, że zawsze szukałeś wielkiego zła, Eddanie - przerwał wreszcie milczenie. - Pomóż nam zapobiec w odrodzeniu się Czarnego Króla i w zniszczeniu jego wyznawców. Wiesz, co oznacza jego powrót! Bez magów, którzy mogliby go ujarzmić, nie mamy przeciwko niemu żadnej broni. Będzie...

- To nie demon was interesuje - Peristaes uderzył w zwisającą gałąź. Kilka liści opadło i pożeglowało wraz z podmuchem wiatru na ziemię. - Chodzi wam jedynie o dziewczynę.

- A nawet gdyby tak było?

„Połknął haczyk”. Sposób, w jaki Najwyższy Łowca wpatrywał się w przestrzeń z oczami skierowanymi w przyszłość, snując plany, utwierdził Creana w przekonaniu, że ta walka jest już wygrana.

- Jeśli uda się nam ostatecznie wypędzić Czarnego Króla, Elyria nie będzie stanowić już żadnego zagrożenia.

- Nadal będzie czarownicą.

Peristaes zatrzymał się nagle. Jakiś cień przemknął po jego twarzy. Nienawiść, o której Crean myślał, że się uspokoiła, zawrzała w nim na nowo. Bardziej gorąca i paląca niż wcześniej.

- Możesz liczyć na moją pomoc w walce z demonem, ale wiedz, że nigdy, przenigdy nie zapomnę o tej czarownicy!

Crean nie odpowiedział. Pomoc Eddana była teraz najważniejsza. O bezpieczeństwo Elyrii zadba Ardan, kiedy już będzie po wszystkim.

- Gdzie jest ta demoniczna zgraja?

Crean potrząsnął głową.

- Dowiesz się tego w swoim czasie.

„Z pewnością nie teraz i nie tutaj, gdzie istnieje niebezpieczeństwo, że sam się udasz w drogę, a my nadal będziemy oblężeni”.

- Jak uważasz. - Peristaes skinął głową. - Zakładam, że jesteś zadowolony z wyniku naszej rozmowy.

- Nie inaczej.

- W takim razie już cię tu więcej nie potrzebuję.

Crean chciał się pożegnać, a wtedy Peristaes dał znak swoim ludziom.

- Postępujcie z nim, jak należy się zdrajcy!

Gdy mężczyźni pojмали Creana, Peristaes natychmiast się oddalił z szyderczym uśmiechem na ustach.

- Eddanie! - Crean krzyknął rozdzierająco.

Peristaes odwrócił się jeszcze raz. Crean wykrzykiwał imię Najwyższego Łowcy, podczas gdy jego niegdysiejsi towarzysze krępowali mu ręce na plecach.

- Eddanie!

Crean szarpał za sznury, próbując się uwolnić. Na próżno. Krzyczał jeszcze za Eddanem, gdy mężczyźni wlekli go coraz głębiej w las. Dwóch wojowników rzuciło go na kolana. Przed oczyma zatańczył mu nóż. Promień słońca padł na ostrze i go oślepił. Kiedy Crean usiłował cofnąć głowę, chwycili go za włosy i zmusili do bezruchu.

- Słyszałeś, co powiedział Najwyższy Łowca Czarownic. Mamy cię potraktować jak zdrajcę.

Crean nie mógł dostrzec twarzy kapitana Horana. Nie uszło jednak jego uwagi zadowolenie w głosie podobnie jak fakt, że nagle mówił mu na ty.

- Czy żaden z was naprawdę nie pomyślał, że mógłbym mieć rację? Co się stanie, gdy nagle cała magia zostanie wytępiona i okaże się, że bez niej nie możemy opanować sytuacji? Co wtedy zrobicie? - ostatnie słowa prawie wykrzyczał.

- Nieważne, tego już nie zobaczysz.

Czubek ostrza sztyletu zbliżył się do jego lewego oka i zatrzymał się na cal od niego. Strach powoli oblewał Creanowi serce. Dreszcz przeszył jego ciało. Krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Żeby twoje oczy już nigdy nie były skierowane na zło.

Chwył Łowcy Czarownic wzmocnił się, trzymał go jak w imadle i uniemożliwiał jakikolwiek ruch. Ostrze zbliżyło się. Chłodna stal dotknęła jego gałki ocznej, Oddech Creana przyspieszył do krótkich urywanych sapnięć.

- Nie! - Ostrze było teraz tak blisko, że nie odważył się poruszyć.

Potem uderzyło. Ku swojemu zdumieniu nie odczuwał żadnego bólu. Poczul tylko ucisk na oku. Mrugnął i poczul, jak ostrze przecina powiekę. Gdyby mógł, zapłakałby, ale wiedział, że to nie łzy spłynęły gorącą strużką po 'jego policzku. Gdy chwilę potem metal wbił się w jego prawe oko, świat utonął w ciemnościach. Crean nie wiedział, czy krzyczał z bólu, czy z rozpacz, że już nigdy nie zobaczy światła. Głos mu się załamał i zamilkł, gdy poczul szorstki postronek na swojej szyi. Pętla zacisnęła się wokół gardła, wbiła w skórę i otarła ją, gdy go podciągali. Cal po calu Crean tracił ziemię pod stopami. Dysząc, walczył o oddech, jednak powietrze nie chciało przepłynąć przez zwężoną krtani do płuc. „Jak mogę ci jeszcze pomóc, Elyrio?”. To była ostatnia myśl, która zawirowała mu w głowie, zanim ciemność przed jego oczyma zagarnęła także jego duszę.

„Elyria!” Uchwyciła się głosu Ardana jak tonący brzytwy, tak samo jak i miłości, którą widziała w jego oczach. W zakamarkach swojej świadomości wiedziała, że coś się zmieniło, odkąd została porwana przez wir. To był strach przed zmianą, która więziła ją w ciemności. Nie chciała powrócić do świadomości, skrywała się za omdleniem, jak dziecko chowające się pod kołdrą z obawy przed ciemnością.

Ktoś ją niósł. Przypominała sobie jak przez mgłę głosy, które przez chwilę wypełniły jej duszę. Uchwyciła się rysów twarzy Ardana i usunęła jeszcze głębiej w ciemność. Ardan uśmiechał się do niej. Jego wargi formowały słowa, które chciała usłyszeć.

- Przygotujcie ją.

To nie był głos Ardana. Jego uśmiech chwiał się, a twarz się rozmyła. Nie! Wyciągnęła do niego dłoń, próbowała go zatrzymać. Uśmiechnął się jeszcze raz, prawie smutno, a potem zniknął.

Elyria poderwała się i otworzyła raptownie oczy. Ardan!

Jakieś ręce złapały ją i przycisnęły do ziemi. Puste oczodoły patrzyły na nią. Stopy zaszurały po podłożu, gdy próbowała się odsunąć. Dłonie ślepeca wbiły się w jej przedramiona i powstrzymały ją przed poruszeniem. Elyria próbowała się wyrwać, gdy poczuła ogarniającą ją słabość. Napięła ciało, walczyła z nią. Bez skutku. Bezsilna osuwała się na ziemię, drżąc i oblewając się potem. Oddychała nierówno.

Elyria próbowała odszukać w swoim wnętrzu magię, wyczuć ją, zebrać siły, by ją wywołać. Ale czuła tylko bezwzględny ucisk na swoim ręku, oddalający ją od magicznej siły, okradający ją z energii.

- Twoja siła jest bezużyteczna - zabrzmiał głos z ciemności. - Nie trwoń jej.

Po raz pierwszy dostrzegła swoje otoczenie. Szorstkie ściany jaskini, skąpo oświetlone blaskiem kilku pochodni, zatapiały się po kilku metrach w ciemnościach. Szukała źródła głosu, wpatrywała się w ciemność i wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch.

- Nie broń się dłużej przed swoim przeznaczeniem.

Kroki odbiły się echem od ścian, gdy podszedł bliżej. Kawałek po kawałku wyłaniała się z ciemności postać mężczyzny. Wysoki i szczupły, otulony w ciemną pelerynę, z twarzą ukrytą w cieniu kaptura. Uścisk zniknął z jej ręki, gdy ślepiec się cofnął. Drugi kucnął przed nią. Blask światła wygonił cień spod kaptura i ukazał twarz. Elyria spodziewała się, że zobaczy puste oczodoły, lecz to, co ujrzała, było stokroć gorsze. Oczy bez życia jak szkło patrzyły na nią z woskowej twarzy. Owionął ją ohydny słodkawy zapach. Zapach śmierci.

Elyria cofnęła się odruchowo. Jego dłoń wysunęła się szybko, złapała ją za szyję i przytrzymała. Przysunął bliżej swoją twarz. Gryzący odór rozkładu wdarł się jej do nosa.

Bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści, a jej myśli napędzane instynktem samoobrony przywoływały magiczną moc. Moc, która nie odpowiadała.

Jej przeciwnik zaśmiał się.

- Nie wysilaj się. Twoja siła na nic się nie zda. Nic nie możesz zrobić ani mnie, ani sługom Czarnego Króla.

Po jego policzku wzdłuż nosa sunęła larwa i z cichym mlaśnięciem zniknęła w jego lewym oku.

Elyria ze wstrętem odwróciła głowę. Chwyił jej twarz i zmusił ją, by na niego patrzyła. Odór nasilił się. Zrobiło jej się niedobrze.

- Będziesz jeszcze potrzebować swojej magii. Mój pan będzie się nią odżywał.

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu, który nie znalazł odbicia w jego oczach.

- Mów za mną: żyję w Czarnym Królu, a Czarny Król żyje we mnie.

Elyria zacisnęła usta i milczała. Jego kościste palce zacisnęły się na jej policzku, wbijając się boleśnie w szczękę.

- Powiedz to! - Potrząsnął nią.

- Żyję w... w... Czarnym Królu - wydusiła. - I Czarny Król... umrze we mnie!

Puścił ją nagle i podniósł się. Kiwnięciem palca przywołał ślepców.

- Poświęćcie jej ciało panu i przygotujcie wszystko do rytuału.

*

„Ardanie z Daormiru! Musimy porozmawiać!”.

Wiatr przywiał głos Eddana Peristaesa zza muru. Ardan spojrział ponad blankami w dół, gdzie Najwyższy Łowca zatrzymał swojego konia na drodze. Gdy dostrzegł Ardana, zamachał drzewcem z białą flagą Creana.

- Proponuję, żebyście otworzyli bramę i mnie wpuścili.

Gwynn wsunął się obok Ardana i także spojrział w dół.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz go słuchać.

- A masz lepszą propozycję?

- Jeśli...

-...wyjdziemy do niego? - Ardan potrząsnął głową. - Wolę mieć go tutaj, niż wystawiać się na cel jego strzelcom.

- Co prawda, to prawda - powiedział z westchnieniem Gwynn.

Ryzykowne było wpuszczenie Peristaesa. Jednak musieli podjąć ten krok. Ardan wychylił się zza muru i wykrzyknął:

- Gdzie jest Crean?

- Wysłałem go, żeby sprowadził więcej ludzi.

Koń Peristaesa zatańczył niespokojnie. Łowca mocniej ściągnął wodze.

- Jeśli mogę zaufać jego opowieści, to potrzebujemy tylu ludzi, ile jest to możliwe.

Wpuście mnie czy mam tu wykrzyzczyć całe płuca?

Gdy Ardan nie zareagował, Peristaes dodał:

- Nie martwcie się, w tej chwili jesteśmy po tej samej stronie.

Ardan dał znak ludziom przy bramie, żeby wpuścili Peristaesa. Najwyższy Łowca nie sprawiał wrażenia, jakby uważał sytuację za groźną. Zsiadł z konia, rzucił jednemu z mężczyzn swój miecz i białą flagę, a potem pozwolił zaprowadzić się do budynku. Ardan westchnął. Wiedział, że daje się wciągnąć w niebezpieczną grę, lecz nie miał wyboru. Nie w chwili, gdy chciał uratować Elyrię. Napiął mięśnie, wyprostował się i jeszcze raz głęboko odetchnął.

- Chodźmy.

- Najchętniej bym go po prostu załatwił, wtedy przynajmniej pozbylibyśmy się choć jednego problemu - warknął Gwynn podążający za Ardanem.

„To samo myśli zapewne Peristaes”.

Na korytarzu przed gabinetem Ardana napotkali Jalandara. Starzec sprawiał wrażenie, jakby biegł.

- Zatem jest tutaj - zauważył. Ciężko oddychał i patrzył na zamknięte drzwi. - Jesteście pewni, że chcecie to zrobić?

Ardan przytaknął, potem pchnął drzwi i wszedł do komnaty. Peristaes stał przy oknie i patrzył na niego. Sprawiał wrażenie spokojnego i rozluźnionego. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że znajduje się sam, bezbronny w zamku wroga.

„Jesteś zbyt pewny siebie, Łowco. Nie dostaniesz nas w swoje łapy”.

- Czarownik z Daormiru we własnej osobie. - Peristaes rozciągnął usta w uśmiechu. - Kto by pomyślał, że kiedyś sami zaprosicie mnie do własnego domu?.

- Zaoszczędźcie sobie sarkazmu i siadajcie.

Ardan wskazał głową w kierunku stołu. Poczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, zanim sam usiadł. Cały czas nie spuszczał wzroku z Peristaesa.

- Nazwaliście Creana zdrajcą - zaczął wreszcie. - Bardzo mnie zatem dziwi, że właśnie jego wysłaliście po posiłki.

Peristaes potrząsnął głową.

- Przez wiele lat był moim zastępcą. Najlepiej zna wojsko. Nikt inny nie byłby w stanie szybciej wszystkiego zorganizować. - Jego wzrok spoczął na Ardanie. Po krótkiej

przerwie dodał: - Czy może martwicie się, jak moi ludzie zareagują na jego powrót? Nie musicie.

Dałem mu pismo, które nadaje mu uprawnienia, do podjęcia wszelkich koniecznych kroków, choć go nie rehabilituje.

Nieobecność Creana wywoływała w Ardanie niepokój. Jednak nie pozostało mu nic innego, jak uwierzyć Peristaesowi. „Jesteśmy na niego skazani, czy nam się to podoba, czy nie”. Ostatni raz Ardan widział Creana, gdy ten rozpoczął rozmowę z Peristaesem. Nie wyglądało na to, żeby był w niebezpieczeństwie. Bardziej przypominało to rozmowę starych znajomych.

Ardan skinął powoli głową.

- Zakładam, że już wszystko wiecie.

Peristaes potarł podbródek.

- Najpierw pomyślałem, że Crean sprzedał mi piękną bajeczkę. Ale wiecie co? Myślę, że powiedział mi prawdę. Na tyle być może, na ile ją zna.

- Znacie przepowiednię - Jalandar zabrał głos.

- Ona, w której złotych oczach płoną ognie Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magię w postaci wszystko niszczącej... - recytował, kiwając głową, Peristaes.

Jalandar wpatrywał się w niego uważnie. Czekał. Gdy Najwyższy Łowca przerwał, rzekł:

- Dlaczego nie mówicie dalej? Czy boicie się zrozumieć, że cały czas się myliliście, jeśli dokończycie?

- Co chcecie jeszcze usłyszeć, stary człowieku? - Peristaes wyprostował się na krześle i zwrócił się do Jalandara. - Opis, w jaki sposób świat zostanie zgładzony? Przez jego - wskazał na Ardana, nie odwracając wzroku od Jalandara - czarownicę!

- To jest to! - wykrzyknął Jalandar. Poderwał się na nogi. - Oto powód, dla którego ją ścigacie!

- Naturalnie! A czego oczekiwaliście? Przecież ma zniszczyć świat!

- Nie to mam na myśli. Nie znacie treści całej przepowiedni! Myślicie, że rzeczywiście wszystko zniszczy. Jak dalej brzmią słowa?

Peristaes milczał, więc Jalandar dokończył sam:

- Ona, w której złotych oczach płoną ognie Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magię w postaci wszystko niszczącej pożogi i tym samym przyniesie światu wybawienie lub pogrąży go w wiecznej ciemności.

Jalandar opadł na swoje krzesło. Wpatrywał się w Peristaesa.

- Potrzebujemy tej dziewczyny, żeby wypędzić demona. I potrzebujemy jej żywej!

Peristaes zmrużył oczy.

- Dziewczyna znajduje się w rękach wyznawców Czarnego Króla! Jest na najlepszej drodze, żeby zniszczyć nas wszystkich! I wy chcecie ją ratować!

Ardan uderzył pięścią w stół.

- Dlaczego tak trudno wam to pojąć? Jeśli uwolnimy Elyrię, znajdziemy drogę, żeby wypędzić demona! I później nie będzie już żadnego zagrożenia! - Przeklął. - Wyrzuciłbym was w tej chwili, gdybyśmy... gdyby nie...

-...gdybyście nie byli zdani na mnie - odpowiedział z uśmiechem Peristaes. - Dlaczego miałbym się z wami w to bawić?

- Ponieważ szukacie zła ukrytego za złem, a my możemy je wam dostarczyć.

- Mógłbym kazać was wszystkich zabić, jak tylko dowiem się tego, co chcę wiedzieć. „I z pewnością spróbujesz to zrobić”.

- Bez nas jej nie znajdziecie.

Uśmiech Peristaesa poszerzył się.

- Ach tak? A gdzież ona mogłaby być, jeśli nie w miejscu, gdzie kiedyś wszystko się skończyło? W miejscu przeprowadzenia rytuału.

Ardan stłumił kolejne przekleństwo. Mimo że wewnątrz zamarł, zachował kamienną twarz.

- Jesteście tego pewni? Czy macie dostatecznie dużo czasu, żeby szukać także gdzie indziej, jeśli się okaże, że się mylicie? - Potrząsnął głową. - Wątpię. Zrozumcie wreszcie, że jesteście tak samo zdani na naszą pomoc, jak my na waszą.

Peristaes obserwował go spod zmrużonych powiek.

- Nie potrzebuję was, żeby ją odnaleźć. Wyczuwam jej magię.

- Zakładam, że jesteście w posiadaniu podobnego pierścienia jak Crean. Spróbujcie! U Creana się nie sprawdził! U was stanie się to samo.

Ardan zdenerwowany patrzył, jak Najwyższy Łowca zdejmuje swoją lewą skórzaną rękawicę. Ich oczom ukazał się taki sam pierścień, jaki nosił Crean. Peristaes spojrział na niego i zmarszczył czoło. Koncentrował się. Matowobiała powierzchnia kamienia nie zmieniła się.

Peristaes podniósł się i podszedł do okna. Podnosił dłoń raz w jednym, raz w innym kierunku, lecz nic się nie działo. Gdy wrócił do stołu i sięgnął po rękawicę, żeby ją nałożyć, podniósł wzrok.

- Pierścień rzeczywiście jej nie wyczuwa. - Na jego twarzy pojawił się ironiczny

grymas. - A co się stało z waszą magiczną mocą? Czyżby czarownik z Daormiru nie był w stanie uratować swojej dziewczyny bez obcej pomocy?

- Nie mam żadnej magicznej mocy.

Peristaes wciągnął badawczo powietrze nosem.

- Chyba macie rację. Lecz nie myślcie, że z tego powodu wam się upiecze. Nawet jeśli nie jesteście czarownikiem, przeciwstawiliście się mnie i moim ludziom. - Wzruszył ramionami. - Czeka was za to nie stos, lecz szubienica. Jeśli o mnie chodzi, nie ma to żadnego znaczenia.

„Bez wątpienia skorzystasz ze wszystkich możliwych sposobów, żeby dopaść każdego z nas po kolei. Lecz to ci się nie uda”.

- Chcecie demona, będziecie go mieli. Jeśli jednak komukolwiek z nas spadnie choć włos z głowy, nasza współpraca skończy się natychmiast. Wtedy nie dostaniecie tego, czego tak pragniecie.

Jalandar chrząknął.

- Musicie zrozumieć, że nie uda nam się wypędzić demona, jeśli zabijecie Elyrię. Potrzebujemy jej żywej. W innym przypadku spełnią się wasze najgorsze koszmary. Koszmary nas wszystkich.

- Zrozumiałem, starcze.

Wzrok Peristaesa powrócił do Ardana. Podniósł się i wyciągnął do niego dłoń.

- To - mamy handel. Wypuszczę was z zamku i będę wam towarzyszył z moimi ludźmi.

Ardan podjął wyciągniętą dłoń i przybił własną. W oczach Najwyższego Łowcy zobaczył obietnicę, że nic nie zrobi Elyrii, dopóki demon nie zostanie wypędzony. Potem jednak zabierze ją sobie.

21

Nastający zmierzch narzucił cienisty dywan na krajobraz. Ciemność ogarniała ruiny wyłaniające się przed Ardanem i jego towarzyszami. Teren był otoczony przez na pół zapadnięty mur. Budynek za nim nie przetrwał naporu magii, która przetoczyła się nad nimi podczas Wojny Mocy. Pośrodku tego pola ruin leżało ukryte wejście do grobowca Mgielnego Lorda. Droga do Elyrii.

Od chwili, gdy na horyzoncie ukazały się zarysy Mgielnego Zamku, Ardan nie odwracał od nich wzroku. Od przeszło sześciuset lat, od śmierci ostatniego Mgielnego Lorda, przywódcy byłego rodu władców Cartomien, zamek stał opuszczony i dotknięty powolnym rozpadem. Nie był ostatecznym celem, a jedynie drogowskazem do miejsca skrywającego się

w cieniu potężnych ruin.

Z każdym krokiem, który zbliżał ich do celu, rosła niecierpliwość Ardana. Z trudem powstrzymywał się, żeby nie spaść konia i nie popędzić do Elyrii.

Przed resztkami muru Peristaes nakazał im się zatrzymać i zsiąść z koni. Jednemu ze swoich ludzi rzucił wodze, po czym zwrócił się do Jalandara.

- Czy to tutaj?

Jalandar skinął w milczeniu głową. Wpatrywał się w Najwyższego Łowcę.

- Nie zapominajcie, że potrzebujemy Elyrii żywej - zwrócił się do niego.

Peristaes machnął niecierpliwie dłonią, jakby opędzał się od natrętnej muchy.

- Zaczekam, aż wszystko się skończy.

Ardan rozejrzał się.

- Gdzie jest Crean z posiłkami?

- Posłałem po niego, żebyśmy się tutaj spotkali - Peristaes wzruszył ramionami. - Jeszcze nadejdzie. A jeśli nie - spojrzał na swoich ludzi - będziemy musieli zadowolić się tym, co mamy.

Siedemdziesięciu uzbrojonych wojowników. Wystarczy, żeby rozprawić się z wyznawcami Czarnego Króla. A czy mogli pomóc w walce z demonem, tego Ardan nie wiedział. Skinął głową do Jalandara.

- Chodźmy.

- Może powinniśmy najpierw jeszcze raz...

- Dość. Już sto razy omówiliśmy, w jaki sposób będziemy postępować, Gwynnie - Ardan wpadł mu w słowo.

Ludzie Peristaesa zajmą się wyznawcami demona, podczas gdy on poszuka Elyrii i zawiezie ją w bezpieczne miejsce. Ostatniej części planu nie ujawnił Peristaesowi. Najwyższy Łowca nadal myślał, że Ardan będzie u jego boku przez cały czas.

- Po tym wszystkim, co dzisiaj rano widziałem w runach, rytuał już się rozpoczął.

Jalandar potarł czoło. W jego oczach odzwierciedlało się to samo zmartwienie, które odczuwał Ardan. „Co się stanie, jeśli przybędziemy za późno?”. Często pytał Jalandara, czy zdążą na czas. Za każdym razem starzec przytakiwał.

- Sam rytuał, a zwłaszcza przygotowania do niego, zajmują wiele czasu - odpowiadał niezmiennie. - Choć nie zmienia to faktu, że musimy się spieszyć.

Przygotowania. W odpowiedzi na pytanie Ardana Jalandar oświadczył, że chodzi tu o rytualne obmywanie, namaszczenie i nałożenie ceremonialnej szaty. To wszystko odbywa się z zachowaniem szczególnej pieczołowitości, przygotowanie służy bowiem temu, żeby

otworzyć naczynie dla Czarnego Króla. Ardan wciąż nie mógł zaakceptować, że ktoś mówił o Elyrii jak o naczyniu. Jakby była przedmiotem!

Jalandar poprowadził ich przez otwartą szczelinę w murze wprost do zabudowań. Uważnie torowali sobie drogę między starymi ruinami budynków i roztrzaskanym murem. Ścieżka była zdradliwa. Często Ardan nie widział, gdzie kończą się kamienie, a zaczynają cienie rozciągające się między kamieniami a zwęglonymi stropami.

Coś poruszyło się w ciemności, nadbiegło w ich kierunku i wyrosło przed nimi jako grupa wyznawców Czarnego Króla. Ostrza ich mieczy lśniły krwawo w świetle zachodzącego słońca. Zbliżali się powoli. Rozdzielili się i próbowali otoczyć intruzów. Peristaes dał znak swoim ludziom. Grupa dwudziestu wojowników oddzieliła się od drużyny i stawiała czoło wyznawcom. Jeszcze zanim skrzyżowały się pierwsze ostrza, Peristaes gestem dłoni nakazał reszcie ruszać dalej.

Ardan nie obejrzał się ani razu, kiedy dotarły do jego uszu pierwsze odgłosy walki. Wszystkie jego myśli pochłaniała Elyria. To, co się działo z Synami Eaghana, nie interesowało go w najmniejszym stopniu. Podążał za Jalandarem między ruinami, a za jego plecami szli Gwynn i Peristaes. Minęła prawie cała wieczność, zanim Jalandar zatrzymał się przed otworem w ziemi. Ardan wpatrywał się w ziejącą czarną rozpadlinę, która pojawiła się nagle dwa kroki przed nim. Gdyby Jalandar się nie zatrzymał, Ardan prawdopodobnie nigdy nie odkryłby otworu między ruinami. Trwało chwilę, zanim dostrzegł schody, szerokie i bez poręczy, gubiące się gdzieś w ciemności pod jego stopami.

Jalandar rozejrzył się z twarzą zamarłą z napięcia.

- To jest wejście do grobowca. Tam na dole...

Ardan nie słyszał dalszych słów. Wpatrywał się w wejście. Trudno było zrozumieć, że w tym tak niepozornie wyglądającym miejscu odbyło się jedno z najstraszniejszych wydarzeń w historii Cartomien. Gdy podniósł wzrok, Jalandar zamierzał postawić stopę na najwyższym stopniu schodów.

Ardan położył mu dłoń na ramieniu i powstrzymał go.

- Co nas tam czeka?

- Chcecie szczerzej odpowiedzi?

Gdy Ardan kiwnął głową, Jalandar ściągnął usta w smutnym uśmiechu.

- Nie wiem. Bądźcie gotowi na wszystko.

- Czy wyznawcy Czarnego Króla zastosują swoją magię?

Jalandar potrząsnął głową.

- Wyznawcy nie dysponują żadną magiczną mocą. Wszystko, co do tej pory u nich

widzieliście, to była siła ich Najwyższego Kapłana, która w nich wpłynęła, żeby mogli wypełnić zadanie. Podczas rytuału Najwyższy Kapłan będzie potrzebował wszystkich swoich sił. Nie może sobie pozwolić, żeby cokolwiek pozostało u wyznawców.

Ledwie skończył mówić, odwrócił się i zaczął schodzić ze schodów. Ardan podążył za nim z dłonią na mieczu. Obcasy jego butów skrzypiały za każdym razem, gdy stawiał stopę na kolejnym kamiennym wyrobionym stopniu. Ciemność otoczyła go i wchłonęła. Schodził nadal, obmacując ściany. Przez dłuższą chwilę nie zauważył, że nie było tu całkowicie ciemno. Do jego oczu dotarło delikatne odbicie blasku pochodni. Z każdym krokiem ciemność rozpraszała się coraz bardziej, aż dotarł do końca schodów. Pochodnie tkwiły w ściennych lichtarzach, oświetlając wielką okrągłą izbę drżącym blaskiem. Czujnie podążał za Jalandarem, który odszedł kilka kroków od schodów. Pradawne runy nakładające się na siebie i stale się powtarzające zdobiły kamienną ścianę i spływały na ziemię, tworząc ogromny krąg, którego środek składał się ze stylizowanego oka.

- To jest znak Kręgu Obserwatorów - wyjaśnił Jalandar cicho, gdy dostrzegł spojrzenie Ardana. - Razem z runami na ścianie moc oka więzi Czarnego Króla tu na dole. - Skrzywił się. - Przynajmniej dopóki ten nie będzie w posiadaniu pełni swoich sił.

Peristaes zwrócił się do kapitana Horana.

- Zostaniecie tutaj z częścią ludzi. Pilnujcie, żeby nikt nie czaił się za naszymi plecami. Spojrzał na Ardana i dodał: - I żeby nikt z dołu nie uciekł.

Horan kiwnął głową, zaszalutował energicznie i wybrał szybko dwudziestu ludzi, którym dał znak ręką, żeby zajęli pozycję przy schodach.

Jalandar wskazał na korytarz, który odchodził z sali na drugim jej końcu. Ardan skupił się na wylocie grubo wyciosanego korytarza prowadzącego do kolejnej sali. Tuż przed nią Jalandar spowolnił krok i nakazał ludziom zachowanie ciszy. Ostrożnie podeszli do wyjścia i wyjrżeli powoli.

Ardan poczuł głęboki szacunek na widok potężnego sklepienia krzyżowego. To był grobowiec Mgielnego Lorda. Wzrokiem ogarnął długie rzędy ciemnych kamiennych sarkofagów, ustawionych po obu stronach sali, i przyglądał się posągom stojących przy każdym miejscu pochówku. Wizerunki niegdysiejszych władców zostały trwale uwiecznione przez zdolnych kamieniarzy. Na środku pomieszczenia stał pojedynczy sarkofag. Posąg przed nim był większy od innych: Tyr Berengar, pierwszy Mgielny Lord, mężczyzna, który przed ponad 1200 laty sprowadził ludzi do Cartomien i dał im nową ojczyznę.

Śpiew przerwał ciszę i wypełnił powietrze. Głęboki pomruk, który zatrzęsł skałą. Jalandar wskazał na koniec grobowca, gdzie w cieniu niknął kolejny korytarz. Grupa

podążała w milczeniu naprzód, mijając trumny i posągi, w kierunku następnego korytarza. Kilka metrów przed nim Peristaes podniósł rękę i nakazał swoim ludziom, by stanęli. Podczas gdy drużyna zatrzymała się, Ardan, Jalandar, Gwynn i Peristaes podeszli cicho do wejścia.

Ardan był pierwszy. Schylony wyjrzał ostrożnie. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Sześć szerokich stopni prowadziło do ogromnej jaskini, jeszcze większej niż grobowiec za jego plecami. Drgające ognie pokrywały ściany migotliwym blaskiem. Światło nie wystarczało, by sięgnąć sufitu zanurzonego w cieniu. Pięć dużych ognisk, każde z nich otoczone dwunastoma mężczyznami w ciemnobrązowych, zniszczonych togach. Ich puste oczodoły lśniły blado w świetle pochodni. Śpiew wyznawców wypełniał salę i odbijał się stukrotnie od ścian. W trakcie śpiewania w każdym kręgu mężczyźni po kolei podnosili ręce i wrzucali garść proszku do ognia. Przez chwilę płomienie stały się krwistoczerwone i zamieniały się w podskakujące strzępiaste języki ognia. Ardan wpatrywał się w nie, aż opadły, i mógł rozpoznać, co kryło się za nimi. Pośrodku każdego ogniska stał słup, do którego był przywiązany zwęglony szkielet. Każdy z nich trzymał w dłoni jeden przedmiot. Mistrzowie magii i ich atrybuty. Płomienie nie dotykały przedmiotów. Książka, maska, różdżka, kamień serdeczny i amulet pozostawały w ogniu nietknięte. Nie tak jak kości magów, które z każdą chwilą były coraz bardziej pochłaniane przez strzelające płomienie. Żar wgryzał się w szkielety i w niedługim czasie jedynie kupki popiołów miały przypominać, że magowie kiedykolwiek istnieli.

Dłoń na plecach Ardana przestraszyła go.

- Tam.

Oczy Ardana podążyły za spojrzeniem Gwynna i napotkały ogromny czerwony dąb. Drzewo, wyrastało prosto z kamienia! Jednak pradawny symbol ery druidów był martwy. W jego korzeniach i gałęziach nie krążyły już żywotne soki. Czarny i zwęglony, zniszczony jak wiara, do której niegdyś przynależał. Jego spalone gałęzie wyciągały się ku sklepieniu jaskini jak ręce tonącego w poszukiwaniu oparcia. Ziemia wokół pnia otoczona była magicznym kręgiem namalowanym ciemnoczerwoną farbą. Krew. Przed pniem, na zewnętrznej linii kręgu, stał kapłan w ciemnej todze z twarzą ukrytą w kapturze. Z rękoma wyciągniętymi na boki stał nieruchomo, mrużąc mroczne słowa, których rozum Ardana nie mógł pojąć, mimo że były wypowiedane wystarczająco donośnie. Lekki powiew wpadł do jaskini i poruszył połami jego togi. Za nim, przy pniu dębu, Ardan dostrzegł biały zarys. Jasny jak mgła i trudny do rozpoznania. Wyciągnął głowę, by lepiej się przypatrzeć. Wtedy postać w todze przesunęła się o krok i oczom Ardana ukazała się Elyria. Ardanowi zaparło dech w piersiach, gdy ją zobaczył. Otulona w białą ceremonialną szatę, której lejący materiał ledwie skrywał jej ciało,

była przywiązana do pnia drzewa. Jej czoło zdobiła krwistoczerwona runa. Głowa zwisała na bok, oczy miała otwarte, jednak jej zawsze przytomny wzrok był teraz pusty.

Serce Ardana przejęło jego ciało w posiadanie. Nagle w jego dłoni znalazł się miecz. Skoczył do przodu. Jakaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i szarpnęła go do tyłu, zanim zdążył wpaść do jaskini.

- Zwariowaliście? - syknął Peristaes, kiedy wciągnął go z powrotem do korytarza. Ruchem głowy nakazał dwóm ludziom, żeby obserwowali jaskinię.

Ardan wodził oczyma od Peristaesa do Elyrii. Nadal czuł palącą potrzebę dotarcia do niej jak najszybciej, lecz rozsądek wrócił mu na tyle, żeby uświadomić sobie, że nie wolno mu tak po prostu wybiec. Skupił wreszcie spojrzenie na Peristaesie, który wpatrywał się w niego badawczo.

- Nie róbcie głupstw - szepnął Najwyższy Łowca.

Ardan strzepnął dłoń Peristaesa z ramienia, wsunął miecz do pochwy i podążył do grobowca. Serce wrywało mu się do Elyrii, rozsądek podpowiadał mu jednak coś innego. Odetchnął głęboko i pozwolił, żeby nad jego wnętrzem zapanował wojownik. Potrzebowali planu.

- Ten mężczyzna przy dębie... - zaczął Gwynn - Czy to Najwyższy Kapłan?

- Amatan - szepnął Jalandar obok niego. - Tak brzmi jego imię.

- Ten Amatan? - Ardan zmarszczył czoło. - Czy nie powinien być martwy?

Twarz Jalandara była bez wyrazu.

- Jest martwy.

- Nie wiem, czy chcę usłyszeć jeszcze coś - mruknął Gwynn i skrzywił się nieznacznie.

Ardan zacisnął pięści.

- Nieważne, dlaczego tam jest. Muszę dotrzeć do dębu, do Elyrii! - ledwie panował nad sobą. - Myślisz, że nas przepuszczą?

Gwynn potrząsnął głową.

- Wątpliwa sprawa, jak na mój gust.

- Moi ludzie utorują nam drogę - wmieszał się Peristaes. - Będziemy musieli znaleźć przejście pomiędzy walczącymi.

„I drogę, jak pozbyć się ciebie i twoich ludzi”.

Ardan zwrócił się bezpośrednio do Peristaesa.

- Możemy ruszyć, kiedy będzie już po wszystkim.

- Nie mogę. Jestem Najwyższym Łowcą, a ona czarownicą.

Jednak w jego oczach Ardan dostrzegł coś - więcej niż tylko myśl o obowiązku. Chęć zemsty za wszystko, co magiczna moc wyrządziła jemu i jego rodzinie.

- Czy to wasze ostatnie słowo?

- Otrzyma sprawiedliwą karę, podobnie jak sprawiedliwą karę otrzymał Crean.

Ardan wyprostował się. Coś, co gdzieś głęboko przeczuwał, nagle stało się potworną pewnością.

- Więc nie sprowadzi posiłków, czy tak?

Peristaes spojrział na niego twardo.

- Nikogo już więcej nie zdradzi!

- Nędzny łajdaku! - ryknął Ardan. Trząsł się z wściekłości.

Chciał rzucić się na Łowcę, ale w tym samym momencie jakieś silne dłonie zacisnęły się na jego rękach. Kątem oka dostrzegł ludzi Peristaesa gotowych, by w każdej chwili zareagować. Jednak to nie Synowie Eaghana powstrzymali go, tylko Gwynn z Jalandarem.

- Bądź rozsądny.

Spokojny głos Jalandara przeniknął przez mgłę wściekłości zacadzającą umysł Ardana.

- Jeśli teraz go zabijecie, nie uratujemy Elyrii. Czy o to właśnie wam chodzi? Zachowajcie pragnienie zemsty na później.

Wszystko w nim krzyczało, żeby zmieść z powierzchni ziemi Peristaesa, Jalandar miał jednak rację. Potrzebowali Najwyższego Łowcy i jego ludzi. Bez niego Elyria umrze. Spojrział na Gwynna. To, co zobaczył w jego oczach, nie było troską o własne życie, lecz strachem, że Ardan może popełnić jakieś głupstwo i zniweczyć wszelką nadzieję na uratowanie Elyrii.

Ardan westchnął cicho i spojrział znów na Peristaesa. Wbił w niego wzrok jak sztylet.

- Kiedy będzie po wszystkim, zobaczymy się znowu - powiedział z całym spokojem. - Wtedy zapłacicie.

Peristaes przyjął spojrzenie Ardana z twarzą bez wyrazu. Już otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, kiedy napiętą ciszę przerwał stłumiony okrzyk.

- Odkryli nas!

To krzyknął jeden z ludzi Peristaesa pilnujących wejścia do jaskini. Sekundę później Ardan zobaczył cienie ślepych mnichów wyrastające za zakonnymi rycerzami.

- Uciekajcie z korytarza! - rozkazał Peristaes swoim ludziom. - Do jaskini, zanim odetną nam drogę!

Ardan zerknął na przejście. Nieliczni wyznawcy będą go bronić tak długo, zanim...

Zanim rytuał zostanie dopełniony! Serce ścisnął mu żal. Wyciągnął miecz i ruszył do ataku. Pierwsi wyznawcy dotarli już do korytarza, gdy się tam pojawił.

Obok niego klął siarczyście Gwynn.

,- Do licha! Nie mogę przecież atakować ślepców!

Kiedy jednak tuż obok jego ucha przeleciało ze świstem zębate ostrze, szybko zmienił zdanie i uderzył.

- Jalandar! - krzyknął Ardan ponad bitewną wrzawą. - Stań między mną a Gwynnem!

Czubkiem miecza dał Gwynnowi znak, by ten się zbliżył. Za nim napływali coraz większą falą Synowie Eaghana, rzucając się z furią na wyznawców Czarnego Króla, których liczba rosła z minuty na minutę.

Nagle u boku Ardana wyrósł Peristaes. Ramię przy ramieniu ochraniał Jalandara, odpierając ataki wyznawców. Ardan z trudem skupiał się na swoich przeciwnikach. Jego spojrzenie wędrowało nieustannie do Jalandara i Gwynna, przy czym mniej martwił się o starca. Podczas gdy przy Jalandarze musiał dopilnować jedynie, by pozostał między nim, Peristaesem i Gwynnem, to w przypadku Gwynna dodatkowo martwił go bardzo fakt, że komediant nie był wojownikiem. Naturalnie potrafił bronić się wystarczająco dobrze, lecz był tak samo nieprzyzwyczajony do stawiania czoła większej liczbie przeciwników jak do walki w szeregach bitewnych.

Jakieś ostrze wystrzeliło w kierunku Ardana. Poderwał swój miecz do góry i odparował cios. Zrobił pozorowany krok w bok, potem zawinął się i powalił swojego przeciwnika. Potem był kolejny. Ardan uchylił się przed mieczem ślepca. Kolejny zamachnął się na Jalandara. Ardan odwrócił się i popchnął starca, aż ten zatoczył się na ścianę. Ostrze przecięło powietrze i minęło się z zamierzonym celem. Nagle między Jalandara i Ardana wdarło się kilku wyznawców Czarnego Króla.

- Gwynn! Uważaj na Jalandara!

Ardan uniknął ciosu, uchylił się przed kolejnym i uderzył. Ostrze jego miecza wbiło się w przeciwnika, który upadł. Szybkim ruchem uwolnił broń i rozejrzał się. Atak zepchnął Peristaesa z powrotem do jego ludzi. Gwynn z Jalandarem stali z boku całego zamieszania, z plecami zwróconymi do ściany. Dwóch przeciwników na nich napierało.

Ardan nie musiał być jasnowidzem, żeby dostrzec, że Gwynn nie jest w stanie zbyt długo bronić swojej skóry. Zaczął się do nich przedzierać. Po drodze zabił dwóch wyznawców, a trzeciego odepchnął mocnym uderzeniem. Po kilku krokach dotarł do Jalandara i Gwynna. Chwycił pierwszego ślepca, cisnął go na bok i wbił swój miecz w drugiego. Byli wolni. Ardan rozglądał się gorączkowo. Za nim Łowcy Czarownic usiłowali

zapędzić wyznawców Czarnego Króla do przejścia, jak najdalej od dębu i ognisk. Mimo że wyznawcy mieli przewagę liczebną, Synowie Eaghana górowali nad nimi sztuką walki.

Na środku jaskini, w centrum magicznego kręgu, Amatan w otoczeniu dziesięciu wyznawców był zajęty dopełnianiem rytuału. Elyria nadal się nie poruszała. Zwisiała w swoich więzach i zdawała się nieświadomą tego, co się działo wokół niej.

- Bierzmy go!

Zanim Gwynn i Jalandar zdążyli odpowiedzieć, Ardan ruszył do ataku. Ślepcy, którzy mieli chronić Amatana, ustawili się w szeregu. Trzech wystąpiło naprzeciw Ardana. Wojownik podniósł miecz i uderzył. Jego myśli krążyły wokół Elyrii. Nie mógł już dłużej odsuwać od siebie widoku jej pustego spojrzenia. Jakby już była martwa. Wymachując mieczem, walczył z wyznawcami. Starał się nie dopuszczać ich do Jalandara, sam się bronił, równocześnie ruszając do ataku. Stał trafiała w jego ciało, cięła bezlitośnie ręce i nogi. Jeden z mieczy trafił go w pliczek. Podniósł swój i zamachnął się, po chwili znowu zrobił to samo. Atak i obrona zlały się w jedno aż do momentu, kiedy już nie wiedział, kto zwycięża, a kto przegrywa. Były chwile, kiedy myślał, że ostrze miecza przebije go na wylot, jednak za każdym razem udawało mu się w decydującym momencie uniknąć ostatecznego ciosu. Uderzał, odpierał i szykował się do natarcia. Stale i wciąż, aż rozbolały go ręce, a przeguby dłoni zdrętwiały. Po raz pierwszy w walce nie żałował utraty swojej magii. Nie potrzebował jej. Był wystarczająco silny. Jego niezłomna wola dodawała mu energii i zmuszała do działania również w chwilach, kiedy już dawno powinien chwiać się na nogach z wyczerpania.

Jakiś miecz pędził w jego stronę. Ardan rzucił się na ziemię, przeturlał i pchnął mieczem prostopadle do góry. Ślepiec padł na ziemię jak rażony piorunem. Ardan poderwał się gotowy w każdej chwili stawić czoło kolejnemu przeciwnikowi. Jednak żadnego już nie było. Nagle się skończyło. Ci, którzy mieli bronić Amatana, zginęli z ręki Ardana lub innych. Z ciężkim oddechem, obejrzał się za siebie. Niedaleko stał Gwynn. Rękaw jego koszuli był w strzępach i krwawił mocno z rany w boku. Za nim dostrzegł Jalandara. Starzec trzymał w dłoni sztylet czerwony od krwi swoich przeciwników. On też przyczynił się do uszczuplenia szeregów Amatana.

Za nimi, w przejściu do grobowca walka trwała nadal, ale wokół dębu zrobiło się cicho. Jedyne rytualny śpiew odbijał się echem od ścian.

Ardan podszedł do Gwynna.

- Wytrzymasz?

- Dopiero się rozgrzewam.

Oddychał gwałtownie, ale w jego oczach palił się ogień, który zdawał się mówić: stawię czoła każdemu, kto odważy się stanąć na mojej drodze.

- Odwróć uwagę Amatana. Ty uwolnisz Elyrię. Jak już będziesz ją miał, zabierz ją w bezpieczne miejsce. Nieważne, co wokół ciebie będzie się działo. Zrozumiałeś? - Gdy Gwynn przytaknął, Ardan dodał: - Niech szczęście cię prowadzi!

- Na wszelkie moce! Czarny Król!

Krzyk Jalandara przebił się przez bitewny zgiełk i kazał Ardanowi spojrzeć w stronę martwego dębu. To, co zobaczył, sparaliżowało go. Czarna mgła podnosiła się nad dębem, jakby wypływała z jego gałęzi, wirując i napierając, podobnie jak ta, którą zobaczył w kuli Jalandara. Jak potężna, ciemna zjawa wysunęła swoje mgielne palce po Elyrię.

- Z drogi!

Jalandar odepchnął Ardana, sięgnął do woreczka przytroczonego u pasa i wyjął szary proszek. Starzec skoczył do przodu. Jego płaszcz zatrzepotał wokół wychudzonego ciała jak flaga szarpana wicherem. Zanim czarna mgła zdążyła wnikać w Elyrię, Jalandar rzucił swój proszek. Jasnoszary jak popiół zawirował w powietrzu i spadł na Elyrię. Nagle jej jasna szata pokryła się ciemnymi plamami. Tam, gdzie esencja demona dotknęła proszku, unosił się srebrny blask. Powietrze wypełniło przeraźliwe skrzeczenie. Jalandar rzucił ponownie garść proszku, tym razem wprost na demona. Skrzeczenie nasiliło się i zadudniło o ściany. Ardan mrużył oczy, oślepiiony srebrnymi błyskawicami, patrząc z napięciem, jak demon cofnął się o krok.

- Gwynn, uwolnij Elyrię! - krzyknął Ardan, a sam zajął się Amataniem.

Rękojeść miecza była wilgotna i śliska. Chwycił ją mocniej i zamachnął się z całych sił.

- Ardanie, nie!

Krzyk Jalandara powstrzymał go w ostatniej chwili od zadania ciosu.

- Demon wchodzi w ciało Amatana! Łapcie!

Woreczek poszybował w powietrzu. Ardan wyciągnął rękę i złapał go.

- Rzućcie proszek i uderzajcie! - polecił Jalandar.

Ardan zapatrzył się w ciemną chmurę, która jak nadchodząca burza zawisła nad głową Amatana i powoli wnikała w jego ciało. Otworzył pospiesznie woreczek i rzucił proszek na kapłana. Wibrująca srebrna chmura spowiła jego ciało w chwili, gdy demon szykował się do wnikięcia. Skrzeczenie wzmoгло się jeszcze bardziej, pełne wściekłości i bólu, tak straszne, że Ardan chciał zatkać sobie uszy. W ten ogłuszający hałas wmieszały się inne dźwięki. Wtedy Ardan usłyszał głos Jalandara.

- Atakujcie! - krzyczał starzec. - Teraz!

Mimo że Ardan z trudem rozpoznawał cel za srebrnymi błyskawicami i wyładowaniami energii, zamachnął się i wbił miecz w wibrującą chmurę.

Powietrze wypełnił przenikliwy krzyk. Tym razem nie był to demon, tylko Amatan. Trafiony ostrzem Ardana osunął się na ziemię. Demon wzbił się w górę z sykiem. Chmura rozdzieliła się jak atrament rozpluwający się w wodzie. Przepływała raz w jednym, raz w drugim kierunku, a im wyżej się wznosiła, tym bardziej stawała się przezroczysta. Potem rozwiała się jak poranna mgła nad łąkami. Demon zniknął w ciemności pod kopułą jaskini.

Wzrok Ardana padł na rozplątane ciało Amatana. Wstrętny odór rozkładu wypełnił powietrze. Jakiś szelest pod peleryną Amatana zwrócił jego uwagę i Ardan mieczem odsunął na bok materię. Tam, gdzie spodziewał się dostrzec szaty i skórę, zobaczył skłębioną, drgającą białą masę. Setki larw zjadały rozpadające się szczątki dawnego obserwatora. Tam, gdzie wcześniej była skóra, bieleły gołe kości. Ardan odwrócił się ze wstrętem i zatoczył na bok. Nie był w stanie utrzymać się dłużej na nogach. Poczł nagle każde uderzenie, każde kopnięcie, cięcie i pchnięcie odniesione w walce. Dysząc ciężko, usiłował pokonać ból. Elyria! Słabość na chwilę ustąpiła. Ciężar, który prawie go przygniótł, zniknął w okamgnieniu. Trzema susami znalazł się przy niej i przeciął jej więzy. Gdy tylko puściły, opadła na niego bezwładnie. Jej skóra pod cienką tkaniną była gorąca i drżąca. Elyria była przytomna, ale jej oczy były zimne i puste. Jakby nie poznawała go.

Elyria!

Przyciągnął ją do siebie i delikatnie poklepał wierzchem dłoni po policzku.

- Obudź się! Elyria!

Nie poruszyła się.

Ardan wziął ją na ręce i zaniósł pod ścianę jaskini. W chwili gdy przestąpił magiczny krąg, jej powieki zaczęły drżeć. Oczy pod powiekami poruszały się niespokojnie, aż się ocknęła. Kiedy zobaczyła czerwony dąb, krzyknęła cicho.

- Cicho. Już dobrze, dobrze...

Ardan postawił ją na nogi, ale nie wypuszczał z ramion.

- Amatan nie żyje. Widzisz?

Obrócił ją ostrożnie, żeby mogła zobaczyć rozpadające się ciało byłego uczonego.

- Demon uciekł.

Patrzyła na niego, mrugając powiekami.

- Myślałam, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Moja magia... nie mogłam nic wskórać przeciwko Amatanowi i ślepym mnichom. Nie mogłam nawet przywołać mocy. Ja... - Drżała.

Oparła się o jego ramię i pozwoliła, żeby ją objął.

- Wszystko będzie dobrze. Niedługo będziemy bezpieczni. „Musimy tylko wymyślić jakiś sposób, żeby wymknąć się Peristaesowi i jego ludziom”, pomyślał.

Elyria odechnęła głęboko, wyprostowała plecy, potem wysunęła się z jego ramion i rozejrzała się dokoła.

- Gwynn! Jalandar! Dzięki bogom!

Powędrowała wzrokiem aż do przejścia, gdzie nie było już widać Synów Eaghana. Wyparli ostatecznie z jaskini wyznawców demona. Ardan domyślał się, że wzięli ich w kleszcze z pomocą ludzi pozostawionych u wejścia do grobowca. Na zewnątrz, w sali grobowca wciąż szalała walka. Krzyki odbijały się głośnie echem od wysokiego sklepienia.

Peristaesa nigdzie nie było. Dlaczego nie ma go tutaj? Dlaczego nas nie pilnuje? Odpowiedź sama się nasuwała. To nie było konieczne. Gdyby chcieli opuścić jaskinię, nie było innej drogi prócz tej zajętej przez Peristaesa i jego ludzi. Najwyższy Łowca wiedział, że nie mogą mu uciec.

Elyria nadal wydawała się lekko dezorientowana.

- Jak się tutaj dostaliście? A kim są ci wojownicy?

Ardan opowiedział jej pokrótce, jak skłonił Peristaesa do współdziałania. Nie wspominał jedynie o losie Creana. Chciał oszczędzić jej ciężaru smutku tak długo, jak to możliwe.

Mówiąc, nie spuszczał z oczu Jalandara, który wydobywał z ognia atrybuty. Starzec podniósł miecz i wyławiał przedmioty z płomieni. Gdy tylko znalazły się na ziemi, natychmiast po nie sięgnął. Ardan myślał, że starzec poparzy sobie palce i odsunie dłoń, nie zrobił tego jednak. Jalandar zdjął swój płaszcz, rzucił na ziemię i zawinął weń wszystkie przedmioty po kolei. Żaden z nich nie został nawet nadpalony. Na końcu związał pelerynę w tobołek i podniósł.

Gwynn także go obserwował.

- Co się teraz z tym stanie?

Jalandar spojrzał na niego z powagą.

- Zaniosę je w bezpieczne miejsce i będę ich strzegł jak źrenicy oka, dopóki nie znajdę sposobu, jak je zniszczyć.

- Czy nie możemy po prostu...

- To magiczne przedmioty, Gwynnie - przerwał mu Jalandar. - Płomienie nic im nie zrobią. Nie tak łatwo je zniszczyć, o nie...

- Zastanowimy się nad tym, kiedy już się stąd wydostaniemy - wmieszał się w ich

rozmowę Ardan. - Czy jest tu jakieś inne wyjście? - spytał zwrócony do Jalandara.

Ten potrząsnął głową.

- Niestety, pozostaje nam jedynie ta sama droga, którą tu trafiliśmy.

Ardan zaklął głośno. „Peristaes jest nie w ciemni bity. Dobrze wie, że nie możemy mu się wymknąć”, przemknęło mu przez głowę. Przyciągnął do siebie Elyrię i pocałował ją w czoło.

- Znajdziemy drogę. Obiecuję.

Gwynn oparł się o ścianę. Wyglądał na wyczerpanego. W zamyśleniu podrapał się w podbródek.

- Jalandarze, może macie na podorędziu kilka z tych bardzo przydatnych proszków?

Uśmiech przebiegł po twarzy Jalandara. Po raz pierwszy, odkąd Ardan go znał, nie wydawał się stary. Odwiązał kolejny woreczek od swojego pasa.

- Mam przygotowaną jeszcze niejedną niespodziankę. Poczekajmy, aż walka dobiegnie końca. Przecież nie chcemy wpaść prosto w ręce naszym wrogom, nieprawdaż? - Uśmiechnął się chytrze. - Gwynn i ja ustawimy się przy przejściu i poczekamy na odpowiedni moment - powiedział zwrócony do Ardana i Elyrii. Jego oczy powędrowały na chwilę do woreczka, który trzymał w dłoni, potem znów spojrzały na Ardana. - Będzie bardzo dużo dymu. To będzie dla was znak. Mniemam, że podczas gdy Łowcy Czarownic nie będą wiedzieli, co się dzieje, wy przemkniecie obok Peristaesa - prosto na wolność.

Podszedł do Elyrii i objął ją serdecznie. Potem uściskał dłoń Ardanowi.

- Dobrze wywiążaliście się ze swojego zadania. Oboje.

- W takim razie zobaczymy się na zewnątrz - powiedział z uśmiechem Gwynn.

*

- Naprawdę nic ci nie jest? - zapytał Ardan. Patrzył z niepokojem na ocaloną dziewczynę, gdy tylko znaleźli się sami. Uważał to za cud, że udało się im nie tylko zniszczyć Amatana i demona, lecz także uwolnić Elyrię. Wszyscy odnieśli jakieś rany, była to jednak niewielka cena w porównaniu z tym, czego się spodziewał.

- Naprawdę. - Uśmiechnęła się promiennie. - I po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam cię w rękach wyznawcy demona, w ogóle się nie boję.

Ardan zmarszczył czoło.

- Już tylko za to, że byłaś gotowa wymienić swoje życie za moje, powinienem przełożyć cię przez kolano. A jaka kara ma cię spotkać za to, że usiłowałaś wykorzystać w tym celu magię, to się jeszcze zastanowię. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Daj mi po prostu kilka dziesięcioleci, żebym się nad tym zastanowił, dobrze?

Uśmiech Elyrii stał się jeszcze cieplejszy.

- Czy to znaczy, że możemy wrócić do tego, na czym poprzestaliśmy, zanim Jalandar pojawił się na zamku Daormir?

- Jeśli masz nadzieję, że możemy się ukryć w miękkim łóżku na zamku Daormir, to muszę cię niestety rozczarować. Nie możemy tam wrócić. Peristaes z pewnością będzie nas szukał w pierwszej kolejności na moich włościach. Jeśli jednak wystarczy ci, że jestem z tobą...

Opadł przed nią na kolana i ujął jej dłoń. Nigdy nie klęczał przed żadną kobietą. To, że zrobił to teraz, było wyrazem jego głębokich uczuć. Ogarnął go niespodziewanie podniosły nastrój.

- Zostań moją żoną, najdroższa Elyrio. Odejdźmy stąd, tak jak to sobie od początku wymarzyliśmy. Tylko ty i ja. Co powiesz na to?

- Co ja na to powiem? - Oczy zalśniły jej złotym blaskiem. - Tak! Tak! I jeszcze raz tak!

Ardan poderwał się z ziemi i wziął ją w ramiona zachwycony i szczęśliwy. Podniósł Elyrię do góry, zakręcił wkoło i gdy wreszcie postawił ją na ziemi, przyciągnął do siebie i pocałował. Elyria oddała mu pocałunek. Wtedy zamknął oczy i zanurzył się w jej objęciach. Był u celu swoich marzeń. Stracił żonę, majątek i tytuły, a jednak miał wszystko, o czym marzył.

Pocałunek nagle się skończył. Elyria zeszywniała w jego ramionach. Otworzył oczy i zobaczył, że dziewczyna wpatruje się z przerażeniem w jakiś punkt za jego plecami. Zanim zdążył coś powiedzieć, wysunęła się z jego objęć i cofnęła o krok. Ścisnęła kurczowo dłoń Ardana.

- Bogowie! - szepnęła.

Peristaes! Ardan odwrócił się błyskawicznie, gotów do odparcia ataku Najwyższego Łowcy. Jednak to, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Czarna mgła opadała powoli ze skalnego stropu, gęstniejąc z każdą chwilą do nieprzeniknionej postaci zbliżonej do ludzkiego kształtu, matowej, ogromnej, czarnej jak obsydian.

- Myślałem, że go pokonaliśmy.

Ardanowi trudno było sformułować jakąś rozsądną myśl. Wszystko, co mu przychodziło do głowy, to pytanie, jak to możliwe.

- To jest powód! - Elyria mówiła tak cicho, że z trudem rozumiał jej słowa. - Przez cały czas zadawałam sobie pytanie, dlaczego nie mogę użyć magii, chociaż Jalandar twierdził, że będę jej potrzebowała w walce z demonem. Teraz wiem. Jeszcze do niej nie doszło.

To jeszcze nie koniec. Być może wcale nie zaczęło się na dobre! Ardan chwycił swój miecz, przesunął Elyrię za siebie i stanął przed demonem z podniesionym orężem. Z wojennym okrzykiem rzucił się na Czarnego Króla. W ten cios włożył całą swoją siłę. Cios, który powaliłby każdego, nawet tak ogromnego mężczyznę. Demonowi jednak ostrze miecza Ardana nie wyrządziło żadnej krzywdy. Przesunęło się przez jego falujące czarne ciało, nie natrafiając na żaden opór. Ardan, pchnięty siłą własnego uderzenia, zachwiał się, ale już po sekundzie odzyskał równowagę i zamierzył się do kolejnego ciosu. Wtedy Czarny Król zawিrował i uderzył. Jedno uderzenie potężnej istoty, która nie musi się martwić przeciwnikiem, ścięło Ardana z nóg i rzuciło nim o ścianę. Uderzenie wycisnęło z jego płuc całe powietrze. Dławił się, a chwilę potem upadł. Świat szarpał się na strzępy, gdy Ardan tracił przytomność.

Elyria!

Myśl o niej przywróciła go do rzeczywistości. Mrugał powiekami, próbując pozbyć się czarnych plam przesłaniających mu widoczność. Wsparty na mieczu wstał z trudem i rozglądał się na wszystkie strony, szukając Elyrii. Stała na drugim końcu jaskini, tam, gdzie Ardan ją zostawił. Uwaga demona była wciąż skierowana na Ardana. Ciemna postać sunęła ku niemu niespiesznie. Przyglądała się Ardanowi, jakby był insektem, którym chce się zabawić.

Elyria podeszła bliżej do pleców demona.

- Chodź tutaj! - krzyknęła. - Weź sobie magię!

Na dźwięk tych słów Ardanowi zamarło serce.

- Nie - szepnął zdławionym głosem i podniósł miecz. Potem krzyknął: - Stań ze mną do walki, obmierzła kreaturo!

Demon zamierzył się ponownie. Jego cios trafił Ardana w bok i powalił go na ziemię. Ciepła krew spłynęła i wsiąkała w jego koszulę. Mimo to Ardan spróbował natychmiast się podnieść. Wsparł ręce o ziemię, jednak nogi ugięły się pod nim. Upadł na twarz. Jego buty zaszurały po podłożu, kiedy wstawał. Żebra bolały niemiłosiernie, przy każdym oddechu wysyłały wściekłą falę bólu. Cał po calu Ardan unosił się do góry, aż ukląkł. Chwiał się, a świat wirował mu przed oczami. Minęła chwila, zanim zorientował się, że upadł ponownie. Demon zbliżył się do niego. Ardan go nie widział, lecz mógł go wyczuć. Przerazające zimno, które wysyłała ta istota, przeniknęło go do kości.

Przeturlał się na plecy i usiadł. I zobaczył go. Tuż nad sobą. Gotowego do zadania kolejnego ciosu! Ardan chciał zrobić unik, na próżno. Demon zamierzył się, gdy przez jego ciało przeszło uderzenie. Kreatura odwróciła się. W miejscu, gdzie trafiła go energia Elyrii,

wyływały ciemne smugi dymu z jego ciała. Z wrzaskiem Czarny Król zamienił się w wirującą chmurę i odsłonił widok na Elyrię. Stała na środku jaskini z rozłożonymi rękoma i nie poruszała się. Zerwał się wiatr.

- Chodź! - krzyknęła do demona.

Kłęby ciemnej mgły zbliżyły się do niej. Wiatr nasilił się do rozmiaru wyjącej wichury, szarpał szatę Elyrii i biczował pasmami włosów po twarzy. Nie poruszyła się.

- Elyria! Nie!

Ardan zebrał resztki sił, żeby się podnieść. Stanął chwiejnie i chwycił swój miecz. Jeszcze zanim zdążył zrobić krok w kierunku Elyrii, demon wystrzelił ku niej i wniknął w jej piersi. Wichura ustała. Elyria zrobiła chwiejny krok naprzód, a potem opadła na ziemię.

- Nie! - cała słabość natychmiast opuściła Ardana. Podbiegł, upadł przed nią na kolana i pochwycił ją, żeby ją wesprzeć.

- Co zrobiłaś? - wydyszał, tracąc oddech.

- Teraz rozumiem - powiedziała spokojnie. - Ta, w której oczach płoną ogień Dziewiątego Piekła, uwolni swoją magiczną siłę we wszystko niszczącej pożodze i tym samym przyniesie światu wybawienie lub pogrąży w wiecznej ciemności. Przyniosę światu wybawienie.

Słabość, którą Ardan zobaczył w jej oczach, przeraziła go.

- Co się z tobą dzieje? Czy cię zranił?

- Jest we mnie, Ardanie. I umacnia się. Trzymam go na uwięzi za pomocą magicznej mocy, lecz broni się przed więzami, które na niego nałożyłam. Powoli wsysa w siebie moją energię, karmi się nią. - Jej wzrok był rozbiegany. - Nie wiem, jak długo go jeszcze utrzymam.

- To go uwolnij!

- Nie! - potrząsnęła głową. - Wyślę go tam, skąd przyszedł, a ty mi przy tym pomożesz! Czy przypominasz sobie swoją przysięgę, którą na tobie wymusiłam?

Ogarnęło go przeraźliwe zimno. Usta wyschły mu na wiór. Były tak suche, że prawie nie mógł mówić.

- Oczekujesz ode mnie, że cię zabiję? - wydusił z siebie.

- To jedyna droga.

Jej spokój jedynie wszystko pogarszał.

- Nie! Nie zrobię...

- Czy przypominasz sobie słowa Jalandara? Jestem naczyniem. Jego naczyniem. Jeśli poprzez magiczną moc nadal będzie się wzmacniał, nie wytrzymam dłużej. Żeby go ujarzmić,

musi zginąć wraz z moją magiczną mocą. Tylko w ten sposób może powrócić do swojego świata.

- Musi istnieć jakiś inny sposób. Znajdziemy go, jeśli tylko...

Elyria położyła mu dłoń na rękę.

- Nie mamy czasu. Zaczynam tracić panowanie.

Jej oczy, jakby chciały podkreślić prawdę zawartą w jej słowach, zaszyły czarną mgłą. Demon krążył po jej ciele. Przez chwilę wyglądało na to, że straciła panowanie, potem jej ciało przeszły wstrząs. Mgła usunęła się i oczy nabrały ponownie bursztynowej barwy.

- Musimy się pospieszyć. Staje się coraz silniejszy.

Dyszała z wysiłku. W jej wzroku było widoczne skupienie, jakby była to jedyna droga, żeby utrzymać przewagę choć odrobinę dłużej. Gdy Ardan nadal zwlekał, jej palce wbiły mu się w rękę.

- Jeśli ponownie opuści moje ciało, nie przeżyję tego. Wtedy nie będzie już żadnej magii, która mogłaby go pokonać. Musisz to zrobić! Dałeś mi słowo! Proszę.

Fala bólu przetoczyła się przez jej ciało, aż zadrżała. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Czy wiesz, czego ode mnie oczekujesz?

„Wyrivasz mi serce!”.

Jęcząc, opadła utrzymywana jedynie przez ramiona Ardana. Jej twarz była naznaczona bólem. Skurcze wstrząsały jej ciałem, gdy walczyła z rosnącą mocą demona. „Jak mogę spełnić obietnicę, którą dałem w dobrej wierze, że nigdy do tego nie dojdzie?”. Jak mógł odebrać życie kobiecie, którą pokochał nad życie? Chciał zamknąć oczy na jej cierpienie, jednak nie mógł odwrócić się od walki, którą prowadziła. Czy rzeczywiście może się przyglądać, jak Czarny Król najpierw ją zabije, a potem się uwolni? Ardan zamknął oczy i odetchnął głęboko. Gdy otworzył oczy, podjął decyzję.

Przyciągnął Elyrię do siebie i pocałował. Stawała się coraz słabsza, jednak odwzajemniła pocałunek. Ciemna mgła przesuwiała się pod skórą dziewczyny, usiłując wydostać się przez pory. Umierała, a mimo to więziła demona, resztkami mocy, zapobiegając jego uwolnieniu.

Ardan objął ją lewą ręką. Nie kończąc pocałunku, chwycił prawą dłonią za szyję. Jego wargi objęły Elyrię to posiadanie, jakby chciał siłą swojej miłości utrzymać ją przy życiu. W jego dłoni szyję kładł się twardym i zimnym ciężarem. Ardan chwycił go mocniej, chciał zapanować nad drżeniem, które coraz bardziej paraliżowało jego ruchy. Zanim opuściło go zdecydowanie, wbił jej ostrze w serce. Z jej ust wydobyło się ciche westchnienie.

Patrzyła na niego, lecz w jej oczach nie było strachu. Wszystko, co dostrzegł, to miłość. Potem zgasła ostatnia iskra życia.

Z wściekłym skrzykiem demon wyskoczył z jej ciała, wystrzelił w górę, gdzie rozplynął się w jaskrawej błyskawicy. Głęboki grzmot odbił się od ścian jaskini i wstrząsnął nią aż do gruntu.

Gdy jaskinia zaczęła się zapadać, Ardan mocniej objął martwe ciało Elyrii. Nie złamie swojej obietnicy. Żadnej obietnicy.

- Cokolwiek się wydarzy, nie opuszczę cię - szepnął i pocałował ją w czoło.

Epilog

W dniu, w którym zostawiliśmy Elyrię i Ardana w jaskini, widzieliśmy ich oboje po raz ostatni. Gdy Gwynn opuścił jaskinię, żeby poczekać na odpowiednią chwilę dla naszego manewru odwracającego uwagę wroga, zatrzymałem się na moment, żeby spojrzeć na tych dwoje. Chciałem przez chwilę uczestniczyć w ich szczęściu. Lecz to, co zobaczyłem... Jak mogłem zakładać, że wszystko się skończyło? Nie mogłem zapobiec temu, co się wydarzyło. Elyria rozpoznała prawdę. Wiedziała, co ma zrobić.

Palące łzy zbierają się pod powiekami i plamą pergamin rozłożony przede mną. Atrament rozplywa się w słonym żalu. Litery rozlewają się przed moimi oczyma. Palce wzbraniają się przed spisaniem zakończenia tej historii, a jednak nie mogę inaczej postąpić. Przeniesienie tych wydarzeń na pergamin jest dla mnie jedyną możliwością uwolnienia choć trochę mojej duszy od przytłaczającego ciężaru, który na siebie wziąłem.

Krąg obserwatorów nigdy więcej się nie zebrał. Ponieważ Łowcy Czarownic nadal patrolują cały kraj, nie mogę nikomu zaufać bez obawy, że wpadnę w ich ręce. Peristaes już mnie zna. Zna moje umiejętności. Teraz ja jestem ścigany. Żeby mu zbiec, opuściłem mój dom i przybrałem nowe imię. Od tego czasu krążę niespokojnie po świecie, uciekam przed Synami Eaghana i moją przeszłością.

Jakim to żalonym tchórzem jednak jestem. Czasami ta świadomość trafia we mnie jak piorun, ale wtedy wmawiam sobie, że moje milczenie ma wyłącznie na celu ochronę innych członków Kręgu. Zaprawdę żalodne.

A co, jeśli moje stare oczy się pomyliły i Elyria nie zginęła z ręki Ardana? Wiem, że tak nie jest, ale czepiam się myśli, że ta historia mogłaby znaleźć inne zakończenie. Być może wrócili w wysokie góry, do małego gospodarstwa nad jeziorem. Nigdy tam nie byłem. Nie chcę zniszczyć swojej iluzji, że tych dwoje ludzi, którzy najbardziej na to zasłużyli, jednak odnalazło swoje szczęście.

To wszystko stało się tak dawno temu, a mimo to nie mogę zapomnieć. Wspomnienia

bledną, lecz obraz Elyrii i Ardana pozostaje w pamięci boleśnie wyraźny. Czarny Król może zostać wypędzony, jednak zagrożenie nie minęło. Tak długo, jak nie znajdę sposobu, by zniszczyć atrybuty. Dopiero wtedy odzyskam spokój.